



Styczeń 1826 roku był niezwykle zimny. Przez cały dzień zacinał cienki, ostry deszcz, który wieczorem przeszedł w deszcz ze śniegiem. Na śliskich kocich łbach przed kościołem Świętego Jakuba w Clerkenwell potykały się konie, a ich woźnice przeklinali. Stojąca w portyku kościoła młoda kobieta zadrzała, szczerzej otuliła się cienką wełnianą peleryną i próbowała uciszyć kwilące niemowlę, które trzymała w ramionach. Młoda matka, rozpaczliwie chuda, miała twarz kobiety, która przeżyła zbyt wiele i była u kresu sił. Jej szare oczy wyrażały absolutny brak nadziei.

Dziecko, najwyżej ośmiomiesięczne, wydawało się być w znacznie lepszym stanie. Policzki dziewczynki były nawet nieco zaokrąglone, a chociaż małe rączki zsiniały z zimna, to charakterystyczne dziecięce fałdki w nadgarstkach świadczyły o tym, że dziecko odżywiało się lepiej niż matka. Dziewczynka przestała popiskiwać, najwyraźniej oszołomiona blaskiem lamp gazowych i aureolą dookoła nich, wytwarzaną przez wirujący śnieg z deszczem. Matka patrzyła przed siebie szklanym wzrokiem.

Nagle zabrzmiała muzyka organów; drzwi kościoła otworzyły się. Zgromadzeni na wieczornym nabożeństwie, w większości dobrze sytuowani, szanowani mieszkańcy miasta, zaczęli wychodzić na zewnątrz. Większość nie zwracała uwagi na zmarznąłą kobietę z dzieckiem, kilka osób rzuciło jej pensa lub dwa; niektórzy wydymali usta i odchodzili; ten i ów zachnął się, zniecierpliwiony.

W pewnej chwili młoda kobieta cicho westchnęła i jakby w zwolnionym tempie osunęła się na ziemię, tuż przed zażywnym mężczyzną i jego żoną. Dziecko poczuło chłód kamieni i żałośnie zakwiliło.

Tęgi mężczyzna niecierpliwie szturchnął leżącą kobietę swoją laską.

- Chce wzbudzić naszą litość - powiedział do żony.

W tym samym momencie został gwałtownie odepchnięty przez pannę Henriettę Webster, krzepką kobietę około pięćdziesiątki.

- A co to za zamieszanie?! Niech się pan odsunie, jeśli nie może pan pomóc. Biedaczka zemdląta.

Żona zażywnego jegomościa podniosła dziecko i uciszyła je stanowczym głosem.

Pastor Shepherd, zaniepokojony poruszeniem, wybiegł z kościoła i przyklęknął obok panny Webster, która rozwiązała wstążki kapelusza kobiety i podsunęła jej pod nos flakonik z solami trzeźwiącymi. Chwycił nadgarstek młodej matki, usiłując wyczuć puls. Po chwili wymownie spojrzął na zażywnego mężczyznę.

- Nie żyje. - Pastor puścił rękę zmarłej, wstał i zniecierpliwionym gestem otrząpał spodnie na wysokości kolan. - I nie widzę u niej obrączki.

Panna Webster spojrzała na pastora.

- Na pewno nie tylko ona jest temu winna. Jestem pewna, że kryje się za tym jakaś smutna historia. - Łagodnym gestem złożyła dłonie zmarłej na piersiach.

- Jakie piękne dziecko- odezwała się żona zażywnego mężczyzny. - Widać, że miało dobrą opiekę.

Pastor chrząknął. Czekał go pochówek kolejnego biedaka. W minionym miesiącu przed kościołem zmarło dwóch żebraków; ich pogrzeby musiały odbyć się na koszt parafii. Dziecko będzie musiało trafić do Fundacji Thomasa Corama, zdecydował i ruszył na poszukiwanie swego pomocnika.

Panna Webster jeszcze przez chwilę patrzyła na twarz zmarłej, po czym pochyliła się i nakryła ją wełnianą peleryną. Wstając zauważyła wiklinowy koszyk stojący przy kolumnie. W środku znajdowała się szmaciana lalka z oczami z guzików i włosami z wełny. Podała ją dziewczynce, która wyciągnęła rączki i uśmiechnęła się do panny Webster, ukazując dwa ząbki.

Oczy panny Webster natychmiast napełniły się łzami.

- Proszę pozwolić mi ją potrzymać - zwróciła się do żony zażywnego mężczyzny. Już od bardzo dawna nie tuliła dziecka.

Kobieta podała jej niemowlę, po czym pociągnęła swego męża za ramię i szepnęła mu coś do ucha. Mężczyzna z westchnieniem sięgnął do kieszeni, wyjął z niej kilka gwinei i podał pannie Webster.

- Moja żona nie chciałaby, żeby ta kobieta była pochowana jak żebraczka - powiedział sucho.

W ciągu godziny załatwiono wszelkie formalności. Zabrano ciało, a gospodyni pastora przygotowywała już nocleg dziecku, kiedy panna Webster, sama zaskoczona swoją reakcją, powiedziała:

- Zostawcie ją. Zatrzymam to biedactwo. - Czuła ciepło rozchodzące się od ciała dziecka i małą rączkę mocno obejmującą ją za szyję.

- Trzeba zapewnić jej godziwą przyszłość - zaczął stanowczym tonem pastor. Panna Webster zaliczała się do grona najsilniejszych osobowości wśród członków jego zgromadzenia. Pochodziła ze zubożałej rodziny. Sam widział u niej w salonie wspaniałą osiemnastowieczną komodę i kilka cennych obrazów świadczących o dawnej świetności rodu. Niemniej jednak obecnie panna Webster mieszkała w kamienicy czynszowej przy Myddleton Square i pastor uważał, że powinna okazywać mu więcej szacunku i uległości, niż miała w zwyczaju.

- Potrafię zapewnić jej przyszłość - odpowiedziała panna Webster.- Zajmę się nią.- Dziecko o dużych brązowych oczach i miękkich loczkach przypominało jej najdroższego Fredericka, który zginął na wojnie z Francją. Dlaczego nie miałyby wziąć biedactwa do siebie? Co stanie się z dzieckiem, jeśli ona tego nie zrobi? Prawdopodobnie zostanie przekazane Fundacji Thomasa Corama. Była to instytucja dobroczynna zasługująca na najwyższe uznanie, jednak dzieci potrzebują przede wszystkim domu, poczucia bezpieczeństwa.

Panna Webster w tym roku kończyła pięćdziesiąt jeden lat. Jej młody narzeczony zginął wiele lat temu koło Przylądka Świętego Wincentego. Została w domu, by pielęgnować niemłodych rodziców. Nigdy nie miała niczego dla siebie i teraz nareszcie mogło się to zmienić. Życzliwi przyjaciele uważali, że kobieta w jej wieku powinna mieć w domu kota. Kota! Hetty Webster nie miała nic przeciwko kotom, ale nie podobało jej się to, że przynosiły do domu zdechłe ptaki i myszy, i na wszystkim zostawiały swą sierść.

Nie. Marzyła o dziecku, którym los jej nie obdarzył. Teraz samo wpadło jej w ramiona i była zdecydowana je zatrzymać. Pastor, chociaż wciąż pełen wątpliwości, przywołał dorożkę, panna Webster z dzieckiem i wiklinowym koszykiem weszła do środka i wkrótce koń ruszył w stronę domu przy Myddleton Square.

Dom ten, stojący na południowej stronie placu, był wysokim trzypiętrowym budynkiem z dwoma pokojami na każdym piętrze i na parterze. Niedawno wybudowany, sprawiał solidne wrażenie. Schody prowadzące do frontowego wejścia były codziennie zamiatane, a zielone drzwi, mosiężne okucia i kołatką w kształcie lwiej głowy lśniły świeżością. Tylny ogród przylegał do stawów New River Head, otoczonych płaczącymi wierzbami.

Lokatorzy zajmowali dwa górne piętra. Na najwyższym mieszkała mademoiselle Valloton, chuda, koścista kobieta, która roztaczała wokół siebie aurę elegancji. Obracała się w świecie mody i miała licznych zamożnych klientów, którzy gotowi byli płacić wysokie ceny, by stać się posiadaczami zaprojektowanych i wykonanych przez nią ubrań. Co roku jeździła do Paryża (dbała, by dowiedzieli się o tym klienci) i zawsze wracała stamtąd ze szkicownikiem pełnym najnowszych fasonów. Jeśli nawet panna Webster czasami podejrzewała, że jej lokatorka nie wyjeżdża dalej niż do Margate, nigdy nie posuwała się zbyt daleko w swoich przypuszczeniach. W końcu nie była to jej sprawa, a panna Valloton zawsze płaciła czynsz w terminie.

Pokoje na drugim piętrze zajmowali państwo Copperstone'owie. Pan Copperstone był właścicielem kilku sklepów żelaznych w północnym Londynie, kierowanych przez trzech synów, których poczynania regularnie kontrolował, odwiedzając ich po kolei. W rozmowach z panną Webster zawsze podkreślał,

ile trudu włożył w rozwój swojego interesu, dlatego nie miał zamiaru dopuścić do tego, by jego wysiłki poszły na marne, przynajmniej dopóki on i jego żona są jeszcze na tym świecie. Miał teraz pięćdziesiąt kilka lat, gęste siwe włosy i sympatycznie zaokrąglony brzuszek.

Na pierwszym piętrze znajdował się salon panny Webster, a za nim sypialnia. Na parterze była jadalnia, z której korzystali także lokatorzy, i pokój gościnny, w suterenie zaś kuchnia, spiżarnia i umywalnia, a z tyłu domu mieściła się toaleta i niewielki zachwaszczony ogród, z którego korzystano głównie po to, by wywiesić tam pranie. Od frontu, poniżej chodnika, znajdowała się komórka na węgiel. Dwie służące spały w niewielkim pokoiku na strychu.

Panna Webster dbała o swych lokatorów. Żądała od nich rozsądnej ceny siedemnastu szylingów i sześciu pensów tygodniowo za pokoje, śniadania i wieczorne posiłki. Nie oszczędzała na węglu zimą, a służące były godziwie wynagradzane i miały wygodne łóżka. Panna Webster słyszała, że w niektórych domach służba spała na materacach rozłożonych na podłodze w kuchni, nie mając własnego kąta. Pannie Webster nie mieściło się to w głowie. Jej służące ciężko pracowały i zasługiwały na to, żeby dobrze się wyspać.

Mimo to kiedy dorożka, podskakując na wybojach, zbliżała się do Myddleton Square, panna Webster zastanawiała się, jak wytłumaczy się ludziom z posiadania dziecka.

W ten sam mroźny styczniowy dzień 1826 roku dwaj chłopcy bawili się malowanymi ołowianymi żołnierzami na podłodze lodowatego pokoju na górnym piętrze Hoop Hall

w hrabstwie Hertfordshire. Chłopcami tymi byli Charles Fulmar, ośmioletni starszy syn lorda Fulmara, w którego domu właśnie się znajdowali, i Jack, dziesięcioletni syn i dziedzic pana Midwintera, właściciela sąsiedniej posiadłości Holly Park.

Chłopcy nie czuli zimna. Byli pochłonięci zabawą i podnieceni tym, że przed chwilą odkryli ten pokój. Prawdę powiedziawszy, dokonał tego sam Jack.

Ojciec Jacka na początku wieku wzbogacił się na przedziałniach bawełny w Lancashire. Przyjechał do Manchesteru przywożąc niewiele poza ubraniami, które miał na sobie, lecz ciężka praca i niezwykle umiejętności jak najwydajniejszego wykorzystywania maszyn sprawiły, że szybko zgromadził fortunę. Jack odziedziczył po nim zdolność rozumienia istoty działania różnych urządzeń. Poprzedniego dnia, kiedy wraz z Charliem lepił przed domem bałwana, coś zwróciło jego uwagę i zapatrzył się na dach Hoop Hall.

Dom był zbudowany w stylu elżbietańskim. Przed pięćdziesięcioma laty otrzymał georgiańską fasadę, lecz jego starsza część nadal zachwycała ozdobnymi ożebrowaniami kominów i przedziwnymi zwieńczeniami dachu. Chłopcy doskonale poznali strych, na którym przechowywano takie wspaniałości jak stare zbroje i zardzewiałe halabardy.

- Co tam jest? - Charles trącił przyjaciela łokciem. Jack przyglądał się czemuś już zbyt długo i Charliemu robiło się zimno.

- Patrzę na ten komin. Ten, pod którym jest małe okienko - odpowiedział Jack.

- A co jest w nim takiego ciekawego?

- To, że skoro jest okno, powinien być też i pokój.

Chłopcy popatrzyli na siebie, czując rosnące podniecenie.

- To pewnie sekretny księży schowek! Dziadek kiedyś o nim opowiadał, ale nigdy nie powiedział mi, gdzie on jest. Wiesz, jak się tam dostać?

Jack znów popatrzył na komin.

- Tak mi się wydaje - powiedział powoli. - Myślę, że musi być za tym pomieszczeniem na strychu, gdzie stoi stara bielizniarka.

Chłopcy popędzili na górę. Pokój, w którym stała stara szafa na bieliznę, był wykładany dębową boazerią; nie zauważyli drugich drzwi. Jack zaczął obchodzić pomieszczenie, co chwila pukając w ściany i nasłuchując.

- Myślę, że to musi być tutaj - wyszeptał Jack. - To brzmi jakoś inaczej.

- Ale jak tam wejść?! - Charlie ze złością kopnął boazerię. - Tu nie ma drzwi!

- Oczywiście, że nie ma drzwi - odpowiedział z przyganą Jack. - Jeśli to ma być sekretny pokój, w którym krył się jakiś katolicki ksiądz w czasach prześladowań, to nie mogło tu być żadnych drzwi. Ale na pewno jakoś można tam wejść. - Wstał i uważnie przyglądał się ścianie przez kilka minut, co w końcu znudziło Charliego.

- Jack, chodź, to nie ma sensu.

Jack nie odezwał się. Kiedy był czymś zaabsorbowany, nie zauważał, co się wokół niego dzieje. Po chwili Charlie szedł na dół, by pobawić się z młodszym bratem, Arthurem, w pokoju dzieciennym. Jack nie zaprzestał poszukiwań. Doszedł do wniosku, że wejście nie musi mieć wymiarów drzwi, lecz powinno być na tyle duże, by mógł przez nie przejść człowiek. Nie mogło być zbyt wysoko, za to było prawdopodobne, że znajdowało się tuż przy podłodze, a sądząc po widocznym z zewnątrz oknie, należało szukać po prawej stronie komina.

Jack był upartym chłopcem i w końcu znalazł to, czego szukał. Wśród paciorków wyrzeźbionych w boazerii sprytnie ukryta była gałka. Kiedy Jack ją przekreślił, niewielka płytina otworzyła się z cichym skrzypnięciem. Wąska smuga światła, w której tańczyły drobinki kurzu, pozwoliła mu upewnić się, że pokój o powierzchni zaledwie około siedmiu stóp kwadratowych był właśnie tym, którego okno widział na zewnątrz budynku.

Jack miał nadzieję, że w pomieszczeniu znajdzie co najmniej jakiś szkielet, ale nie było tam niczego, nawet stołu i krzesła. Dokładnie obejrzał zamek, sprawdzając, czy otwiera się także od wewnątrz. Upewniwszy się, że tak, zamknął się w pokoju, po czym rozejrzał się dookoła. Czy było tu jakieś drugie wyjście, które mogło prowadzić obok komina na zewnątrz?

Spędził w pokoju dobre pół godziny, po czym cicho wyszedł i dołączył do Charliego i Arthura w pokoju dzieciennym.

Ani on, ani Charlie nigdy nikomu nie powiedzieli o swoim odkryciu. Lord Fulmar, ojciec Charliego, nie był człowiekiem budzącym zaufanie.

- Nie powiem nawet Arthurowi - oznajmił Charlie. - To jeszcze dzieciak, a poza tym to jest coś takiego, o czym powinni wiedzieć tylko starsi synowie. - Charlie, chudy, nerwowy chłopak, był zazdrosny o czteroletniego Arthura, który jako pogodniejszy cieszył się większymi względami ojca. Matka Charliego zmarła przy porodzie Arthura; Charlie prawie w ogóle jej nie pamiętał.

Jack nie odezwał się. Dokonał jeszcze jednego odkrycia związanego z tajemniczym pokojem, o którym nie powiedział nikomu, nawet Charliemu. Jack potrafił dotrzymywać tajemnic; na przykład nigdy nie powiedział swojej matce o tym, że zrobił

koło młyńskie na strumyku za kuchennym ogrodem w Holly Park; uznałaby, że to zajęcie niegodne kogoś szlachetnie urodzonego. To smutne, ale istniała cała masa rzeczy, których nie wolno było robić ludziom szlachetnie urodzonym.

Był bardzo przystojnym chłopcem, wysokim jak na swój wiek, miał gęste brązowe włosy i oczy koloru orzechowego. Już teraz, w wieku zaledwie dziesięciu lat, doskonale wiedział, jak okręcać sobie służące dookoła palca, by otrzymać dodatkową porcję dżemu czy ciasta. „Och, panicz jest taki milutki”, mówiły. Jack bardzo szybko pojął, że nic nie mówiąc matce, może oddawać się różnym przyjemnościom, niekoniecznie odpowiednim dla szlachetnie urodzonych.

Chłopcy korzystali z tajemniczego pokoiku aż do czasu, kiedy najpierw Jack, a potem Charlie zostali posłani do Eton. Potem stopniowo o nim zapomnieli.

Podstarzały dorożkarz wygramolił się z kozła i zastukał kołatką w kształcie lwiej głowy do domu panny Webster przy Myddleton Square, po czym otworzył drzwi dorożki przed Hetty. Polly, starsza z dwóch służących panny Webster, chuda, koścista kobieta w wieku dwudziestu sześciu lat, otworzyła drzwi. Hetty ostrożnie wyszła z dorożki.

- Polly! Chodź tu szybko i pomóż mi! - zawołała.

Bezceremonialnie wręczyła dziecko Polly i poszła zapłacić dorożkarzowi. Sięgnęła po wiklinowy koszyk, rozłożyła parasol i zdecydowanym krokiem weszła do domu. Dziecko, przerażone nagłym uczuciem zimna i wilgocią, zaczęło płakać.

- Boże! - krzyknęła Polly, spoglądając na zawiniątko. - Co pani zamierza zrobić z tym dzieckiem, panno Webster?

Zamieszanie i płacz dziecka ściągnęły pozostałych mieszkańców do korytarza. Wkrótce rząd głów wychylał się znad balustrady, a Leah, druga służąca, przybiegła z sutereny. Podczas gdy pełne zdziwienia okrzyki przeciągały się, panna Webster zdjęła pelerynę i kapelusz, pieczołowicie umieściła je na wieszaku, strząsnąwszy uprzednio wodę, wzięła dziecko od Polly i zaczęła je delikatnie kołysać w ramionach. Płacz ustał.

- Musimy udać się do parafii - powiedział autorytatywnym tonem pan Copperstone. - Trzeba będzie oddać ją... to chyba dziewczynka... do przytułku.

Panna Valloton zeszła ze schodów i zajrzała do zawiniątka.

- Ach, *la pauvre petite*. Ma piękne oczy. Tak mi jej żal.

- Zostanie ze mną- oznajmiła stanowczym tonem panna Webster. - Polly, nalej wody do wanny. Dziecko musi zostać wykąpane i nakarmione. Leah, podgrzej łyżeczkę duszonej jagnięciny i ugotuj małego kartofelka. Przetrzyj to przez sitko i uważaj, żeby nie było za gorące.

- Droga panno Webster - zawołała pani Copperstone - czy to aby rozsądna decyzja? Dziecko z rysztoła! Uważam, że powinna pani pozwolić mojemu mężowi...

- Dziecko zostanie ze mną- powtórzyła panna Webster z uporem, mocniej przytulając dziewczynkę. - Polly, Leah, ruszcie się, do roboty! Biedactwo jest przemarznięte i głodne.

Służące zbiegły ze schodów, a panna Webster, nie zważając na dezaprobatę lokatorów, z dzieckiem i wiklinowym koszykiem udała się na górę do salonu i zamknęła za sobą drzwi. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że cała drży.

Godzinę później dziecko było już wykąpane, ogrzane i nakarmione. Leżało w pośpiesznie umyтым koszu na drewno, owinięte starym kocem.

Gdy Hetty znów została sama w salonie, starannie przejrzała zawartość wiklinowego koszyka. *Znalazła* tam kilka dziecięcych ubrańek i pieluszek, parę kobiecych ubrań i zgniecione drewniane pudełko na biżuterię, w którym znajdowały się listy i portfel. W portfelu Hetty znalazła kartkę z nazwiskiem „Maria Beale” oraz złożoną kartkę papieru z wiadomością, że Sara, nieślubna córka Marii Beale, urodziła się 22 maja 1825 roku i została ochrzczona w kościele Świętego Mateusza, Church Row, Bethnal Green w Londynie. Nie było nazwiska ojca. Lecz na odwrocie kartki Maria napisała buntowniczo: *Chcę, żeby wszystkim było wiadomo, że ojcem dziecka jest James, lord Fulmar z Hoop Hall w hrabstwie Hertfordshire.*

Gdy panna Webster odwracała kartkę, portfel spadł z jej kolan i wysunęła się z niego druga kartka. Ten sam czarny atrament głosił gniewnymi literami:

Ja, Maria Beale, uroczyście przeklinam Jamesa, lorda Fulmara, za jego okrutny brak zainteresowania mną i moją córką. Życzę mu, żeby nigdy nie zaznał szczęścia i spokoju. Niech jego synowie umrą wcześniej niż on i niech zostanie pozbawiony prawowitych dziedziców. Niech jego życie będzie wypełnione goryczą i niech doświadczy wstydu i męczarni, jakich ja zaznałam z jego powodu. Niech umrze samotny, opuszczony i niekochany, i niech jego podłe grzechy zaprowadzą go prosto do piekła, gdzie zazna okrutnych mąk, tak jak męczył i zaniedbywał mnie.

Poniżej, ołówkiem, dopisała: *Och, Boże, jak ja go kochałam.*

Panna Webster złożyła kartkę ostrożnie, jakby ją parzyła, i schowała do portfela. Biedna, nieszczęśliwa dziewczyna,

pomyślała. Jej klątwa nie dosięgnie winowajcy. Świat jest pełen porzuconych kobiet.

Następnie Hetty zainteresowała się listami przewiazanymi niebieską wstążką. Jak się okazało, były to listy miłosne. Najwcześniejsze, krótkie, pisał lord Fulmar, prosząc o potajemne schadzki. Wyjaśniło się, że panna Beale nie była służącą, jak przypuszczała panna Webster, ale szlachetnie urodzoną młodą kobietą goszczącą w posiadłości lorda Fulmara. Wspomniane były osiemnaste urodziny Marii, na które lord Fulmar najwyraźniej posłał jej biżuterię. Listy przepojone były czułością - chociaż ich ton był zarazem stanowczy. *Nie spóźnij się*, ostrzegali w jednym z nich. Jego uroczyste zapewnienia o silnym uczuciu wzmagaly się wraz z upływem czasu. Panna Webster ze smutkiem zauważyła, że były one pełne obietnic.

Oczywiście, że będziemy razem, Kochanie. A w innym: *Jak możesz wątpić w moją miłość?* Stopniowo jednak ton listów ulegał zmianie. *Nie nudź i nie męcz mnie, Mario. To niemożliwe.*

Jego ostatni list był suchy i zwięzły. *To chyba oczywiste, że nie mogę się z Tobą ożenić. Byłaś naiwna, żywiąc taką nadzieję. Fulmar.*

Ostatni list był napisany przez Marię. Była to pełna bojaźni, rozpaczliwa prośba o pomoc. Maria zaszła z lordem Fulmarem w ciążę i nie miała się do kogo zwrócić. Była w rozpacz. Na kopercie Fulmar napisał: *Foxton, odpraw tę kobietę.* Ktoś, prawdopodobnie Foxton, zwrócił ten list pannie Beale.

Panna Webster siedziała w milczeniu przed kominkiem i trzęsła się na całym ciele, mimo że w pokoju było ciepło. Otarła wierzchem dłoni łzy spływające po policzkach. Była to historia, jakich wiele, co wcale nie czyniło jej mniej tragiczną. Biedna dziewczyna. Na chwilę przed oczami Hetty stała

blada, wymizerowana twarz Marii. Była prawie dzieckiem, kiedy zaczął się ten romans; miała zaledwie osiemnaście lat. A teraz nie żyła. Hetty złożyła listy i związała je wstążką. Umieściła je, wraz z portfelem i jego zawartością, w drewnianym pudełku i zamknęła w szufladzie swego biurka.

Kilka dni później, po starannym namyśle, panna Webster wtajemniczyła we wszystko pannę Valloton, którą bardzo podekscytowała arystokratyczna latorośl znaleziona w tak niecodziennych okolicznościach. Razem sprawdziły wiadomości o lordzie Fulmarze w herbarzu należącym do panny Valloton.

- Urodzony w 1783 roku - przeczytała z ożywieniem panna Valloton. - No, no, to znaczy, że miał czterdzieści jeden lat i był wdowcem. Dobry kandydat na męża!

- W tym wieku powinien już być mądrzejszy - rzuciła szorstko panna Webster. - Panna Beale była gościem w jego domu. Moim zdaniem zachował się haniebnie.

- Koniecznie musi pani go powiadomić! - wykrzyknęła panna Valloton. - Proszę tylko pomyśleć, może się okazać, że mała Sara jest dziedziczką! - Miała nadzieję, że zostanie poproszona o uszycie ubranek dla dziecka.

Panna Webster nie miała zamiaru dawać upustu fantazji.

- Do tej pory nie wykazał ochoty, żeby ją uznać - powiedziała. - Dlaczego miałabym go powiadamiać? Moim zdaniem ponosi odpowiedzialność za śmierć tej biednej dziewczyny. - Prychnęła pogardliwie.

- Ma prawo wiedzieć - nalegała panna Valloton.

W końcu Hetty niechętnie przyznała jej rację. Jeszcze tego wieczoru napisała do lorda Fulmara, powiadamiając go o śmierci

Marii Beale, o tym, że ona sama zaopiekowała się Sarą; podała też datę narodzin i miejsce chrztu dziewczynki. Ponieważ miała podstawy, by przypuszczać, że ojcem dziecka jest lord Fulmar, zapytała go, czy ma zamiar podjąć jakieś postanowienia dotyczące uznania dziecka. Ona, panna Webster, pozostaje uniżonym sługą Jego Lordowskiej Mości, i.t.d.

Nie spodziewała się niczego. Lord Fulmar nie czuł się zobowiązany do udzielenia pomocy Marii Beale, gdy była w potrzebie, nie było więc podstaw do przypuszczenia, że tym razem zachowa się inaczej.

Nie myliła się. Po pewnym czasie otrzymała krótki list od adwokata lorda Fulmara. Jego Lordowska Mość stanowczo zaprzeczył, że jest ojcem bękartu Marii Beale. Dalsza korespondencja w tej sprawie będzie traktowana jako próba zniesławienia. List podpisał T. Foxton.

Można by przypuszczać, że nasza bohaterka Sara, urodzona w tak niesprzyjających okolicznościach, wyrośnie na żywą kopię pięknej, lecz nieszczęśliwej matki, że będzie miała marzycielską naturę i delikatną urodę osoby skazanej na cierpienie i los, jeśli już nie bliźniaczo podobny do losu matki, to przynajmniej równie tragiczny.

Nic podobnego. Sara była szczęśliwym, ufnym i dorodnym dzieckiem o migdałowych oczach barwy kasztanów i gęstych brązowych kędziorach. Biegała po domu i skakała ze schodów, za nic mając kruchość i delikatność, jakiej należałoby się spodziewać po bohaterce dramatu.

Co więcej, miała też duży temperament. Mniej więcej od czasu, kiedy ukończyła dwa lata, ilekroć chciała postawić na

swoim, kładła się na podłozie, kopała i krzyczała. Leah i Polly często pozwalały Sarze „pomagać” w kuchni, ale tego dnia były zajęte i Polly odsunęła ją od siebie. Sara zaprezentowała jeden ze swych napadów złego humoru i panna Webster, słysząc dzikie krzyki, zeszła na dół, żeby przekonać się, co się stało.

- Uspokój się, Saro - powiedziała stanowczym tonem.

Dziewczynka nie zwróciła na nią uwagi. Panna Webster podniosła ją i zaniosła do jej pokoju, po czym zamknęła drzwi.

- Zostaniesz tu, dopóki nie będziesz się grzecznie zachowywać.

Sara darła się wniebogłosy przez dziesięć minut, po czym ucichła. Kiedy wyszła z pokoju, była w doskonałym humorze. Jeszcze przed ukończeniem siódmego roku życia nauczyła się panować nad swoimi nastrojami.

Nie przejmowała się, że jest jedynym dzieckiem w domu statecznych ludzi w średnim wieku. Pan Copperstone, który w wolnych chwilach lubił zajmować się stolarką, zrobił dla niej teatr ze starej drewnianej skrzynki i Sara całymi godzinami bawiła się, malując i przemalowując dekoracje, ubierając aktorów z drewna, którzy przesuwali się wzdłuż niewielkich rowków w scenie, i szyjąc kurtyny, które, zawieszane na drucie, rozsuwały się i zsuwały jak prawdziwe.

Przez kilka kolejnych lat Copperstonowie zabierali Sarę, razem ze swoimi wnukami do teatru Sadler's Wells na przedstawienia bożonarodzeniowe. Sara była zauroczona teatrem i wracała do domu mając żywo w pamięci postacie Zielonego Rycerza i Księżniczki Eglantyny, których role starała się potem odegrać za pomocą drewnianych aktorów wyrzeźbionych przez pana Copperstone'a. Pocziwy pan Copperstone zrobił jej wiele dodatkowych figurek.

Panna Valloton, która nigdy nie straciła pierwszego zachwytu Sarą jako wydziedziczoną arystokratką, zaproponowała, że nauczy ją szyć. Panna Webster zgodziła się, myśląc, że to nie potrwa długo. Gdy była małą dziewczynką, trzeba ją było zmuszać do skończenia robótki i wydawało jej się, że z Sarą będzie podobnie. Lecz dziewczynka zadziwiła ją swym entuzjastycznym podejściem do lekcji szycia.

- Lubię wszystkie ściegi - wyznała w wieku sześciu lat. - Mogę teraz szyć ubranka dla moich lalek z teatru, takie, które będzie można zdejmować. Panna Valloton chce zaprojektować dla mnie kostium pirata. To będzie bardzo trudne, ciociu Hetty, bo musi być bardzo mały.

Ta fascynacja szyciem nie potrwa długo, pomyślała panna Webster, ale teraz przynajmniej ma zajęcie i siedzi cicho.

Jednak Sara bardzo lubiła szyć. Wkrótce zaczęła prezentować własne poglądy w sprawach doboru kolorów i kroju. Prosiła pannę Valloton o małe kawałki materiału, a potem, bardzo zadowolona, siedziała obok niej i szyła różne kostiumy dla drewnianych lalek.

Panna Valloton pokazała jej też, jak posługiwać się wykrojami.

Zima 1834 roku była bardzo sroga. Panna Webster przeziębiła się, a choroba zaatakowała jej płuca. Czuła się bardzo źle: Panna Valloton, jako najstarsza lokatorka, przejęła jej obowiązki i dbała o to, by w domu wszystko przebiegało bez zakłóceń. Zawołała doktora - bardzo zatroskany, zapisał różne kojące wywary, które wcale nie pomagały. Czuwała przy panie Webster całymi nocami, kiedy ta miała gorączkę i oddychała z wielkim trudem.

- Nie mogę umrzeć - powiedziała którejs nocy świszczącym głosem, z niepokojem ściskając rękę panny Valloton. - Co stanie się wtedy z Sarą? - Jej oczy napełniły się łzami, które ściekały po rozpalonych policzkach.

Poprawa następowała bardzo powoli i dopiero około Wielkanocy panna Webster jako tako doszła do siebie. Jednakże dnie i noce, które spędziła w łóżku, tak słaba, że z trudem unosiła rękę, skłoniły ją do poważnych przemyśleń. Z wyjątkiem trzpiotowatej siostrzenicy, Sophy Frampton, i jej męża, próżniaka i nieudacznika - Hetty nie miała krewnych.

Nie było nikogo, kto mógłby zająć się Sarą. Hetty doszła do wniosku, że musi wyzdrowieć, a potem energicznie wziąć się do dzieła. Pomyślała, że jeśli lord Fulmar zobaczy Sarę, zapewne będzie chciał jakoś zabezpieczyć jej przyszłość. Hetty przypomniała sobie, że Maria Beale była drobną, kruchą blondynką, mimo wyniszczenia prezentującą pozostałości dużej urody. Sara była krzepka, wysoka jak na swój wiek, miała brązowe oczy i ciemne włosy. Musiała odziedziczyć to po ojcu. Hetty miała nadzieję, że kiedy lord Fulmar zobaczy rodzinne podobieństwo, złagodnieje i da się przekonać.

Chciała uzyskać zapewnienie, że jeśli coś jej się stanie, lord Fulmar zapewni Sarze wykształcenie i dobry start w dorosłe życie. Nie zamierzała prosić o nic więcej.

Hoop Hall, posiadłość lorda Fulmara, była oddalona o kilka mil od St Alban's. Pewnego majowego poranka 1835 roku panna Webster i Sara wsiadły do dylizansu w Islington i udały się na północ. Obie miały niewielkie walizki, gdyż panna Webster postanowiła, że zatrzymają się w Woolpack, porządnej gospodzie, gdzie zamówiła pokój. Następnego dnia miały przejść pieszo kilka mil do Hoop Hall.

Panna Webster powiedziała tylko:

- A teraz, Saro, chciałabym, żebyś zachowywała się najlepiej, jak potrafisz. Wybieramy się w odwiedzinę do lorda Fulmara, który znał twoją matkę.

Sara szeroko otworzyła oczy. Wiedziała, że ciocia Hetty ją znalazła; hołubiła szmacianą lalkę, jedyną rzecz, jaka została jej po matce, lecz skutecznie zniechęcano ją do zadawania dalszych pytań. Mimo to często o tym myślała. Raz ośmieliła się poruszyć temat z panną Valloton, która podnieconym szeptem powiedziała jej:

- Nie mogę ci wszystkiego wyjawić, *ma chere*. Ale w twoich żyłach płynie najszlachetniejsza krew! Niestety, twój papa zachował się bardzo źle w stosunku do twojej drogiej matki. Nie będziemy więcej o tym mówić.

Teraz, skoro ciocia Hetty sama poruszyła ten temat, Sara nabrała śmiałości.

- Czy lord Fulmar jest moim ojcem?

Panna Webster zawahała się.

- Twierdzi, że nie. - Budzenie dziecięcej nadziei nie miało żadnego sensu. Nie po raz pierwszy zastanowiła się jednak, czy aby na pewno postępuje właściwie.

Podróż zachwycała Sarę. Była dzieckiem pewnym siebie, żywo interesującym się otaczającym ją światem, i po raz pierwszy podróżowała dylizansem. Podobało jej się to, jak kierownik dylizansu trąbił w róg, a woźnica strzelał z bata. Urzekła ją krzątania w gospodzie w St Alban's, a gdy ciocia Hetty wypytywała o drogę do Hoop Hall i zamawiała kolację, szczęśliwa Sara stała przy oknie i obserwowała chłopców stajennych podbiegających, by wyprzęgnąć parujące konie, kiedy dylizans wjeżdżał na dziedziniec. Jedna z pasażerek,

kobieta w ekstrawaganckim kapeluszu z ogromnymi strusimi piórami, zrobiła na niej tak wielkie wrażenie, że Sara postanowiła, iż zaraz po powrocie do domu uszyje taki kapelusz dla swojej lalki. Starła się więc zapamiętać jak najwięcej szczegółów.

Następnego ranka Sara pozwoliła wyszczotkować sobie włosy i nie protestowała, gdy starannie pucowano jej buty zapinane na guziki, a panna Webster przyszcypywała ją i poszturchiwała, aż w końcu obwieściła:

- No, jakoś ujdzie. Chodźmy.

Tym razem Hetty niosła niewielki koszyk i parasolkę. W koszyku znajdowało się jedzenie i, o czym Sara nie wiedziała, starannie owinięta w ceratę kartka papieru, wyjęta z drewnianego pudełka na biżuterię, należącego do jej matki.

Wejście do Hoop Hall prowadziło przez wspaniałą bramę z kutego żelaza, obok niewielkiej stróżówki z czerwonymi dachówkami, witrażowymi szybami i łukowatymi drzwiami, między spiralnie skręconymi kolumnami, przypominającymi słodkie pałeczki. Sara zastanawiała się, czy domek nie jest przypadkiem zrobiony z piernika.

Brama była zamknięta.

Hetty stanęła, skonsternowana. Tego nie przewidziała. Po chwili podszedł do nich strażnik o ponurym, odpychającym wyrazie twarzy.

Wcześniej tego ranka dwaj młodzi mężczyźni wyruszyli z Hoop Hall dwukółką zaprzęzoną w kucyka. Powiedzieli, że mają zamiar strzelać do wron - o tej porze roku były prawdziwym utrapieniem. W gruncie rzeczy jednak uciekali od

lorda Fulmara, który był bardzo nieprzyjemny przy śniadaniu, gdy piętnował postęпки syna. Wcześniej w tym miesiącu Charlie Fulmar, jeden z dwójki młodych mężczyzn, został wydalony z Oksfordu za pijaństwo i niesubordynację; było mało prawdopodobne, że zostanie przyjęty z powrotem.

Jego Lordowska Mość, jako człowiek popędliwy, natychmiast cofnął synowi uposażenie i zabronił mu opuszczania terenu posiadłości.

Dziewiętnastoletni Charlie Fulmar był chudy jak tyka, wysoki, miał duże brązowe oczy i burzę brązowych kędziurów. Można by go uznać za przystojnego, lecz pijaństwo sprawiło, że na jego obrzmiałej twarzy wiecznie gościł wyraz niezadowolenia.

Prawdę mówiąc, nigdy nie chciał studiować w Oksfordzie. Jego marzeniem było wstąpienie do wojska, na co ojciec absolutnie nie chciał się zgodzić. Być może wcześniej dałby się ubłagać, ale śmierć młodszego brata Charliego, Arthura, w czasie polowania, rozwiała nadzieje. Charlie był teraz jedynym dziedzicem i lord Fulmar chciał mieć go na oku, z dala od czyhających nań niebezpieczeństw. Jego Lordowska Mość nigdy niczego nie tłumaczył, tylko wydawał rozkazy.

Charlie, na swój sposób uparty, zareagował fascynacją złem. Pił na umór, tracił pieniądze przy karcianych stolikach i popadł w długi. Oksford śmiertelnie go nudził. Nigdy nie chciał się tam znaleźć i nie miał zamiaru udawać, że jest inaczej, czekając, że ojciec wreszcie go zrozumie.

Jego przyjaciel, Jack Midwinter, miał teraz dwadzieścia jeden lat i od śmierci ojca, który osierocił go, gdy chłopiec skończył lat czternaście, był panem swoich włości. Charlie pomyślał z zazdrością, że Jack ma szczęście. Tak jak się

zapowiadał, wyrósł na bardzo przystojnego młodzieńca: był wysoki, miał ciemnobrązowe włosy, wijące się nad krawędzią kołnierza, i orzechowe oczy. Od czasu, gdy ukończył szesnaście lat, całe stado kobiet ulegały jego czarowi. Jack nigdy nie miał problemów z trądzikiem młodzieńczym ani z nieśmiałością, nie wydzielano mu też skromnego uposażenia. Co prawda przed osiągnięciem pełnoletności miał opiekuna, a jego majątek znajdował się w zarządzie powierniczym, ale gdy tylko skończył dwadzieścia jeden lat, stał się finansowo niezależny.

Charlie zdawał sobie sprawę, że lord Fulmar czasami pogardliwie wyrażał się o jego pochodzeniu, mamrocząc coś o „prostackich handlarzach”. „Słyszałem, że jego ojciec był najpierw hodowcą bydła”, prychnął z pogardą. „Trzeba jednak przyznać, że chłopak posługuje się ładną angielszczyzną i jest dobrze wychowany”, dodawał. Gdyby Jack miał młodszą siostrę, prawdopodobnie nie miałby tak łatwego wstępu do Hoop Hall. Lord Fulmar prezentował bardzo sztywne poglądy na temat zawierania małżeństw poza obrębem własnej sfery.

Jednakże Charlie chętnie zamieniłby swe pochodzenie na swobodę bycia Jacka i jego niezależność finansową.

Jack przyszedł z Holly Park do Hoop Hall od tyłu, okrążając duży, otoczony murem ogród. Przystanął na chwilę, by porozmawiać z Salterem, ogrodnikiem, a wchodząc na plac przed stajniami, jadł truskawki. Dał jedną Charliemu.

- Pierwsze truskawki! - zawołał Charlie. - Salter nie pozwoliłby mi ich dotknąć.

Jack uśmiechnął się.

- Salter mnie lubi.

Chłopak stajenny wyprowadził dwukólkę zaprzęzoną w ku-

cyka. Charlie i Jack zajęli miejsca w powoziku. Jack szarpnął lejce; powóz ruszył.

- Dokąd pojedziemy, Charlie?

- Do Hoop Wood. Jest tam sporo ptaków na gnieździe. Możemy dojechać aż do chaty Ulthorne'a. - Był on gajowym w Hoop Hall.

Tego roku wiosna przyszła późno, ale mocne promienie słońca w ostatnich dniach sprawiły, że wszystko dookoła buchnęło zielenią. Kwitły kasztany w parku, a żywopłoty z głogu pokryte były kremowymi kwiatami.

- Chciałbym, żeby już umarł! - powiedział nagle Charlie, z trudem hamując wzburzenie. - Boże, jak ja go nienawidzę. Jest mi kulą u nogi.

Jack popatrzył na przyjaciela. Twarz Charliego wykrzywił grymas smutku.

- Po prostu dba o majątek. - Nie raz słyszał już te słowa z ust przyjaciela.

- Tak, tak, oczywiście. Liczy się tylko majątek - odpowiedział z goryczą Charlie.

Jack nie miał zamiaru pozwolić, by Charlie zepsuł tak miły dzień.

- A może byś się ożenił? - zaproponował wesołym tonem. - Ojciec będzie wtedy musiał przekazać ci część majątku i zyskasz upragnioną wolność.

- Mam się ożenić w wieku dziewiętnastu lat? - Charlie wybuchnął śmiechem.

- Powiedz ojcu, że chcesz założyć własne przedszkole, - Jack uśmiechnął się szeroko. - Nie będzie mógł się temu sprzeciwić.

Spędzili miły ranek, chociaż Charlie co jakiś czas z wściek-

łością siekł gałązką orzecha rosnące przy drodze dzwonki. Do jedenastej sześć wron wisiało już na ogrodzeniu na skraju lasu. Charlie strzelał do każdej wrony, jakby miał przed sobą lorda Fulmara. Za każdym razem, kiedy ptak padał na ziemię, chrząkał z zadowoleniem i z dziką przyjemnością ukręcał szyje tym, które były jedynie ranne.

Gdyby Jack miał bardziej refleksyjną naturę, te przejawy okrucieństwa i goryczy z pewnością by go zaniepokoiły. On jednak myślał tylko o tym, że jeśli Charliemu nie polepszy się nastrój, będzie kiepskim towarzyszem, więc trzeba będzie pożegnać się z nim i odwiedzić uroczą panią Ward. Była to jedna z kobiet, które liczyły się teraz w życiu Jacka; jej mąż często wyjeżdżał w interesach. Jack lubił mężatki. Były dyskretne i umiały go docenić, a poza tym, kiedy już mu się znudziły, z łatwością zrywał z nimi znajomość, tłumacząc się skrupułami.

W każdym razie wiedział, że matka zaprosiła jakąś pannę Palmer i jej matkę na herbatę. Panna Palmer uchodziła za doskonałą kandydatką na synową. Jack nie miał zamiaru podejmować zobowiązań, wolał przyjemnie spędzać czas z panią Ward. Coraz bardziej męczyła go matka, próbująca nakłonić go do małżeństwa.

Wrócili do powozu. Kucyk został wcześniej wyprzęgnięty i przywiązany do drzewa; stał sobie teraz spokojnie i jadł trawę. Charlie rozwiązał sznurek, a Jack przyciągnął dwukólkę. Kucyk potrząsnął łbem.

- Spokój! - Charlie uderzył go w nos i usiłował wepchnąć mu wędzidło do pyska. Kucyk spłoszył się.

- Ja to zrobię - powiedział Jack. Nie miał zamiaru przyglądać się, jak Charlie męczy biedne stworzenie. Umiał postępować ze

zwierzętami i wkrótce kucyk uspokoił się, słysząc jego łagodny głos. Udobruchany głaskaniem zwierzak dał się zaprzęgnąć do powozu nie stawiając już oporu.

Charlie, ze stężałą twarzą, chwycił lejce. Podjechali pod posiadłość od frontu; w wiazach za stróżówką mogły być jeszcze wronie gniazda. Dotarli do bramy akurat wtedy, gdy nadeszła panna Webster z Sarą.

Jack zobaczył je pierwszy. Nie zwrócił większej uwagi na pannę Webster, natomiast zainteresowała go Sara. Przyglądał się jej ze zmarszczonym czołem. Było w niej coś, co wydawało mu się dziwnie znajome. Sara stała w lekkim rozkroku, z rękami założonymi za plecy i z zainteresowaniem odwzajemniła jego spojrzenie.

Jack przewędrował wzrokiem od jej stóp do głowy. Te kasztanowe oczy, włosy, nawet ta lekko zaczepna postawa... Odwrócił się do przyjaciela i wskazał Sarę.

- Jak myślisz, Charlie, kto to jest? - zapytał.

Charlie lekko zmrużył oczy, lecz nie odpowiedział.

- Jak się nazywasz? - zapytał. Podobnie jak Jack, nie zwrócił uwagi na Hetty.

- Sara Beale. Przyjechałam do lorda Fulmara.

- Coś podobnego... A on wie o tym, że masz zamiar go odwiedzić?

Sara z powątpiewaniem popatrzyła na pannę Webster.

- Chyba nie.

Beale, pomyślał Jack. Gdzie też, do diabła... Nagle przed oczami stanął mu trawnik w Hoop Hall i urodziwa jasnowłosa dziewczyna siedząca pod cedrem z lordem Fulmarem. Jack miał wtedy najwyżej dziewięć lat, ale dobrze ją zapamiętał. Była dla niego bardzo miła i pomogła mu rozplątać latawiec.

Podobały mu się jej jasne loki zebrane w pęki przy skroniach, jak było wtedy w modzie. Lordowi Fulmarowi też musiały się one podobać, bo delikatnie nawinał jeden lok na palec, a dziewczyna spłonęła rumieńcem. Beale! Tak, tak właśnie się nazywała. Maria Beale.

- Byłabym wdzięczna - wtrąciła Hetty - gdyby poprosił pan strażnika, żeby nas wpuścił. Przyjechałyśmy tu z daleka.

Charlie, parę lat młodszy od Jacka, nie pamiętał Marii Beale, ale rozpoznał w Sarze dziecko swego ojca. Sara przypominała brata Arthura, kiedy był w jej wieku, nawet stała w podobny sposób. Nigdy nie był szczególnie zżyty z Arthurem, niemniej poczuł dziwne ukłucie na widok dziewczynki. Postanowił jednak wyrzucić z głowy niewygodne myśli.

Czy jej widok zdenerwuje lorda? Był tego pewien. Wystarczająco często wytykał Charliemu grzechy, jakby jego dusza była bielsza niż śnieg. Ale on, Charlie, już mu pokaże. Zrobi wszystko, żeby ojciec zobaczył tę Sarę Beale, czy jak tam się nazywa, oraz jej towarzyszkę. Spodziewał się, że setnie się przy tym ubawi. Oczywiście nie miał wątpliwości, że ojciec je wyrzuci, ale to już przecież nie będzie jego sprawa.

Popatrzył na pannę Webster.

- Zapraszam - powiedział, wskazując dwukólkę. - Podwieziemy panie do domu.

Jack zeskoczył na ziemię i pomógł pannie Webster wsiąść. Sara bez pomocy wgramoliła się do powoziku. Usiadła obok ciotki i rozejrzała się dookoła z wyrazem zadowolenia na twarzy. Jack wsiadł ostatni, zwrócił pannie Webster uwagę, by uważała na spódnicę i zamknął drzwiczki.

- A więc już drugi raz jadę powozem - oznajmiła radośnie Sara. - Bardzo mi się to podoba. Jak ten kucyk ma na imię?

- Chyba nie ma imienia- odpowiedział Jack, kiedy ruszyli.

- Nie ma imienia? - zdziwiła się Sara. - To straszne! Musi mieć imię. - Jej oczy posmutniały, kiedy wyobraziła sobie, jak musi się czuć stworzenie bez imienia.

Jack roześmiał się.

- W takim razie musisz go jakoś nazwać. - Miły dzieciak, pomyślał. Inteligentny i zachowujący się bardzo naturalnie.

- Psotnik - powiedziała natychmiast Sara. - A może bardziej podobałoby mu się jakieś niezwykle imię? Na przykład Belizariusz.

- Belizariusz?! - powtórzył zdumiony Jack.

- Tak. Jak wiesz, to był dowódca wojsk cesarza bizantyjskiego. Ale to imię jest chyba za poważne. Poza tym ludzie mówiliby na niego zdrobniale „Bela”, i na pewno by mu się to nie podobało. - Zachichotała.

- Saro! - zawołała panna Webster. - Nie paplaj tyle.

- Proszę jej nie karcić - poprosił Jack. - Podoba mi się to, co mówi. - Mrugnął do Sary, która odwzajemniła mu się promiennym uśmiechem.

Był ciekaw, jak przebiegnie spotkanie Sary z lordem Fulmarem. Nie sposób było odmówić jej uroku. Czy będzie w stanie zawładnąć sercem lorda, na co bez wątpienia liczyła towarzysząca jej kobieta? Postanowił, że kiedy tylko Charlie wprowadzi je do domu i odjedzie w stronę stajni, natychmiast pobiegnie do starego ogrodu obok biblioteki i schowa się tam za żywopłotem. Nie miał oporów przed podsłuchiowaniem, szczególnie wtedy, gdy zapowiadały się wielkie emocje.

Sarze nie przyszło do głowy, że w podróży może zdarzyć się coś nieprzyjemnego. Do tej pory wszystko bardzo jej się

podobało. Nawet kiedy dojechały do Hoop Hall, który był znacznie większy od wszystkich domów, jakie odwiedzała do tej pory, niczego się nie bała. Zeskoczyła z dwukółki, ledwie kucyk zatrzymał się przed imponującą fasadą, i poklepała jednego z kamiennych lwów strzegących wejścia.

Wszystko zmieniło się z chwilą przestąpienia progu domu. Ochmistrz był wysoki, groźny i miał kamienne spojrzenie. Najwyraźniej gościu mu się nie podobali. Jego chłód przygnębił Sarę. Poza tym wewnątrz było bardzo ponure. W westybulu była czarno-biała marmurowa posadzka, ale Sara natychmiast straciła ochotę do gry w klasy. Na ścianach wisiały naturalnej wielkości portrety dawno już nieżyjących członków rodziny Fulmarów, wyniosłe wpatrujących się w przestrzeń. Uwagę Sary przyciągnęła dama w ogromnej spódnicy na obręczach. Klęczący przed nią czarnoskóry służący podawał jej kosz z owocami, jednak kobieta ignorowała go. Sara, która została dobrze wychowana przez pannę Webster, pomyślała, że dama zachowuje się bardzo niegrzecznie.

- Panie chcą zobaczyć się z lordem Fulmarem - powiedział Charlie. - Zaprowadź je. - Skłonił się pannie Webster, mrugnął do Sary i wyszedł.

Sara nieznacznie uśmiechnęła się do niego. Spozstrzegła kolejny portret, tym razem przedstawiający dziewczynkę mniej więcej w jej wieku, trzymającą garść wiśni. Sara zapatrzyła się na obraz. Dziewczynka była do niej podobna, chociaż miała na sobie bardzo staromodną prostą białą suknię i, co szokujące, nie nosiła halki. Z trudem oderwała wzrok od portretu.

Ochmistrz wprowadził je do biblioteki, po czym zamknął za nimi drzwi.

Jack cicho przysunął się do okna i zajął miejsce za schludnie przystrzyżonym żywopłotem. Spodziewał się dobrej zabawy. Starsza pani wyglądała jak kwoka, nastroszona i gotowa za wszelką cenę bronić swego kurczęcia. Mała Sara była trochę przerażona. W jej dużych ciemnych oczach, tak bardzo przypominających oczy Gharliego, a także samego lorda Fulmara, czaił się strach. Po raz pierwszy Jack poczuł wyrzuty sumienia. Ze względu na obecność tego dziecka nie powinien był pozwolić, by Charlie doprowadził do tego spotkania.

Wysoki mężczyzna o wyrazistych rysach twarzy uniósł wzrok; zobaczył Hetty i Sarę. Miał krótko przystrzyżone siwe włosy, ubrany był w ciemnoczerwony jedwabny szlafrok, narzucony na koszulę, i brunatne spodnie. Nie wstał na powitanie. Rzucił przelotne, lekceważące spojrzenie pannie Webster, a potem przez dłuższą chwilę przyglądał się Sarze.

Dziewczynka usiłowała za wszelką cenę powstrzymać drżenie warg; przysunęła się do cioci Hetty.

- Ty, dziecko, usiądź tutaj i się nie odzywaj. - Wskazał ciężkie dębowe krzesło w rogu pokoju.

Sara usiadła, mocno splatając drżące ramiona, i z całej siły przygryzła wargę.

Na podłodze przy biurku lorda Fulmara siedział niewielki motyl, słaby, z postrzępionymi skrzydłami. Zapewne udało mu się przezimować w tym domu. Sara przyglądała mu się z niepokojem. Była jeszcze trochę za wczesna pora dla motyli; miała nadzieję, że nic złego mu się nie stanie.

Mężczyzna zaczął krzyczeć na ciocię Hetty, która samotnie stała teraz naprzeciwko niego. Sara widziała, że ciocia boi się, bo ciągle splatała i rozplatała dłonie, i wykrzywiła usta w grymasie, jak zawsze, gdy coś układało się nie po jej myśli.

Dlaczego krzyczał? Czy to możliwe, żeby mówił, iż cioci Hetty chodzi o pieniądze? Bardzo się mylił. Ciocia taka nie była.

Coś było nie tak. Zmieszana Sara wstała.

- Siadaj! - warknął lord Fulmar.

Posłusznie usiadła.

Nagle lord Fulmar zauważył motyla. Wysunął nogę i wgniół go w dywan. Sara cichutko krzyknęła z przerażenia.

Hetty odwróciła się i popatrzyła na Sarę. Przeważenie malujące się na twarzy dziecka sprawiło, że błyskawicznie podjęła decyzję. Sięgnęła do koszyka i wyjęła z niego kartkę papieru. Zaczęła czytać drżącym głosem, który jednak z każdą chwilą stawał się pewniejszy:

- *Ja, Maria Beale, uroczyście przeklinam Jamesa, lorda Fulmara...* - Jej głos przybrał na sile.

Mężczyzna za biurkiem zamilkł.

Nagle dla Sary wszystko uległo zmianie. Miała wrażenie, że cały pokój zamienił się w słych. Nawet zegar tykał ciszej niż zwykle. Ciotka kontynuowała niskim, poważnym głosem:

- *Niech umrze samotny, opuszczony i niekochany, i niech jego podłe grzechy zaprowadzą go prosto do piekła, gdzie zazna okrutnych mąk, tak jak mężczyźni i zaniedbywał mnie.*

Urwała. W pokoju panowała cisza. Mężczyzna zbladł. Hetty ostrożnie położyła kartkę na biurku i popatrzyła na Sarę.

- Chodź, Saro - powiedziała spokojnie.

Ukryty za żywoplotem Jack cicho gwizdnął. Zupełnie odechciało mu się śmiać.



Życie w domu przy Myddleton Square powróciło do swego normalnego trybu, a przynajmniej tak się mogło wydawać. Lecz dla Sary nic już nie było takie jak przedtem. Oczywiście nie zmieniła się w ciągu jednego dnia; nadal była inteligentną, żywą dziewczynką, która odwiedziła Hoop Hall, ale w jej życiu zagościł jakiś cień. Zrozumiała, że nigdy nie powinna była się urodzić. Ojciec jej nie chciał. Nigdy dotąd nie zaznała uczucia poniżenia, lecz stopniowo zaczynało ono do niej docierać, wżerać się w jej życie jak kwas. Jeszcze zanim skończyła piętnaście lat, często ogarniały ją ponure myśli, co bardzo martwiło pannę Webster.

Poza tym wizyta nie rozwiązała żadnego problemu. Panna Webster obawiała się, że jedynie pogorszyła sprawę. Przez jakiś czas bała się nawet, że otrzyma pismo od adwokata lorda Fulmara, lecz nic takiego nie nastąpiło. Nie było żadnej reakcji.

Dzięki Bogu, mogła wreszcie cieszyć się dobrym zdrowiem. Miała też świadomość, że na szczęście nie zostawi Sary bez grosza przy duszy. Rodzinna fortuna już prawie nie istniała, ale najdroższy Frederick zostawił jej wszystko, co posiadał -

nagrodę w wysokości 2500 funtów, którą otrzymał jako młody porucznik.

Jak się jednak miało okazać, czekały je nowe przeżycia, tym razem za sprawą siostrzenicy Hetty, Sophy Frampton, trzpiotki, która po ucieczce z domu wyszła za męża za nicponia, ciągle próbującego wyciągnąć od Hetty jakieś pieniądze. Żyli z dnia na dzień gdzieś w okolicach Hackney. Ich jedyna córka, Rose, miała pięć lat.

Co pewien czas Sophy opuszczała dom, by podjąć jakąś nieokreśloną pracę, jak mówiła, w charakterze „damy do towarzystwa”. Hetty nigdy nie zadawała zbyt dociekliwych pytań na ten temat. Rose była zostawiana u ciotecznej babki i nierzadko spędzała tam wiele miesięcy. Nigdy nie było wiadomo, jak długo potrwa „praca”, ani kiedy Sophy wróci do domu. Po prostu pewnego dnia zjawiała się w nowym ubraniu, pachnąca drogimi francuskimi perfumami, i z okazałym prezentem dla Rose.

Mąż Sophy pojawiał się niezmiernie rzadko. Czyżby go opuścił? Sophy nigdy nie powiedziała ani słowa na ten temat, a Hetty czuła, że najlepiej będzie się tym nie interesować.

Pewnego dnia, kiedy Sara miała około piętnastu lat, przyszedł list do panny Webster. Był bardzo krótki i rzeczowy.

Jestem gospodarzem pana Framptona. Niniejszym zawiadamiam, że pani Sophy Frampton zmarła w poniedziałek po kłótni z mężem. Pan Frampton zbiegł. Jeśli Rose nie zostanie odebrana do jutrzejszego południa, przekażę sprawę parafii.

Panna Webster ze zbielałą twarzą opadła na oparcie fotela. Sara, która cerowała pończochy, odrzuciła je i pobiegła po sole trzeźwiące.

- Och, biedna Sophy! - płakała Hetty. - Wiedziałam, że jest płocho, ale nie skrzywdziłaby nawet muchy!

Sara nie odezwała się, tylko pocieszycielskim gestem pogładziła dłoń Hetty. Nigdy nie przepadała za Sophy Frampton, która, jak jej się zdawało, wykorzystywała dobre serce panny Webster. Tego roku, kiedy ciocia Hetty była bardzo chora, pani Frampton nie zrobiła nic, nie przysłała nawet listu czy kwiatów. Po prostu zniknęła, a gdy ciocia Hetty wróciła do zdrowia, natychmiast pojawił się ten okropny mąż Sophy i prosił o pieniądze. W ciągu ostatnich pięciu lat widywały Sophy tylko wtedy, gdy szukała kogoś, kto zająłby się Rosę.

- Biedna Rosę - szlochała Hetty. - Biedulka, na pewno jest bardzo przerażona. Muszę natychmiast po nią pojechać.

W ciągu miesiąca od przyjazdu Rosę podporządkowała sobie cały dom. Była bardzo urodziwą dziewczynką, wdzięczną i delikatną, o błyszczących orzechowych oczach i złocistych loczkach. Sara czuła się przy niej duża i niezgrabna. Wiedziała, że nie powinna być zazdrosna o świeżo osierocone pięcioletnie dziecko, nie mogła jednak nic na to poradzić. Co gorsza, musiała dzielić z Rosę pokój.

W niedługim czasie zabawki Rosę walały się po całym pokoju, a jej ubrania zajęły ponad połowę przestrzeni. Sara czuła, że to niesprawiedliwe, ale wyglądało na to, że Rosę, jako prawowite dziecko, cieszyła się przywilejami, które nie przysługiwały Sarze.

Rosę chciała również bawić się w teatr, który wraz ze szmacianą lalką od matki zajmował szczególne miejsce wśród rzeczy Sary. Sara schowała go, ale to nie pomogło. Rosę zaczęła płakać,

najpierw cicho, ale widząc, że to nie daje rezultatu, zaniósła się spazmatycznym szlochem i pobiegła po pomoc do cioci Hetty.

- To nieładnie, kochanie - skarciła Sarę panna Webster. - Przecież już się nim nie bawisz.

Sara niechętnie zdjęła teatrzyk z szafy. Pół godziny później, kiedy kurtyny zostały zerwane z drutu, magiczna pałeczka księżniczki Eglantyny złamana, a Zielony Rycerz utracił prawą rękę, Rosę znudziła się zabawa, więc, zostawiając figurki porozrzucane po całej podłodze, zbiegła na dół do kuchni po parę śliwek w cukrze.

Sara zeszła po schodach i zaczęła wymachiwać połamanym Zielonym Rycerzem przed zaniepokojoną Hetty.

- Popatrz tylko, ciociu, co ona zrobiła! - zawołała. - Już nigdy nie będzie wyglądał tak samo! Nigdy! - Wybuchnęła płaczem.

- O, Boże! - Minęło już wiele lat od czasu, gdy Sara ostatni raz wpadła w złość. Hetty zrozumiała, że chcąc jak najserdeczniej przyjąć osieroconą Rose, zapomniała, iż Sara mogła poczuć się zagrożona pojawieniem się ciotecznej wnuczki. - Saro, nie denerwuj się tak. Rose zachowała się niegrzecznie, ale jest jeszcze bardzo mała i nie rozumie wielu rzeczy. Uspokój się, kochanie, a ja jej wytłumaczę, że nie wolno jej bawić się teatrem.'

Sara zmusiła się do opanowania.

- Dziękuję, ciociu Hetty.

Pan Copperstone zrobił dla Rose konika na biegunach, a jego żona często wsuwała jej w rączkę sześciopensówki na słodycze. Panna Valloton uszyła małe sukieneczki z ozdobnymi stanikami. Nawet ciocia Hetty, która robiła, co mogła, by wpoić ciotecznej wnuczce zasady dobrego wychowania, nie raz uśmiechała się widząc przejawy nieposłuszeństwa Rose, choć oczywiście ją przy tym besztła.

Sara, która czuła się głęboko nieszczęśliwa, że musi dzielić pokój z Rose, także nie potrafiła opanować wzruszenia, kiedy Rose pierwszej nocy przy Myddleton Square weszła do jej łóżka, objęła ją rączkami i wyszeptła:

- Czy moja mama wróci?

Sara otoczyła ją ramieniem.

- Twoja mama jest w niebie.

Rose dostała czkawki, a potem wychlipała:

- Nie chcę, żeby mama była w niebie, chcę, żeby była tutaj.

Sara przytuliła ją mocno.

- Moja mama też jest w niebie - powiedziała ze smutkiem, ale płacząca Rose jej nie usłyszała.

Po tej rozmowie, ilekroć Rose doprowadzała ją do wściekłości, Sara natychmiast łagodniała na widok jej pełnego smutku spojrzenia, nawet jeśli w jej głowie czaiło się podejrzenie, że Rose w ten sposób usiłuje nią manipulować.

Marzec 1843 roku był wietrzny i deszczowy i gdy uniesiono płytę rodzinnego grobowca w kaplicy Świętego Marka, żałobników owionęło zimne, wilgotne powietrze. Mroźne podmuchy sprawiły, że płomyki świec w ściennych lichtarzach stały się długie i migotliwe. Jack Midwinter, zadowolony z tego, że ma na sobie ciężką pelerynę, ponuro wpatrywał się w trumnę, w której spoczywały doczesne szczątki jego przyjaciela, Charlesa Fulmara.

W ciągu ostatnich lat rzadko spotykał się z Charliem. Teraz biedny głuptas nie żył. Jack pomyślał, że było to nieuchronne, zważywszy jego tryb życia. Charlie nigdy nie wrócił do Oksfordu. Ożenił się młodo, łudząc się, że pozwoli mu to zyskać samodzielność. Jednak to lord Fulmar wybrał mu żonę, biorąc

pod uwagę rozłożyście biodra przyszłej matki i znaczny posąg, i odmówił mu prawa do posiadania własnego domu. Charles i szanowna pani Fulmar musieli zamieszkać w skrzydle Hoop Hall. Lord Fulmar nie chciał tracić z oczu swego jedyne go syna.

Prośby Charliego o odrobinę samodzielności nie zdały się na nic. Lord Fulmar dwa razy w tygodniu jadał obiady ze szczęśliwymi małżonkami i starał się organizować Charlie mu życie tak dalece, jak tylko było to możliwe. Jack widywał przyjaciela bardzo rzadko, gdy przyjeżdżał do Hertfordshire w odwiedziny do matki.

- Dziwne, że nie przyszło mu jeszcze do głowy, że powinien sam sypiać z moją żoną - powiedział z goryczą Charlie w czasie ostatniego spotkania. - Nie ma do mnie zaufania i nie wierzy, że cokolwiek umiem zrobić właściwie.

Wszelkie nadzieje, że Charlie i jego żona odnajdą własną drogę do małżeńskiego szczęścia, rozwiały się już na samym początku. Nie chodziło tu bynajmniej o żonę Charliego. Wprawdzie nie była szczególnie urodziwa, ale przecież i Charlie po swoich pijackich wyczynach też nie był Adoniszem. Roztył się i miał obrzmiałą, wiecznie zaczerwienioną twarz.

- Jest marionetką w rękach mojego ojca- zwierzył się Jackowi. - Robi wszystko, co on każe.

- Może tylko próbuje łagodzić sytuację - podsunął Jack, niecierpliwie wierząc się na krześle. Nie lubił rozmawiać o problemach uczuciowych. Ilekroć jakaś kobieta stawała się, jak to nazywał, „problemowa”, po prostu odchodził.

- O, to nie ona! Cały czas zadręcza mnie, żebym przestał pić. Do diabła, a co innego człowiek może robić w tym przeklętym miejscu?

- Masz przecież syna - przypomniał mu Jack. Charlie za-

czynał go nudzić. Postanowił jak najszybciej pożegnać się z nim pod byle pretekstem.

- E, tam. - Charlie odwrócił się i splunął w ogień. - James to maminsynek.

James Fulmar był niespełna pięcioletnim nieśmiałym chłopcem, który bał się własnego ojca. Trudno było się temu dziwić, jako że Charlie nieustannie na niego krzyczał.

- Mówisz jak lord Fulmar.

- Jak mój ojciec! - Gwałtownie poczerwieniał na twarzy. - Odpowiedz mi za to! - Próbując wstać, spadł z krzesła i dotkliwie się potłukł.

Jack uniósł go z podłogi i z powrotem posadził na krześle.

- Nie bądź głupi.

- Jak mój ojciec - powtórzył tępo Charlie.

- Twój ojciec jest tyranem, a ty idziesz w jego ślady. - Jack wstał. Nie znosił Charliego w tym stanie, robiącego ze wszystkiego problemy i użalającego się nad sobą.

Gdy Jack rozmyślał o tym wszystkim, dwaj mężczyźni unieśli trumnę i z cichym postępowaniem umieścili ją na półce obok miejsca wiecznego spoczynku młodszego brata. Nagle Jackowi przyszła do głowy niestosowna myśl, że ktoś powinien włożyć Charlie mu do trumny coś na rozgrzewkę, na przykład butelkę brandy.

Pastor odmówił kilka modlitw, wyraźnie się śpiesząc, jako że w krypcie panował przenikliwy ziąb, i ceremonia pogrzebowa dobiegła końca.

Jack podszedł do lorda Fulmara, by złożyć mu kondolencje.

- Zamknąć kryptę- warknął lord Fulmar, nie zwracając uwagi na Jacka i pozostałych żałobników, i sztywno oddalił

się boczną nawą. Był teraz zupełnie siwy, ale poza tym pozostał tym samym surowym mężczyzną, który usiłował onieśmielić pannę Webster i Sarę w bibliotece Hoop Hall. Zgorzkniał z powodu głęboko chowanych urazów.

W przeciwieństwie do Arthura, który był beztróskim łobuziakiem, Charlie był trudnym, samowolnym dzieckiem, co jednak lord Fulmar potrafił zrozumieć. Teraz obaj synowie nie żyli. Został mu tylko wnuk, James, bezużyteczny, bojący się wszystkiego. Trzeba będzie go zahartować, popracować nad jego charakterem. W wieku Jamesa Charlie strzelał już z procy do wróbli, a oplakiwanie paru utopionych kociąt nie przysłoby mu nawet do głowy.

Jack nie poszedł za lordem Fulmarem. Prawdę mówiąc, co też mógł mu powiedzieć? W końcu to sam lord w ogromnej mierze ponosił winę za to, że Charlie był taki, a nie inny. Jack postanowił w najbliższych dniach odwiedzić Jamesa. W końcu dzieciak był jego chrzestnym synem.

Wróciwszy do Holly Park, rodowej siedziby Midwinterów, Jack zauważył, że nadeszła już poczta z Londynu. Czekał na niego pachnący fiołkami list od Clary, kobiety, której poświęcał ostatnio sporo czasu. Clara pisała, że sir George Cranborne organizuje bal maskowy. Czy pan Midwinter mógłby jej towarzyszyć? Przyjęcia u Cranborne'a nie były przeznaczone dla osób pruderyjnych. Zazwyczaj miały jakiś szokujący temat przewodni - któregoś roku były nim Róże Heliogabala; kobiety odkryte były prawie wyłącznie płatkami róż.

Jack pomyślał, że przyjęcie może być zabawne. Poza tym Clara nie zapraszałaby go, gdyby nie miała zamiaru spełnić jego oczekiwań. Przetrzywała go już wystarczająco długo.

Pani Midwinter była niezadowolona, że Jack chce tak szybko wyjechać.

- Nie zdążyłam nawet z tobą porozmawiać - żaliła się. - Nie powiedziałaś mi, czy byłeś na balu u Leominsterów. Doszły mnie słuchy, że panna Leominster jest jedną z gwiazd sezonu. - Z nadzieją zawiesiła głowę.

Jack westchnął.

- Nie, mam. Nie byłem na tym przyjęciu. Nie interesują mnie takie zabawy.

- Ależ, Jack, jak masz zamiar poznać jakąś miłą pannę, jeśli nigdy nie chodzisz na tańce? Wiesz przecież, że twój ojciec marzył o tym, żebyś zamieszkał w Holly Park z dobrą żoną.

Jack znów westchnął. Dobrze wiedział, jakie są oczekiwania matki względem niego. Nie interesowały go jednak purytańskie debutantki marzące o tym, by znaleźć męża. Zdecydowanie wolał prowadzić życie światowca z pieniędzmi, lecz bez zobowiązań, otoczonego wianuszkami kobiet nieskrępowanych surowymi zasadami.

- Bardzo mi przykro, mam - powiedział - ale jestem umówiony w Londynie i wyjeżdżam jutro o świcie.

Pani Midwinter wiedziała, że żadne nalegania nie mają sensu, więc nie powiedziała już nic więcej.

Następnego dnia Jack był z powrotem w Londynie. Przypomniał sobie o Jamesie dopiero po paru tygodniach. Jestem wstrętnym samolubem, pomyślał ze skrucą. Zapomniał o dziecku, bo spieszno mu było kochać się z Clary. Powinien był zostać dłużej w Holly Park i spełnić swój obowiązek.

Posłał Jamesowi nakręcanego żołnierza, który bił w bęben, i był szczerze wzruszony, kiedy chrześniak chwiejnymi literami napisał do niego Ust z podziękowaniem.

Kilka miesięcy później James zaraził się szkarlatyną od syna gajowego i umarł. Jack, który spędzał wtedy kilka dni w Holly

Park, omawiając interesy z administratorem majątku, uznał, że nie będzie w stanie znieść kolejnego pogrzebu i widoku małej trumienki na zimnym murze obok trumny Charliego, więc nie wziął udziału w ceremonii żałobnej.

- Biedna pani Fulmar odchodzi od zmysłów - powiedziała pani Midwinter przy śniadaniu. - Ale lord Fulmar nie wpuszcza żadnych gości.

- To bydlę - stwierdził Jack. - Słyszałem w wiosce, że zwolnił gajowego. Biedny Ulthorne do końca tygodnia musi wyprowadzić się z chaty. A przecież i on stracił syna, a podobno jego drugie dziecko też choruje na szkarlatynę.

- Jack, a może porozmawiałbyś z lordem Fulmarem na temat Ulthorne'a? To zacny człowiek. Przecież to nie jego wina, że dzieci zachorowały na szkarlatynę.

Jack pokręcił głową.

- To nic nie da. Powiedziałem Ulthorne'owi, żeby do mnie przyszedł. Myślę, że znajdę dla niego pracę, jeśli nie będzie mu przeszkadzało zwierzchnictwo Cothama. Mógłby zamieszkać w starej chacie Sama.

Nie chcąc martwić matki Jack nie dodał, że lord Fulmar byłby wściekły, gdyby jakiś parweniusz wtrącał się w jego sprawy. Wprawdzie Jacka wcale nie martwił lekceważący stosunek lorda Fulmara do ojca - właściciela przędzalni, ale gdyby dowiedziała się o tym matka, na pewno by się tym zadreczęzała. Na szczęście pani Midwinter rzadko spotykała lorda Fulmara.

- Biedny James był ostatnim z Fulmarów - powiedziała pani Midwinter. - Zastanawiam się, co się teraz stanie. - Zrobiła pauzę i dodała wymownym tonem: - To przykre, kiedy ogromny majątek dostaje się w obce ręce, bo nie ma dziedzica.

Jack dopił kawę i wstał.

- Na mnie już czas - powiedział. - Nie wrócę na lunch. - To powiedziawszy, wyszedł.

Pani Midwinter westchnęła.

W tym samym roku Sara skończyła osiemnaście lat. Po ukończeniu szkoły, nie szczędząc wysiłku, pomagała w prowadzeniu domu, ale, prawdę mówiąc, nie miała do tego serca. Chciała pomagać pannie Valloton i uczyć się zawodu krawcowej. W końcu panna Valloton uległa namowom Sary i pewnego ranka zapukała do drzwi mieszkania panny Webster, prosząc ją o chwilę rozmowy.

- Starzeję się i chciałabym komuś przekazać swoją wiedzę. Jak pani wiadomo, moja matka została przysposobiona do zawodu przez samą Rose Bertin! - zakończyła.

Panna Webster poczuła się dotknięta. Fakt, że krawcowa nieszczęśliwej ekstrawaganckiej królowej, Marii Antoniny, uczyła matkę panny Valloton, w jej mniemaniu nie był żadną rekomendacją. Jej przybrana córka miałaby zostać krawcową... choćby nawet i najznakomitszą?! Terminowanie było bardzo męczące i wymagało wielu godzin codziennej pracy, a co potem? Większość krawcowych żyła na krawędzi ubóstwa. Nie tak wyobrażała sobie przyszłość Sary.

- Porozmawiam o tym z Sarą - powiedziała, siląc się na miły ton i usiłując okazać odrobinę wdzięczności. - Dziękuję, panno Valloton.

Ku jej zdumieniu, Sara zareagowała entuzjastycznie.

- To wcale nie będzie ciężka praca, ciociu Hetty. Będę tu mieszkać i w dzień chodzić do panny Valloton. Myślę, że mogę być dobra w tym fachu.

- Saro - powiedziała stanowczym tonem panna Webster. - Odebrałaś staranne wykształcenie. Udało mi się odłożyć dla ciebie pewna sumę pieniędzy i na pewno nie będziesz głodować. Chciałabym, żebyś wyszła za męża, a jaki szanowany mężczyzna zechce ożenić się z krawcową?

Sara, zakłopotana, splotła ręce.

- Nie wyjdę za męża. Jestem zbyt masywna i za wysoka. Kto mnie zechce? - Nie dodała: „Jestem nieślubnym, niechcianym dzieckiem”, ale miała te słowa na końcu języka.

- Nonsens - powiedziała panna Webster. - Masz jeszcze trochę dziewczęcego tłuszczu, to wszystko. Jesteś bardzo przystojna. Ale zrobisz, jak uważasz. W końcu umiejętność szycia jest bardzo przydatna. Nigdy nie wiadomo, jak potoczy się życie.

Dla Sary nadeszły pracowite lata. Nauczyła się, jak powiększać zbyt płaski biust i co należy zrobić, by klientka sprawiała wrażenie szczuplejszej, wyższej lub niższej, i jak dobrać materiał.

- Wszystko zależy od kroju, Saro - wyjaśniała panna Valloton. - Od kroju i od materiału. Zawsze kupuj najlepsze, na jakie cię stać.

Już wkrótce miała okazję oglądać własne projekty Sary, której przydały się doświadczenia z dzieciństwa, kiedy to ubierała swoich aktorów z drewna. Jej projekty były jednak niezwykle teatralne. Byłyby doskonałe na maskaradę, myślała panna Valloton; nie była pewna, czy przydadzą się w codziennym życiu.

- Dobrze, *ma chere*, ale nie przystrajaj ich tak bogato. Wiem, że teraz panuje moda na żywsze kolory i dużo falban, ale wysoka dziewczyna taka jak ty powinna się ich wystrzegać. Zbyt duża ilość ozdób sprawi, że będziesz wyglądać jak przykrycie na imbryczek.

- Tak, panno Valloton - powiedziała zdruzgotana Sara. Panna Valloton poklepała ją po ramieniu.

- Jesteś bardzo dorodną dziewczyną i najlepiej to wyeksponujesz, umiejętnie dobierając materiał i krój. Łagodne, proste kolory, Saro. Pamiętaj.

- Chciałabym być taka ładna jak Rose - powiedziała z rozmarzeniem Sara.

- Ach, Rose... - Panna Valloton zasznurowała usta. Spodziewała się wielu kłopotów z jej strony. Dziewczynka, która już w wieku sześciu lat flirtowała z posłańcami, w wieku lat szesnastu z pewnością będzie utrapieniem. Zastanawiała się, czy panna Webster da sobie z nią radę.

Jak daleko sięgnąć pamięcią, Rose Frampton prowadziła podwójne życie. Zaczęło się to, kiedy miała mniej więcej siedem lat. Błagała o lekcje tańca i w końcu panna Webster poddała się, głównie po to, by Rose siedziała cicho. Jednakże Rose nigdy nie powiedziała swej ciotecznej babce, ani nawet Sarze, że nauczycielką tańca, która raz w tygodniu prowadziła ją do szkoły, była panna Toller, prywatnie żona Alfreda Framptona, ukochanego wujka Rose.

Rose natychmiast rozpoznała ciocię Bessy, ale panna Toller odezwała się do niej dopiero po pierwszej lekcji tańca.

- Rosie, kochanie. A więc poznałaś ciocię Bessy. - Pani Frampton, z domu Toller, była wesołą, elegancką kobietą, stąpającą zadziwiająco lekkim, tanecznym krokiem. - Och, twoja biedna mamusia. Boże, jak ja płakałam. Twój wujek Alfred też bardzo to przeżył. Tak bardzo ją lubił.

Orzechowe oczy Rose napełniły się łzami.

- Och, kochanie, nie powinnam była o tym mówić. - Otarła oczy dużą chustką, po czym wytarła łzy Rose. - Jak ci się mieszka u panny Webster?

- Jest bardzo dobra i miła - powiedziała ponuro Rose. - Ale, och, ciociu Bessy, tam jest tak cicho! - Życie z rodzicami było pełne zgiełku. Ojciec lubił pić, matka uwielbiała przyjęcia. Kłócili się okropnie, czego Rose nienawidziła, ale odwiedzało ich mnóstwo ludzi, którzy bardzo ją lubili i rozpieszczali.

Panna Toller skrzywiła się. Sophy Frampton mówiła jej, że panna Webster jest osobą surowych zasad moralnych. Ona sama też lubiła odrobinę zabawy. Jej mąż, Alfred, był nauczycielem tańca i odpowiadał za ruch sceniczny w teatrze Sadler's Wells, a ich dom przy Penton Street zawsze był pełen ludzi.

- Po śmierci twojej mamy chciałam cię wziąć do nas - powiedziała - ale Alfred stwierdził, że jesteś za mała. Prowadzimy tryb życia, który byłby nieodpowiedni dla dziecka.

- Kocham takie życie - powiedziała z rozmarzeniem Rose.

- No nic, kochanie - rzekła panna Toller. - Powiem wujowi Alfredowi, że cię spotkałam i myślę, że co pewien czas będziesz mogła nas odwiedzać.

- Ale nie mów nic cioci Hetty, dobrze? - poprosiła Rose. Jej dolna warga zaczęła drżeć. - Polly powiedziała mi, że ciocia nazwała moją mamę „trziptką”. Nie wiem, co to znaczy, ciociu Bessy, ale nie chcę, żeby przezywano moją mamę. Proszę, nic nie mów cioci.

- Zapytam twojego wuja - odpowiedziała ciotka Bessy. - Głowa do góry, Rose. Panna Webster to dobra kobieta, więc powinnaś we wszystkim jej słuchać.

Rose skrzywiła się.

W końcu ani Framptonowie, ani Rose niczego nie powiedzieli

Hetty. Alfred Frampton miał o sobie wysokie mniemanie jako o artyście i wiedział, że panna Webster będzie patrzeć na niego z góry. Jego żona kochała Rose jak córkę, której nigdy nie miała. Nie chciała stracić z nią kontaktu. Pozostawiono więc sprawę jej własnemu biegowi. Nawet jeśli Bessy nie do końca wierzyła w opowieści Rose o surowej dyscyplinie w domu przy Myddleton Square, nie miała też żadnych oporów przed nieznanym podważaniem autorytetu Hetty. Rozmawiała raz z panną Webster i była pewna, że jej poglądy są na tyle sztywne, iż nigdy nie zgodzi się, by Rose ich odwiedzała.

Tu akurat nie miała racji, jako że Hetty, niezależnie od własnych poglądów, poczytała za swój obowiązek umożliwienie Rose kontaktu z rodziną ojca.

Będąc niespełna szesnastoletnią dziewczyną, Rose Frampton doskonale już wiedziała, czego oczekuje od życia. Z pewnością nie była to nudna stateczność obowiązująca przy Myddleton Square.

Chciała mieć modne suknie, dom w dobrej dzielnicy Londynu, bywać na przyjęciach i wyjść za mąż za bogatego mężczyznę, najchętniej lorda. Fakt, że ubogie cioteczne wnuczki właściolelek kamienic czynszowych, choćby i szanowane, zazwyczaj nie mogły sobie pozwolić na takie życie, nie zniechęcał jej w najmniejszym nawet stopniu.

Już teraz przyciągała uwagę wielu mężczyzn.

Hetty była najpierw rozbawiona, a później coraz bardziej przerażona liczbą młodych kawalerów, którzy przychodzili do domu i twierdzili, że są znajomymi panny Frampton.

- Gdzie też ona ich poznaje? - zapytała Sarę, pożegnawszy jednego z adoratorów. „Moja cioteczna wnuczka nie przyjmuje gości, którzy nie zostali przedstawieni rodzinie”, oznajmiła mu.

Młodzieniec uniósł brwi, co wydało się Hetty bezczelnością, i odszedł, pogwizdując.

Sara nie odpowiedziała. Bardzo lubiła Rose- nie można było jej nie lubić - ale ciągle myślała o tym, że nigdy nie odwiedził jej żaden mężczyzna, chociaż miała już dwadzieścia pięć lat i była o dziewięć lat starsza od Rose. Przy jasnowłosej i kruchej Rose czuła się jak olbrzymka.

W wieku dwudziestu pięciu lat Sara nadal uważała się za przerośniętą dziewczynę, którą była przed dziesięcioma laty. Tymczasem bardzo wyszczupiała; jej figura, która tak ją niepokoiła, kiedy była nastolatką, była teraz przyjemnie zaokrąglona, a złotobrzowe oczy inteligentnie przyglądały się światu. Była wysoka, ale po latach noszenia deseczki na plecach i karcenia przez pannę Webster i pannę Valloton, trzymała się prosto i poruszała z wdziękiem.

Było wielu młodych mężczyzn, którzy widywali ją w kościele i byliby zachwyceni, mogąc ją odwiedzić, ale nigdy nie zostali do tego przez nią zachęcani. Sara po prostu nawet ich nie zauważała.

Wypytywana o swego gościa Rose zareagowała śmiechem. Nie miała pojęcia, kto to mógł być. Spotykała tak wiele osób. Zapewne był to brat jednej z koleżanek z lekcji tańca. Przecież nie ponosiła winy za to, że chłopcy chcieli się z nią zobaczyć, nieprawdaż? Podbiegła do zaniepokojonej panny Webster i pocałowała ją w policzek.

- Kochana ciociu Hetty! Nie wiem, kto to był, ale to bardzo niegrzeczne z jego strony, że ośmielił się tu przyjść. Miałaś rację, że go odprawiłaś. Proszę, nie gniewaj się na mnie. Co ja mogę na to poradzić?

Hatty uśmiechnęła się niepewnie.

- Dbam tylko o twoją reputację, Rose - powiedziała. Mar-

twiła się o podopieczną. W świadectwach szkolnych nauczyciele sygnalizowali brak należytej uwagi i zainteresowania lekcjami. Hetty pomyślała, że Rose ma naturę motyla. Nigdy nie potrafiła usiedzieć w jednym miejscu dłużej niż kilka minut. - Chyba nie chcesz uchodzić za łatwą dziewczynę?

Nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby dało mi to w zamian to, o co mi chodzi, pomyślała buntowniczo Rose. Doskonale wiedziała, kto ją odwiedził. W tajemnicy przed panną Webster, a przy poparciu cioci Bessy, opuściła lekcję tańca i poszła z nim do White Conduit House.

- Młodym jest się tylko raz, kochanie - powiedziała ciocia Bessy. - Idź i baw się dobrze. Tylko pamiętaj, bądź rozsądna.

Nie ma się czego obawiać, myślała Rose. Wypije trochę wina, zje ciastko i pozwoli na kilka pocałunków. Zakończy spotkanie, kiedy chłopak się roznamiętni.

Rok 1851 przyniósł wiele zmian w ich życiu. Zaczął się bardzo dobrze. Panna Valloton przedstawiła Sarę swojej przyjaciółce, pannie Bailey, która projektowała i szyła kostiumy w teatrze Sadler's Wells. Panna Bailey była kobietą w nieokreślonym wieku, a całe jej życie wypełniała praca. Była niska i przysadzista, przyprószone siwizną włosy wiązała w kok, miała zdumiewająco zręczne palce i jasnoniebieskie oczy.

Jej pokój, do którego prowadziły drewniane skrzypiące schody biegnące od wejścia na scenę do licznych pracowni teatralnych na zapleczu, miał pobielane ściany. Stół panny Bailey stał tuż przy oknie, by padało nań jak najwięcej światła. W jednym rogu był niewielki kominek. Ściany obwieszono szkicami panny Bailey związanymi z przedstawieniem, nad

którym aktualnie pracowano, a na licznych wieszakach wisały kostiumy w różnym stadium wykończenia. Był też krawiecki manekin z haftowaną złotem czarną aksamitną suknią Katarzyny Aragońskiej, potrzebną w scenie widzenia w *Henryku VIII*.

Zachwycona Sara głęboko zaczerpnęła tchu. To było to: od dawna marzyła, żeby zajmować się czymś takim. Wiedziała, że projektowane przez nią ubrania są zbyt śmiałe, by nosić je na co dzień i zawsze brała pod uwagę sugestie panny Valoton, lecz tutaj pasowały jak ulał. Na haku wisała szkarłatna, niemal karmazynowa aksamitna szata kardynała Wolseya, obszyta futrem. Z rozkoszą będzie projektować i szyć takie kostiumy.

W czasie wizyty nie odzywała się, ale w jej głowie aż kłębiło się od różnych myśli. Kilka dni później przyszła do teatru z teczką pełną szkiców, zapukała do drzwi prowadzących na scenę i zapytała, czy mogłaby zobaczyć się z panną Bailey.

Po lewej stronie drzwi znajdował się mały pokój, w którym siedział niski mężczyzna o naburmuszonej twarzy, szpeciniaszych siwych włosach i gniewnych szarych oczach pod krzaczastymi brwiami. Na chodniczku w rogu leżał stary szorstkowłosy pies z obandażowaną łapą. Kiedy Sara zadała pytanie, uniósł łeb i zawarczał.

Pan Williams, w kompanii teatralnej zwany Pieprzem z powodu zmiennych nastrojów, uniósł wzrok znad gazety i przyjrzał się jej uważnie.

- Kim pani jest?

- Panna Beale - odpowiedziała nerwowo Sara. - W zeszłym tygodniu byłam tu u panny Bailey.

- Panna Bailey nie życzy sobie, żeby zabierano jej czas.

- Nie zabiorę... - W tej chwili pies wstał, spróbował przejść parę kroków i upadł. - Och, biedna psina! - zawołała Sara.

Pan Williams natychmiast złagodniał. Większość członków kompanii nazywała Kleksa „starym kundlem”, a zdarzały się jeszcze gorsze określenia. Ta panna Beale przynajmniej okazała współczucie.

- Rozciął sobie łapę na jakimś drucie.

- To bardzo smutne.

Usłyszawszy łagodny głos, Kleks parę razy uderzył ogonem o podłogę. Pieprz Williams chrząknął.

- Widzę, że panią polubił. W takim razie proszę wejść. Wie pani, gdzie szukać panny Bailey?

- Tak, dziękuję. - Sara szybko wbiegła na schody, obawiając się, że mężczyzna za chwilę zmieni zdanie.

Tego wieczoru panna Webster z przerażeniem przyjęła wiadomość, że jej podopiecznej zaproponowano pracę w teatrze Sadler's Wells za dwadzieścia pięć szylingów tygodniowo. Nie pocieszyło jej nawet to, że była to całkiem niezła zapłata.

- Moja Sara będzie pracować w teatrze! - jęczała. - Och, Saro! Jak mogłaś zrobić mi coś takiego?! Jutro będę musiała tam pójść i powiedzieć im, że nie mogę do tego dopuścić.

Sara usiadła przy ciotce i chwyciła ją za rękę.

- Ależ ciociu Hetty, przecież nie będę tam występować. Będę pracować za kulisami. Nikt mnie nie zobaczy. To bardzo porządna posada. Przecież w zeszłym tygodniu sama mówiłaś, że pan Phelps wyprosił chuliganów z teatru. Oni tam wystawiają Szekspira! Trudno chyba o porządniejszy repertuar.

Tymczasem pan Phelps, główny aktor i dyrektor teatru, powiedział Sarze, że jeśli zajdzie potrzeba, może zostać po-

proszona o wystąpienie w roli statystki. Spojrzawszy na jej przerażoną twarz, dodał:

- Każdy robi tu to, co jest potrzebne w danej chwili. Pan Williams, którego spotkała pani przy drzwiach na scenę, jest naszym suflerem i grywa role starszków... dodam, że robi to znakomicie.

- Ale... - Sara zająknęła się. - Panie Phelps, naprawdę nie mogę wystąpić na scenie. Nie mam do tego talentu, jestem tego pewna. - Zauważyła, że jego oczy niemal całkowicie pozbawione były koloru, co czyniło jego wzrok tym bardziej niepokojącym.

Phelps uśmiechnął się.

- Nie ma potrzeby tak się denerwować - powiedział łagodnym tonem. - Nie będzie pani musiała wypowiadać żadnych kwestii, wystarczy samo pojawienie się na scenie. Może w roli damy dworu, coś w tym rodzaju.

Sara nie wspomniała o tym panie Webster. Powiedziała panu Phelpsowi, że nie chce występować na scenie i miała nadzieję, że to wystarczy. Gdyby jednak została do tego zmuszona, pewnie uda się jej schować z tyłu sceny, gdzie nikt jej nie zobaczy. Sama myśl o tym, że będą ją oglądać setki widzów, sprawiła, że Sara znów poczuła się duża i niezgrabna.

Lecz perspektywa pracy z panną Bailey przy szyciu kostiumów napełniała ją poczuciem szczęścia. W dniu rozpoczęcia pracy w Sadler's Wells Sara przyniosła dziękczynną kość dla Kleksa.

Niestety, było to ostatnie przyjemne wydarzenie w tym roku. Pan Copperstone zmarł, a wdowa po nim wyprowadziła się do najstarszego syna i jego rodziny. Miłe gospodarstwo, które było częścią życia Sary, zaczynało się rozpadać. Potem,

tuż po sobotniej popołudniowej wizycie w Crystal Palace, gdzie wybrała się wraz z Sarą i Rose, panna Webster ciężko zachorowała. Rose natychmiast zaproponowała, że zrezygnuje ze szkoły i będzie się nią opiekować. Panna Valloton zostawiła swoje suknie i przyłączyła się do pomocy. Przez pierwszy tydzień Sara chodziła do pracy z niepokojem w sercu i często wpadała do domu na pół godziny w czasie przerwy na lunch, żeby zobaczyć, jak czuje się ciocia.

Hetty miała siedemdziesiąt sześć lat. Był to słuszny wiek, ale Sara nie chciała jej utracić. Miała nadzieję, że ciocia zwycięży chorobę. Panna Webster zawsze cieszyła się dobrym zdrowiem i z wyjątkiem okropnej zimy, kiedy Sara miała dziewięć lat, chorowała najwyżej na przeziębienie.

Co bez niej poczną? Kto inny będzie w stanie korzystnie wpłynąć na Rose? Kto zajmie się gospodarstwem i znajdzie porządnych lokatorów na miejsce Copperstone'ów? Sara nie zamierzała rezygnować z pracy, nie miała ochoty na przejęcie obowiązków gospodyni, a wątpiła, czy Rose będzie chciała i potrafiła podjąć się tego.

- Nie martwię się o ciebie, Saro - wyszeptała panna Webster któregoś wieczoru, kiedy zostały same. - Jesteś rozsądna. Jestem z ciebie bardzo dumna.

Oczy Sary zaszyły łzami. Ujęła wychudzoną dłoń ciotki.

- Dziękuję, ciociu Hetty. Dobrze wiem, ile ci zawdzięczam.

- Nic mi nie zawdzięczasz. - Panna Webster mówiła tak cicho, że Sara musiała się nad nią nachylać. - Twoje pojawienie się było dla mnie błogosławieństwem. Prawdziwym błogosławieństwem. - Delikatnie pociągnęła Sarę za rękę.

- Tak, ciociu?

- Saro, podejdz do biurka i przynieś paczuszkę listów, przewiazaną czerwoną wstążką.

Zaintrygowana Sara spełniła prośbę.

- To listy od mojego drogiego Fredericka, który zginął koło Przylądka Świętego Wincentego. - Hetty wzięła paczuszkę w pomarszczone dłonie i delikatnie ją ucałowała. - Proszę cię, żebyś spaliła je po mojej śmierci. Nie chcę, żeby ktoś je czytał.

- Obiecuję, ciociu Hetty.

- Poza tym, Saro, dbaj o Rose. Ona jeszcze nie spowaźniała.

- Zrobię, co w mojej mocy. - I na co Rose mi pozwoli, dodała w myślach.

Hetty zmarła we śnie, gdy Rose i Sara czuwały przy niej przez cały wieczór. Rose natychmiast zanosła się płaczem, a Sara cicho zaciągnęła zasłony.

Sara przekonała się, że nic tak nie wyczerpuje jak smutek. Natychmiast napisała do pana Phelpsa, który dał jej wolny tydzień, zorganizowała pogrzeb, skontaktowała się z prawnikiem panny Webster, panem Woodem, a panna Valloton pomogła jej uszyć czarne suknie dla niej i dla Rose. Robiła to wszystko tak, jakby była maszyną.

- Z czasem będzie ci łatwiej, moja droga Saro - powiedziała panna Valloton.

- Nie przypuszczałam, że będzie tyle spraw do załatwienia - westchnęła Sara. - Tyle osób, do których trzeba napisać, tyle dokumentów do podpisania... to wszystko wydaje się nie mieć końca.

Trzeba coś postanowić w sprawie Rose, pomyślała panna Valloton. I to szybko. Wątpiła, czy Sara to zauważyła, ale Rose przez większość dnia nie było w domu.

- W przyszłym tygodniu muszę wrócić do pracy - ciągnęła Sara. - Nie mam czasu na znalezienie lokatorów na miejsce Copperstone'ów, a przecież muszę to zrobić. - Sprawa mogła poczekać jeszcze tydzień, nie była zbyt nagląca. Ciocia Hetty zostawiła Sarze i Rose po tysiąc funtów, przy czym Rose miała otrzymać pieniądze po ukończeniu dwudziestego pierwszego roku życia. Dom przypadł Sarze. Miały więc spory zapas pieniędzy. Jednakże, jeśli Sara miała zamiar wynajmować mieszkania, nie należało zbyt długo zwlekać. Copperstonowie płacili trzydzieści pięć szylingów tygodniowo.

Rose skorzystała z zamieszania, jakie zapanowało po śmierci ciotecznej babki i wymknęła się z domu. Wybierała się na herbatę z niedawno poznaną aktorką i była pewna, że tej znajomości nie pochwalono by przy Myddleton Square. Amy Rush, jak podejrzewała Rose, była aktorką jedynie z nazwy. Co prawda od czasu do czasu pojawiała się na londyńskiej scenie, głównie jako statystka w burleskach, które umożliwiały jej pokazanie wspaniałych nóg, ale utrzymywała się dzięki swym adoratorom.

Amy nie zdradzała, co oferowała w zamian, lecz Rose nie miała żadnych wątpliwości. Jej mieszkanie przy Piccadilly musiało kosztować dużo więcej, niż wynosiła pensja statystki. Była tam sypialnia z wielkim łóżem z czterema kolumnami i baldachimem, ogromne lustro, liczne kosztowne ozdoby, a na ścianach kilka rycin, na widok których Rose okryła się rumieńcem. W urządzonym z przepychem salonie były ciężkie akksamitne zasłony i szezlong, którego szerokość i wygoda wprost zachęcały do miłosnych igraszek.

Amy miała służącą, która spała na poddaszu. Z tyłu znaj-

dowała się niewielka jadalnia. Wszystkie posiłki przynoszono z pobliskiej jadłodajni.

- Rzadko tu bywam - powiedziała Amy, mile połączona podziwem Rose. - Większość wieczorów spędzam w mieście, z przyjaciółmi.

Oprowadziła Rose po mieszkaniu, po czym pozwoliła jej otworzyć szafę w sypialni - oczom Rose ukazały się rzędy sukien.

- Och! - westchnęła Rose. Ostrożnie wyjęła żółtą jedwabną suknię wieczorową, przyłożyła do siebie i spojrzała w lustro. Suknia miała kusząco głęboki dekolt. - Jaka piękna!

- Może chcesz ją przymierzyć?

Rose natychmiast zdjęła swoją suknię i została w gorsecie i halce. Uniosła ramiona i Amy pomogła jej włożyć kreację. Rose była drobniejsza niż Amy i suknia była na nią trochę za luźna, ale i tak prezentowała się wspaniale.

- Powinam być pełniejsza... no wiesz... tutaj. - Rose uniosła piersi, chcąc, by prezentowały się bardziej okazałe.

- Już teraz jest pani cudowna! - usłyszały dobiegający od drzwi rozbawiony męski głos.

Rose zaczerwieniła się po czubki uszu i uniosła rękę, by się przysłonić. Popatrzyła na przybysza spod długich rzęs. To musi być przyjaciel Amy, pomyślała. Szczęściara z tej Amy! Mężczyzna był wysoki, ciemnowłosy, niepokojąco przystojny, a spojrzenie jego orzechowych oczu przyprawiało ją o łaskotanie w żołądku. Stała przed nim jak nieposłuszna uczennica przyłapaną na jakimś wykroczeniu.

Amy przymiliła się o pocałunek.

- Jack, nie spodziewałam się ciebie. Wpadłeś na herbatkę? - Kokieteryjnie uniosła brwi.

- Nie przedstawiś mnie swojej przyjaciółce?

- Panna Frampton, pan Midwinter- powiedziała sucho Amy. Rose miała wyraz twarzy kociaka, który spostrzegł śmietankę. Amy lekko popchnęła Jacka. - Jack, wyjdź na chwilę, żeby Rose mogła zdjąć moją suknię.

Podjeżdżała, że gdyby nie jej obecność, Jack bez chwili wahania pomógłby Rose zdjąć suknię... i zapewne wszystkie pozostałe części garderoby.

Jack przeniósł wzrok z jednej na drugą i roześmiał się.

- Proszę się pośpieszyć - powiedział. - Zadzwoń, żeby podano herbatę. Mam nadzieję, że zostanie pani na herbatę, panno Frampton.

Amy przygryzła wargę.

A więc ma na imię Rose, pomyślał Jack, naciskając przycisk dzwonnka.

- Hannah, proszę podać herbatę. Przynies też ciastka od Guntera. Z bitą śmietaną. - Rose sprawiała wrażenie uczennicy. Wyobraził sobie jej różowy jęczyzek, zlizujący różyczkę śmietany. Ta myśl pociągnęła za sobą rozważania na temat intrygujących erotycznych doznań.

Pierwszy tydzień po powrocie Sary do Sadler's Wells był niezwykle męczący. Zbliżał się koniec sezonu, a latem teatr zawieszał działalność. Pan Phelps wyruszał w trasę, a zespół rozpraszał się. W teatrze zostawali tylko najważniejsi pracownicy zza kulis. Fentonowie ciężko pracowali nad scenografią do jesiennych przedstawień, natomiast panna Bailey i Sara tworzyły nowe projekty.

Udało jej się jednak załatwić parę ważnych spraw, między innymi wynajęła mieszkanie po Copperstone'ach. Pan Green-

wood, dzierżawca Sadler's Wells, przedstawił ją Johnstone'om, którzy szukali pokoi do wynajęcia; oboje bardzo przypadli Sarze do gustu. Pan Johnstone powiedział, że w młodości także pracował w teatrze, chociaż teraz zajmował się handlem herbatą. Gdy pieniądze znów zaczęły napływać, Sara poczuła wielką ulgę.

- Pani Johnstone powiedziała mi, że kiedy jej syn był maleńki, spał w teatralnym koszu- zwróciła się do panny Bailey. Przypomniała sobie opowiadanie cioci Hetty o swojej pierwszej nocy przy Myddleton Square, kiedy to spała w starym koszu na drewno.

- To nic niezwykłego - odpowiedziała panna Bailey. - Znałam kiedyś aktorkę, która w swej pierwszej roli wcieliła się w postać małej księżniczki Elżbiety w *Henryku VIII*. Była chrzczona na każdym przedstawieniu!

Sara zastanawiała się, co by było, gdyby jej matka znalazła pracę w teatrze. Sądziła, że zostałyby tam dobrze przyjęta.

- Musiała mieć bardzo smutne dzieciństwo. Ciągłe przenosiła się z miejsca na miejsce, nie miała prawdziwego domu...

- Nie żałuje się tego, czego nigdy się nie miało - powiedziała panna Bailey, bacznie przyglądając się Sarze. Panna Valloton szepnęła jej słówko na temat pochodzenia panny Beale. Powiedziała o niepewnym pochodzeniu Sary, która jednak sama nigdy nie poruszała tego tematu, a panna Bailey nie chciała być wścibska. - W każdym razie tutaj nikt nie czuje się samotny.

- To prawda - przyznała Sara. Najgorsze dla jej matki było z pewnością to, że nie miała się do kogo zwrócić. Ciocia Hetty powiedziała, że lekarz uznał, iż umarła z głodu i zimna. Przełknęła z trudem i ukradkiem otarła oczy.

Panna Bailey podeszła, by obejrzeć projekty kostiumów Sary

do sztuki *Arlekin i Żółty Karzeł*, która miała być grana w okresie bożonarodzeniowym w 1851 roku.

- Podobają mi się. Musimy jeszcze wymyślić coś naprawdę zabawnego dla olbrzymiego Grimgrumhumblebumble'a.

Sara zachichotała.

- Co za imię! Skąd też przyszło panu Greenwoodowi do głowy?!

- Och, myślę, że większość czasu upływa mu na wynajdywaniu najdziwniejszych imion! Musimy wymyślić odpowiednio cudaczny kostium. Nie zapomnij, że to przedstawienie dla dzieci. Musi być w nim coś magicznego.

- Masz rację co do tej magii - powiedziała Sara. - Kiedy byłam dzieckiem, państwo Copperstone zabrali mnie na bożonarodzeniowe przedstawienie. Uwierzyłam we wszystko, co zobaczyłam. Pamiętam, że miałam potem koszmarne sny na temat jednego z bohaterów, zwanego Rekinem. Myślałam, że to był demon. Miałam wtedy jakieś osiem lat.

- Boże, naprawdę? - zawołała panna Bailey. - To przecież ja zaprojektowałam kostium dla Rekina! Występował w sztuce *Jacek Chudzielec*, graliśmy to chyba w 1834 roku.

Sara roześmiała się.

- Zapewniam panną, że bardzo pobudzał wyobraźnię. Moja biedna ciocia musiała spędzić ze mną noc po przedstawieniu, podając mi mleko z miodem na uspokojenie. - Wskazała szkie do przedstawienia *Arlekin i Żółty Karzeł*. - Ale kiedy patrzy się na coś z bliska, pryska czar.

- Ależ cały urok i wielkość teatru polega właśnie na stwarzaniu iluzji, na magii - powiedziała poważnym tonem panna Bailey. - Popatrz tylko na dzisiejszy świat. Na każdym kroku pojawiają się maszyny, które zastępują ludzi. Mamy lokomo-

ty wy... słyszałam nawet, że wynaleziono maszynę do szycia. Wszystko robi się takie bezduszne.

- Myśli pani, że potrzebujemy złudzeń?

- Dzięki złudzeniom nasz umysł ma chwilę odpoczynku - stwierdziła panna Bailey. - Rzeczywistość jest bardzo... brutalna. - Pomyślała o swej wiecznie zrządzającej matce. Panna Bailey zdawała sobie sprawę, że jej marzenia żyją w kostiumach, które tworzy.

- Tak - powiedziała Sara, myśląc o szarzyźnie swego życia. Była nazbyt wyrośniętym, pospolitym nieślubnym dzieckiem. Nic więc dziwnego, że uwielbiała projektować kostiumy, w których były jej marzenia. - Wolałabym, żeby pan Phelps nie kazał mi występować w tym przedstawieniu - dodała. - Jestem taka wielka i niezgrabna.

- Co za nonsens! - Panna Bailey popatrzyła na Sarę, szczerze zaskoczona. - Jesteś stworzona do występów na scenie!

Sara pokręciła głową.

- Jak twoja siostra zniosła śmierć cioci? - zapytała panna Bailey, taktownie zmieniając temat.

- Ma pomagać Polly w prowadzeniu domu. - Sara spochmumiała. Rose wykręcała się od szczerzej rozmowy. Spędzała wiele czasu poza domem, ale Sarze nigdy nie udało się dowiedzieć, gdzie bywała i z kim się spotykała. Pod koniec dnia była już zbyt zmęczona, żeby porozmawiać z Rose tak jak należało.

Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że panna Amy Rush, bojąc się, że Jack może okazać się nieodporny na urok jej młodszej przyjaciółki, przedstawiła Rosę młodemu lordowi Bylandowi.

3



Lord Fulmar postanowił ponownie się ożenić. Wraz ze śmiercią wnuka utracił ostatniego dziedzica i chciał mieć syna, a najlepiej kilku. Lecz ku jego zaskoczeniu wszystkie listy do ojców odpowiednich panien spotkały się z odmową. W 1816 roku, kiedy poślubił lady Charlotte Wyld, był trzydziesto-trzyletnim przystojnym i bogatym mężczyzną; stanowił doskonałą partię. Teraz był starszym panem po sześćdziesiątce, słynącym z przykrego, wybuchowego charakteru i mającym złą sławę w hrabstwie. Ludzie mówili, że to on wpędził lady Charlotte do grobu, a jeśli nawet bezpośrednio nie przyczynił się do śmierci synów, to przecież w dużym stopniu ponosił odpowiedzialność za lekkomyślność Arthura i pijaństwo Charliego, zwolnienie zaś nieszczęsnego Ulthorne'a po śmierci Jamesa Fulmara spotkało się z powszechnym potępieniem.

Biedna wdowa po Charlesie Fulmarze pozostała w Hoop Hall. Lord Fulmar zarządzał jej posagiem i chciał mieć ją pod ręką, by móc się na niej wyżywać. Raz w roku niechętnie pozwalał jej na odwiedziny u krewnych. Latem 1851 roku pani

Fulmar wyjechała z Hoop Hall, by złożyć jedną z takich wizyt. Chciała też zwiedzić Wielką Wystawę Powszechną w Hyde Parku i sprawić sobie nowe ubrania. Zatrzymała się u swej siostry, lady Rundell, w jej domu przy Berkeley Square.

- Och, moja droga Jane - wyznała pani Fulmar już pierwszego wieczoru, siedząc wraz z siostrą w jej buduarze. - Nie masz pojęcia, jaką ulgę czuję, kiedy tu jestem.

- Tutaj, to znaczy z dala od lorda Fulmara? - zapytała śmiało lady Rundell. Zaledwie kilka razy spotkała lorda Fulmara; wydał jej się wstrętny. Był butny nie do wytrzymania i gdyby nie to, że bardzo lubiła swoją siostrę, już dawno przestałaby utrzymywać z nim jakiegokolwiek kontakty.

- To bardzo trudny człowiek - powiedziała pani Fulmar. - Gdyby nie to nieszczęsne postanowienie papy, już dawno by mnie tam nie było. - Lord Fulmar niemal siłą nakłonił ojca pani Fulmar, by pozwolił mu zarządzać posagiem córki.

- W obecności lorda Fulmara papa był cichutki jak myszka - powiedziała z irytacją lady Rundell. Dzięki Bogu jej mąż Richard, miał znacznie łagodniejszy charakter. Znał zasady udanego pożycia, to znaczy pozwalał jej na wydawanie jej własnych pieniędzy i dawał jej wolną rękę w sprawach wychowania dzieci. W rezultacie pozostawali w doskonałych stosunkach.

„The Times” zamieścił wiadomość, że pani Charlesowa Fulmar zatrzymała się u swej siostry lady Rundell przy Berkeley Square; dzięki temu odwiedziło je sporo osób. Jeśli nawet większość chciała po prostu dowiedzieć się, czy lord Fulmar rzeczywiście jest tak okropny, jak głosiły plotki, to przynajmniej pani Fulmar w zamian za to otrzymała zaproszenia na wiele przyjęć i do teatrów.

Jednym z gości był Jack Midwinter. Nie miał ochoty na wizytę; pani Fulmar zawsze wydawała mu się nudna. Jednak Jack, chociaż samolubny, nie był złym człowiekiem i pamiętał, że Charlie kiedyś był jego najlepszym przyjacielem. Obecna kochanka coraz bardziej go nużyła, postanowił więc wybrać się z panią Fulmar i lady Rundell na Wielką Wystawę.

Zwiedził już wystawę kilka razy, dwa razy ze swym wujem z Manchesteru, Josiahem Pinksem. Obaj bardzo zainteresowali się najnowszymi osiągnięciami w dziedzinie konstrukcji maszyn - Jack nie stracił młodzieńczej fascynacji działaniem różnych mechanizmów. Josiah, szwagier ojca Jacka, prowadził rodzinny interes w Manchesterze; Jack miał tam swoje udziały.

- Powinieneś częściej przyjeżdżać do nas na Północ - powiedział Josiah. - Myślę, że masz głowę do interesu. Szkoda, że twój ojciec stamtąd wyjechał.

- Nie dałby sobie rady, zaczynał mieć kłopoty ze zdrowiem - powiedział Jack. - Ale chciałbym was odwiedzić, wujku Jos. - Mówił prawdę. Fascynowała go energia, żywotność tego miasta.

- Mam wrażenie, że twojej mamie wcale by się to nie podobało - zauważył Josiah.

Jack skrzywił się.

- Robili, co mogli, żeby się stamtąd wydostać. Moje obecne zainteresowanie wydaje się jej zboczeniem. Ale muszę ci powiedzieć, wujku, że czasami żałuję, iż wyjechali z Manchesteru.

- Nie jesteś stworzony do tego, żeby być leniwym dżentelmenem. Czyżbym się mylił?

- Kłopot polega na tym, że jest to szalenie łatwe - odparł Jack.

Josiah roześmiał się i poklepał Jacka po plecach.

- Możesz do nas przyjechać w każdej chwili, chłopcze.; Wystarczy jedno słówko.

Jack chętnie zaprowadził panią Fulmar i lady Rundell do Crystal Palace. Był pewien, że nie będą się interesowały] konstrukcjami mechanicznymi, z rozbawieniem zauważył jednak, że obie damy zignorowały *Grecką niewolnicę*, rzeźbę Hirama Powersa przedstawiającą nagą kobietę, i wstydliwie odwróciły wzrok od *Andromedy i potwora morskiego*. Jack nie miał żadnych oporów przed przyglądaniem się posągom przedstawiającym nagie kobiety. Wokół większości rzeźb skupiali się zachwyceni mężczyźni, chociaż Jack miał wątpliwości, czy można nazwać je dziełami sztuki. Paniom podobało się za to 1500 wypchanych zwierząt Plouqueta, tworzących „zabawne, komiczne i zajmujące sceny z życia zwierząt”. Wypchane koty siedziały przy herbatce, natomiast wypchane króliki szły do szkoły, a karciał je za nieuwagę wypchany gronostaj.

Jack był bardzo szczęśliwy, kiedy panie uznały, że mają już dość wrażeń; zaprosił je na słodkie bułeczki i herbatę do jednego z salonów Messrs Schwepes', gdzie można było odpocząć i się posilić. Potem odprowadził je na Berkeley Square, wytwornie zgiał się w niskim ukłonie i odszedł.

- Pan Midwinter jest bardzo przystojny - powiedziała tego wieczoru lady Rundell.

- Nie pochodzi z najwyższej sfery - zauważyła pani Fulmar. - Podobno jego ojciec był hodowcą bydła.

- Moja droga, z takim wyglądem... i przy jego majątku to naprawdę nie ma żadnego znaczenia!

- Jest utrapieniem dla swojej biednej matki. Utrzymujemy stosunki towarzyskie; często ubolewa nad tym, że Jack jest kawalerem... chociaż, tak między nami, to wydaje mi się, że

ona dobrze czuje się w roli pani Holly Park. To by się zmieniło, gdyby pan Midwinter się ożenił. - Po chwili dodała: - Musi mieć co najmniej trzydzieści sześć lat, bo był parę lat starszy od mojego męża, a nic nie zapowiada jego rychłego ożenku.

- A jednak, jeśli wierzyć plotkom, bardzo lubi kobiety - powiedziała lady Rundell. Wiedziała, że łączono jego nazwisko z wieloma mężatkami.

- Obawiam się, że nawet za bardzo. Moja droga, podobno utrzymuje całe mnóstwo aktoreczek... Nigdy nie wspomniałam o tym jego matce, ale wszyscy o tym wiedzą.

- To okropne - powiedziała wcale nie oburzona lady Rundell.

Pani Fulmar wróciła do Hoop Hall na początku sierpnia. Lord Fulmar zdobył się na pytanie, czy pobyt w Londynie był udany. Wydawał się szczerze zadowolony z jej powrotu.

- Dobrze pani wygląda. Wakacje wyraźnie pani posłużyły.

Jednak następnego ranka sytuacja wróciła do normy. Niefortunna uwaga pani Fulmar na temat atrakcyjności Wielkiej Wystawy doprowadziła do gwałtownej reakcji Jego Lordowskiej Mości.

- Strata pieniędzy. Zawsze to powtarzam.

- Nic podobnego, milordzie. - Krótkie wakacje wyraźnie ośmieliły panią Fulmar. - Wszyscy bardzo ją chwala. Odbywa się w Crystal Palace i rzeczywiście...

- Crystal Palace, pfuj! - wykrzyknął lord Fulmar, parszkając z wściekłością. - To wszystko wina tego przekłętą Niemca, Alberta. Na litość boską, czy naprawdę ludzie mają ochotę oglądać te wszystkie maszyny? Niedługo zaczną wystawiać wiadra i szczotki posługaczek domowych. Nie zdziwię się, jeśli wybuchną tam zamieszki... podobno może tam wejść każdy

żuk i żaba, Tom, Dick i Harry. Co się wtedy będzie działo, skoro dookoła jest sarno szkło? Może mi powiesz?

- Tłum był bardzo... - zaczęła nieśmiało pani Fulmar.

- Pani Fulmar, jest pani kobietą - powiedział zdecydowanie lord Fulmar - i pani opinia w ogóle się nie liczy. Jeśli skończyła już pani śniadanie, proponuję, żeby wróciła pani do swego salonu i oddała się jakimś typowo kobiecym zajęciom.

Po wyjściu synowej lord Fulmar przeszedł do biblioteki. Czuł się szczególnie podle, ponieważ w porannej poczcie otrzymał krótki list, w którym hrabia Ryedale odrzucał jego propozycję poślubienia lady Margaret. Hrabia napisał bez ogródek, że jego córka mierzy znacznie wyżej i że nie widzi możliwości wydania jej za mąż za zwykłego barona starszego od niej o ponad czterdzieści lat, w dodatku mającego złą sławę.

Lord Fulmar machinalnie otworzył górną szufladę biurka, w której głęboko schowana była pomięta kartka papieru. *Niech jego synowie umrą wcześniej niż on i niech zostanie pozbawiony prawowitych dziedziców.* Podejrzanie, że ta bezczelna flirtarka, Maria Beale, nic nie znacząca osóbką, z którą romansował, uprzyjemniając sobie nudne lato, mogła mieć jakiś wpływ na jego życie, było śmiechu warte.

Wsunął kartkę z powrotem do szuflady. Posiadłość nie podlegała ograniczeniom przy dziedziczeniu i rozporządzaniu; mógł przekazać ją któremuś z dalekich kuzynów. Absurdem byłoby sądzić, że wszyscy mogą umrzeć wcześniej od niego. To tylko kolejny przesąd.

Nie był jeszcze zramolały. Miał sześćdziesiąt osiem lat. Wielu mężczyzn zostawało w tym wieku ojcami. Zapewne będzie musiał nieco obniżyć wymagania; prawdopodobnie kobieta o trochę niższym statusie będzie odpowiedniejszą

kandydatką na żonę. Przynajmniej będzie mu wdzięczna, gdy tymczasem lady Margaret mogłaby spodziewać się, że będzie tańczył dookoła niej. Nie, musi znaleźć kobietę, która będzie dobrze zdawała sobie sprawę ze swoich powinności i która da mu synów. Jeszcze nie czuł się pokonany.

Jack rozsiadł się wygodnie w skórzanym fotelu w swoim mieszkaniu przy Half Moon Street. W przeciwieństwie do wielu szlachetnie urodzonych, którzy wynajmowali mieszkania na sezon albo na kilka miesięcy, Jack zdecydował się na wieloletnią dzierżawę. Mieszkał tu już od dwunastu lat. Z wyjątkiem kamerdynera, Archiego, który przyjechał z Manchesteru wraz z ojcem Jacka, nikt u niego nie bywał. Jego kochanka miała własne mieszkanie opłacane przez Jacka, a jeśli chciał spotkać się z przyjaciółmi, umawiał się z nimi w klubie albo w pobliskiej kawiarni.

Jedynie na Half Moon Street Jack był naprawdę sobą. W jego mieszkaniu nie było rycin o tematyce sportowej ani zawiadomień z końskiej giełdy TattersaH's o zbliżającej się wyprzedaży - niczego, co zwolennikom stereotypów kojarzy się z kawalerskim apartamentem. Na ścianach wisały za to obrazy przedstawiające różne maszyny, a wśród nich projekt wykonawczy jednej z pierwszych lokomotyw. Na kominku stał kunsztowny niemiecki nautilus z XVI wieku; na tacy na stoliku leżał zepsuty zegar i liczne zębate kółka i sprężyny. W wolnych chwilach Jack zajmował się jego naprawą.

Jeszcze raz popatrzył na list od matki. Zanościło się na ponowny ożenek lorda Fulmara. Bez wątplenia matka chciała zasugerować, że skoro lord Fulmar pragnie się ożenić, to

dłaczego nie miałby tego zrobić jej syn? *Podobno lord Fulmar w końcu znalazł kandydatkę na drugą żonę - wspomina się o pannie Fell. Jeśli to prawda, to szczerze jej współczuję. Jej ojciec tonie w długach, więc prawdopodobnie nie sprzeciwi się temu małżeństwu, chociaż panna Fell musi być o dobre czterdzieści lat młodsza od Jego Lordowskiej Mości.*

Jack przez chwilę rozmyślał o pannie Fell. Niezbyt urodziwa, dziewczyna nie miała powodzenia, a jej posag był bardzo niewielki. Prawdopodobnie ta oferta małżeńska była jedyną, jaka mogła się jej przytrafić.

Niespodziewanie roześmiał się. Pomyślał, że to wszystko jest wręcz groteskowe. Oczami wyobraźni ujrzął zartretyzowanego, naburmuszonego lorda Fulmara, sztywno kroczącego w stronę ołtarza w towarzystwie panny Fell - kobiety o długim, różowym nosie. Posiadłość nie podlegała prawom majoratu. Jeśli lord Fulmar tak rozpaczliwie pragnął mieć dziedzica, to czemu nie chciał uznać Sary Beale?

Przypomniał sobie scenę sprzed dziesięciu, a może jedenastu lat, kiedy ukryty za żywoplotem wpatrywał się w małą Sarę - dziewczynkę o poważnej twarzyczce z dużymi przerażonymi oczami, sztywno siedzącą na krześle. A potem ta kłątwa. Do tej pory pamiętał, jak włosy zjeżyły mu się na karku.

Później patrzył, jak dziewczynka i jej opiekunka idą długim podjazdem i opuszczają teren posiadłości.

Sara Beale była bez wątpienia córką lorda Fulmara i ślicznej Marii Beale. Była dzieckiem żywym, pełnym wdzięku. Kiedy rozmawiali w powoziku, spodobała mu się jej gadatliwość i naturalność. Z pewnością nie przyniosłaby wstydu swej rodzinie, ale najwyraźniej została zastraszona przez lorda Fulmara. Jack wolał nie zastanawiać się nad swoją niechlubną

rolą w tej sytuacji. Była wtedy jeszcze dzieckiem, na pewno szybko o wszystkim zapomniała.

Nie wierzył w kławy. Sądził, że to despotyzm lorda Fulmara wpędził Charliego w nałóg i doprowadził go do śmierci; a zgony Arthura i Jamesa to były tragiczne wypadki. Jeśli na rodzinie ciążyło jakieś przekleństwo, to był nim sam lord Fulmar.

Wstał i zadzwonił na kamerdynera. Dalsze zastanawianie się nad tymi sprawami nie miało żadnego sensu. Jack zrobił to, co zawsze w podobnych sytuacjach - odegnał nieprzyjemne myśli.

- Tak, proszę pana? - Archie spojrział na list na stole i rozpoznał charakter pisma pani Midwinter. Była miłą kobietą, ale uważał, że powinna przestać pouczać syna, by zachowywał się jak arystokrata i nieustannie pytać go, kiedy zamierza się ożenić. Nie miało to żadnego sensu i tylko go złościło.

- Przygotuj moje ubranie wieczorowe. Idę do opery. Zanieś też wiadomość dla lady Hingston. - Lady Hingston pozwalała Jackowi korzystać z jej łoża, kiedy tylko miał na to ochotę. Jack dobrze wiedział, że darzyła go szczególnymi względami, zdawał też sobie z tego sprawę jej wiekowy mąż, któremu większość dnia zajmowało drzemanie w klubie. Na pewno pogodziłby się z sytuacją. Gdyby Jack znalazł się w łóżku lady Hingston, tym samym dałby ostrzeżenie Amy, swojej obecnej kochance, której ekstrawagancja zaczynała go nudzić, że jest w stanie zabawić się wszędzie, jeśli tylko przyjdzie mu na to ochota.

Druga połowa roku 1851 była dla Sary wyjątkowo niepomyślna. Najpierw zmarła ciocia Hetty, a potem, zaledwie kilka tygodni później, musiała znieść drugi, zupełnie niespodziewany

cios. Była sobota i Sara pracowała tylko do czternastej. Wiedziała, że po rozpoczęciu sezonu w drugiej połowie sierpnia taka sytuacja będzie nie do pomyślenia. Był miły, nie za gorący dzień; z przyjemnością myślała o powrocie do domu i odpoczynku przy filiżance herbaty. Jednak zaraz po przestąpieniu progu zobaczyła pannę Valloton załamującą ręce, oraz Leah, która spazmatycznie szlochała w korytarzu, z głową nakrytą fartuchem.

- Och, moja kochana Saro! - zawołała panna Valloton. Rozwiązała wstążki kapelusza Sary i zdjęła jej płaszcz.

- Co się stało? - zapytała przerażona Sara.

Panna Valloton zaprowadziła ją do salonu, delikatnie pchnęła na sofę i usiadła obok.

- Chodzi o Rose.

- Rose! - Sara czuła, że krew odpływa jej z twarzy. - Boże, miała wypadek?

- Nie, nie! Och, moja kochana Saro! Rose się wyprowadziła! Tuż po drugiej przed dom zajechał powóz. To był bardzo wspaniały powóz, z upudrowanym lokajem. Wszyscy na placu nie mogli się napatrzeć - ciągnęła z rozpaczą panna Valloton. - Powóz z herbem właściciela na drzwiczkach rzadko pojawia się na Myddleton Square. Więc oczywiście wszyscy wybiegli na ulicę.

Sara zamknęła oczy. Domyślała się, co za chwilę usłyszy.

- Rose najwyraźniej na niego czekała, bo zaraz otworzyła drzwi, zbiegła ze schodów i wsiadła. Wzięła ze sobą tylko jedno pudło modniarskie!

- Nie zostawiła żadnego listu? - Sara z trudem oswajała się z wiadomością. Dzięki Bogu, że ciocia Hetty tego nie dożyła, pomyślała. Chociaż, być może, znając swawolność matki Rose, nie byłaby tym tak bardzo zaskoczona.

Panna Valloton sięgnęła do kieszeni i wyjęła list.

- Znalazłam to w korytarzu.

Sara rozpieczętowała Ust.

Najdroższa Saro!

Proszę, nie martw się o mnie. Wszystko jest w porządku, a odjechałam z najwspanialszym mężczyzną, jakiego można sobie wymarzyć. Napiszę, kiedy będę miała stały adres. Jadę do Paryża i sprawię tam sobie wszystko nowe. Przywiozę Ci coś ładnego. Nie mogłam tu dłużej zostać, wszystko tutaj było takie przygnębiające i nudne. Naprawdę wiem, co robię.

Całuję Cię bardzo serdecznie

Rose

Sara przeczytała list i podała go pannie Valloton. „Naprawdę wiem, co robię”, pomyślała. Biedna dziewczyna. To oczywiste, że nie mogła tego wiedzieć. Czyżby miała nadzieję, że to jej nowe życie, pełne tandetnego blichtru, zapewni jej długotrwałe szczęście? Jedną decyzją, w dodatku na oczach publiczności, odcięła się od szanowanej części społeczeństwa i nie miała żadnych szans powrotu.

Panna Valloton otwierała już usta, by stwierdzić: „Jaka matka, taka córka”, ale w porę przypomniała sobie, co przydarzyło się matce Sary. Wyraz twarzy Sary świadczył o tym, że i ona dobrze o tym pamięta. Panna Valloton chciała ją pocieszyć, lecz onieśmieliło ją kamienne oblicze Sary. Postanowiła odwołać się do rozsądku.

- Matka Rose zawsze miała więcej szczęścia niż rozumu - powiedziała w końcu. - Pewnie nie pamiętasz, ale często znikała na całe miesiące...

- Nie zapomniałam o tym - stwierdziła sucho Sara. Często podrzucano im Rose, zdezorientowaną i popłakującą dziewczynkę, a Sara musiała dzielić z nią pokój. - Wiadomo, że Rose nie myśli o małżeństwie. - Może to i lepiej, przemknęło jej przez myśl. Przynajmniej nikt nie będzie jej zwodził fałszywymi obietnicami jak moją matkę.

- Wiemy, że żyje. To jest jakieś pocieszenie - powiedziała żywym już głosem panna Valloton. Podziwiała opanowanie Sary, tak bardzo angielskie, w obliczu klęski towarzyskiej. Zauważyła też, że twarz Sary stopniowo zaczyna nabierać rumieńców. - Czy mam poprosić Polly, żeby przyniosła ci herbatę i coś do zjedzenia?

- Dziękuję. - Głodzenie się nie miało żadnego sensu. Gdyby Rose odeszła nieco dyskretniej, mogłyby próbować ratować jej reputację. Jednak w obecnej sytuacji nie miały na to szans.

W ciągu następnych dwóch lat Sara od czasu do czasu otrzymywała jakąś wiadomość od Rose. W okolicy Bożego Narodzenia nadeszła para rękawiczek z koźlęcej skóry, a później ciepła pelisa obszyta futrem baranków astrachańskich. Rose podała adres wspaniałego mieszkania przy Regent Street, zachęcając Sarę do złożenia jej wizyty, ale Sara nie skorzystała z zaproszenia.

Podziękowała Rose za prezenty i oznajmiła, że uważa, iż nie powinny się spotykać. Zapewniła jednak Rose, że zawsze może liczyć na jej pomoc. Pomyślała, że jej biedna matka od nikogo nie uzyskała takiego zapewnienia.

Prawdopodobnie Rose poczuła się urażona, ponieważ od-

pisała, że zawsze będzie gotowa pomóc Sarze w potrzebie i że doskonale potrafi o siebie zadbać.

Korespondencja osłabła. Sara zawsze pamiętała o urodzinach Rose i wysyłała jej prezent. Rose nigdy nie pamiętała o urodzinach Sary, ale czasami przychodził od niej list z pośpiesznie nagryzmołonymi kilkoma linijkami tekstu.

W 1853 roku Sara miała już mocną pozycję w Sadler's Wells. Panna Bailey pozwalała jej szyc kostiumy dla aktorów odtwarzających drugoplanowe role, a Sara przemogła swą powściągliwość i zaprzyjaźniła się z pracownikami zza kulis. Szczególnym podziwem darzyła wszechstronnie utalentowanych braci Fentonów. Pan Frederick Fenton, starszy i cichszy z braci, projektował i malował dekoracje i był odpowiedzialny za oświetlenie. Jego młodszy brat Charles zdawał się bardziej otwarty, a malowanie dekoracji łączył z występami na scenie. W nadchodzącym sezonie miał być Dudką, miechownikiem, w nowej inscenizacji *Snu nocy letniej*, przygotowanej przez pana Phelps'a. Obaj mieli teatr we krwi. Frederick zaczynał jako statysta w Drury Lane i w swoim czasie pisywał również sztuki bożonarodzeniowe. Nie było chyba w teatrze takiej rzeczy, na której by się nie znał.

Pierwsze dwa tygodnie sierpnia w Sadler's Wells minęły w ogólnym zamieszaniu. W teatrze zakładano oświetlenie gazowe, świece i lampy naftowe miały iść w kąt jako przeżytek. Wszędzie stały rusztowania, zerwano chyba połowę podłóg, brakowało niektórych desek i wchodzenie za kulisy wiązało się z dużym ryzykiem. Jednak Frederick Fenton był w swoim żywiole.

- Mam świetny pomysł w związku ze *Snem nocy letniej* - powiedział do Sary. - Teraz, przy gazowym oświetleniu, można zrobić naprawdę wspaniałe rzeczy.

- Okropnie pachnie - stwierdziła Sara. - Szczególnie przy rampie.

- To prawda, niejedna panna już przy tym zemdląca. - Nie był tym specjalnie przejęty. Wszystkie chwile wolne od pracy przy dekoracjach spędzał z monterami. Miał mnóstwo pomysłów na jak najpełniejsze wykorzystanie nowego paliwa dla potrzeb teatru.

Sara podziwiała jego pewność siebie.

To właśnie pan Fenton pomógł jej pokonać obawy przed występowaniem na scenie. Nauczył ją, jak należy prawidłowo oddychać, jak się poruszać i jakie pozy przybierać w pozycji stojącej.

- Mam być członkinią orszaku Hipolity w *Śnie nocy letniej* - powiedziała Sara, wykrzywiając wargi.

- Doskonale sobie poradzisz - zapewnił ją Fenton. - O ile mi wiadomo, Hipolitą będzie pani Portman. Ona cię lubi. Skarży się, że inne próbują ją przyćmić.

- Jak bym śmiała! - Sara wybuchnęła śmiechem.

Fenton pomyślał, że to szkoda, iż panna Beale nie chce występować na scenie. Miała po temu wszelkie atuty - wyraziste rysy i duże brązowe oczy. Z drugiej strony mnóstwo kobiet chciało być aktorkami, a zbyt mało było takich, które potrafiłyby projektować kostiumy z takim zamiłowaniem i talentem jak panna Beale.

Niemniej jednak sezon miał się rozpocząć za tydzień i wszystkich czekało jeszcze mnóstwo pracy. Wszędzie pełno było trocin, a przeobrażenia w teatrze zaniepokoiły całą armię

myszy. Teatralny kot pracował po godzinach i z uporem znosił swoje zdobycze pannie Bailey. Codziennie rano Sara mogła być pewna tego, że zobaczy szereg zdechłych gryzoni przed garderobą. Poza tym do zapachu świec i nafty dołączył teraz słaby, słodkawy zapach gazu.

Praca dawała Sarze wiele satysfakcji; wmawiała sobie, że nie pragnie niczego więcej. Zresztą dla większości osób w Sadler's Wells praca była jednocześnie sposobem na życie. Nawet gburowaty i opryskliwy sufler, Pieprz Williams, na scenie był naprawdę wspaniałym staruszkim. Pan Williams, podobnie jak Fentonowie, większość swego życia spędził w teatrze; przez wiele lat, na długo przed nastaniem Phelps'a, był pomocnikiem dyrektora w Wells.

Sara lubiła Pieprza Williamsa. Od czasu, gdy w pierwszym dniu pracy dała jego psu kość, traktował ją z szorstką życzliwością. Kiedy zaczął się jej naprzykrzać pewien młody mężczyzna, który zobaczył ją w roli Marian w *Pani Lyonu*, w panu Williamsie obudził się prawdziwy lew. Sara bardzo niechętnie przejęła tę rolę od panny Young, która skreśliła nogę w kostce. Była to epizodyczna rolka i Sara przebywała na scenie zaledwie kilka minut, ale to wystarczyło, żeby roznamiętnić młodzieńca.

Kiedy po raz drugi czatował na Sarę po przedstawieniu, pan Williams postanowił wkroczyć do akcji.

- Dość już tego, młodzieńcze - powiedział zdecydowanym tonem. - Panna Beale będzie ci wdzięczna, jeśli przestaniesz ją niepokoić. - Kleks, z całkiem już zdrową łapą, wyrwał się do przodu, warknął i obnażył zęby.

- To już nie można podziwiać dziewczyny? - zawołał oburzony młodzian.

- Nikt i nic nie może powstrzymać cię od podziwiania - powiedział Pieprz. - Ale nie pozwolę ci, żebyś ją nachodził. A teraz idź do domu i postaraj się ochłonać.

- Bardzo panu dziękuję, panie Williams - rzekła z wdzięcznością Sara. To doświadczenie wzmogło jej niechęć do występów na scenie.

Była na tyle zamożna, że mogła sobie pozwolić na zrezygnowanie z pracy. Tysiąc funtów zostawionych jej w spadku przez pannę Webster dawało odsetki w wysokości pięćdziesięciu funtów rocznie i bez trudu utrzymałaby się z tej sumy i z komornego, tak jak ciocia Hetty. Rozpocząła pracę w Sadler's Wells z wielkimi nadziejami, które w dużej mierze wkrótce się spełniły. Cieszyło ją to, że może wykorzystać swój talent i uczyć się fachu.

Potem zyskała też sympatię i uznanie kolegów, choćby Pieprza Williamsa, co również było dla niej bardzo ważne. Lecz nic nie mogło wymazać bolesnego uczucia, którego doświadczała od czasu wizyty w Hoop Hall; była przekonana, że jest obca, inna, gdyż pochodzi z nieprawego łoża i jest podrzutkiem. Ten wstydlivy sekret głęboko chowała przed światem.

Niedawno skończyła dwadzieścia osiem lat i czuła, że młodość przemija.

- Dlaczego nigdy nie rozmawiasz z naszymi młodymi kolegami? - zapytała ją któregoś dnia panna Bailey. - Na przykład z takim panem Thorpe. To porządny, uczciwy młodzieniec. Wiem, że cię podziwia.

- Jest o stopę niższy ode mnie - odpowiedziała Sara.

- Nonsens. Najwyżej o cal. A w ogóle, co to ma do rzeczy? Nie chcesz wyjść za męża?

- Jestem związana z moją pracą... tak jak pani, panno Bailey. - Już dość, pomyślała. Nie chcę rozmawiać na ten temat.

Mimo łagodnego tonu głosu Sary, panna Bailey zrozumiała, że dostała odprawę. Westchnęła.

- Muszę opiekować się moją matką-staruszką. - Pani Bailey miała trudny charakter, była kapryśna i kłótniwa. Panna Bailey dawno już skończyła pięćdziesiąt lat i nigdy nie była urodziwa. Zawsze zdawała sobie sprawę, że ma bardzo niewielkie szanse na wyjście za męża.

Sara nigdy nie rozmawiała z panną Bailey o swoim pochodzeniu. Co by pomyślał jakiś mężczyzna, na przykład pan Thorpe, gdyby znał prawdę? Gdyby nie szlachetność panny Webster, jako bękart trafiłaby do przytułku. Sama myśl o konieczności zdradzenia tej tajemnicy jakiemuś mężczyźnie napełniała ją głębokim przerażeniem.

Niejednokrotnie zastanawiała się, czy nie czułaby się inaczej, gdyby nie odwiedziła Hoop Hall. Przed tą wyprawą była szczęśliwym dzieckiem, wiedziała, że jest kochana i hołubiona. Od czasu tej wizyty stale towarzyszyła jej świadomość, że nie powinna była się urodzić. Nawet własny ojciec jej nie chciał. To dziwne, ale od pierwszej chwili, kiedy go zobaczyła, nigdy nie miała wątpliwości, że lord Fulmar jest jej ojcem. W westybulu wisiał portret dziewczynki, która była bardzo do niej podobna. Dobrze pamiętała też Charliego, swego przyrodniego brata, który wyskoczywszy z dwukółki, powiedział: „Chodź, siostrzyczko Saro”, uśmiechnął się do niej, a ona odwzajemniła ten uśmiech. On wie, pomyślała wtedy. Mam brata i on mnie zna.

Lecz potem wszystko potoczyło się jak w koszmarnym śnie. Ilekroć chciała odtworzyć w myślach scenę w bibliotece, pamięć odmawiała jej posłuszeństwa. Przypominała sobie

jedynie swój strach i to, jak lord Fulmar upokorzył ciocię Hetty. Dla mężczyzny po drugiej stronie biurka Sara po prostu w ogóle nie istniała. Co gorsza, czuła, że mogłby bez wahania zdeptać jej życie tak jak zabił motyla.

W czasie długiej, wyczerpującej drogi powrotnej do St Alban's Sara i ciocia Hetty nie zamieniły ani słowa. Sara dostrzegła w oddali Charliego z przyjacielem, ale chłopcy nie podeszli, by się pożegnać.

Czasami myślała o Jacku. Nie pamiętała jego nazwiska, być może nawet nigdy go nie poznała, ale był on jedynym miłym wspomnieniem z tego dnia, a nie częścią koszmaru jak lord Fulmar i Charlie. Był jak książkę z bajki - wysoki, ciemnowłosa i bardzo przystojny. Rozmawiał z nią, jakby naprawdę ciekawiło go to, co mówiła. Po powrocie do domu starała się go narysować, ale jej się to nie udało. Jednak od tej pory towarzyszyło jej przekonanie, że tak właśnie powinien wyglądać mężczyzna.

Zignorowała zaloty przepełnione nadzieją pana Thorpe'a.

Jack Midwinter przyjechał do Holly Park z wizytą do matki i w celu omówienia z administratorem paru spraw dotyczących posiadłości. Rzetelnie zajmował się sprawami majątkowymi, choć niespecjalnie go one interesowały. Lubił to miejsce, miał miłe wspomnienia z dzieciństwa, ciągle jednak podejrzewał, że jego interesy szłyby lepiej, gdyby wciąż mieszkali w Manchesterze i gdyby mógł zarządzać fabryką wraz z wujem Josiahem Pinksem. Wiedział jednak, że takie rozmyślania nie mają sensu. Jack zawsze zdawał sobie sprawę, że ma prowadzić życie człowieka szlachetnie urodzonego. Rodzice posłali go

do Eton, a potem do Oksfordu, i zachęcali go do przyjaźni z Charliem Fulmarem, mając właśnie to na względzie.

Prawdę mówiąc, Jack nie miał nic przeciwko temu. Wprawdzie niektórzy koledzy z Eton dokuczali mu, że jest wnukiem młynarza, ale Jack zupełnie nie zwracał na nich uwagi. Miał dochody w wysokości 7000 funtów rocznie; koledzy prawdopodobnie mu zazdrościli. Większość chłopców czuła się zaszczycona możliwością przyjaźnienia się z nim; bogaty, przystojny, był dobrym kolegą, który ratował innych, gdy wydali już swoje pieniądze. Nie, Jack nie miał żadnych oporów przed zostaniem dżentelmenem. Mógł mieć każdą kobietę, jaka mu się zamarzyła. W łóżku żadna nie miała mu za złe jego pochodzenia ani niczego innego.

Nazajutrz po przyjeździe do Holly Park usłyszał, że nowa żona lorda Fulmara zmarła w połoгу zaledwie dziesięć miesięcy po ślubie. Pani Midwinter poprzedniego dnia dowiedziała się o tym od służącej, ale lord Fulmar odprowadził gości i nie udzielał żadnych informacji. Wiadomość została potwierdzona dopiero dzień po przyjeździe Jacka.

Pani Midwinter rozłożyła gazetę, którą podał jej Jack, i przeczytała zawiadomienie.

- Biedactwo. - Odłożyła „The Times” i westchnęła. - Nie zaznała szczęścia w tym małżeństwie. Ludzie mówią, że postępował z nią bardzo okrutnie.

- Zastanawiam się, co się teraz stanie? - Jack dolał sobie kawy. - Lord Fulmar nie ma dziedzica w prostej linii, a jest coraz starszy... chyba ma już siedemdziesiąt lat.

- Podobno ma kłopoty ze zdrowiem- powiedziała pani Midwinter z odcieniem satysfakcji w głosie. Nie była mściwa, ale nie potrafiła powstrzymać się od myśli, że lord Fulmar ma

to, na co zasłużył. - Rodowe nazwisko zniknie wraz z jego śmiercią. - Westchnęła.

Niekoniecznie, pomyślał Jack. Sara Beale musi teraz mieć jakieś dwadzieścia pięć lat. Zapewne wyszła za mąż za solidnego kupca i ma dzieci. Nie wyobrażał sobie lorda Fulmara zapraszającego dzieciaki kupca do Hoop Hall.

- Pójdiesz na pogrzeb?

Jack skrzywił się.

- Chyba powinienem. - Nie miał na to najmniejszej ochoty. Przerazała go myśl o zejściu do starej wilgotnej krypty i patrzeniu, jak trumny lady Fulmar i jej dziecka zostają umieszczone obok trumien Arthura, Charliego i Jamesa. Jack rzadko robił to, na co nie miał ochoty, ale jego matka przyjaźniła się z Fellami, rodziną lady Fulmar; gdyby nie przyszedł, czuliby się urażeni.

Ceremonia pogrzebowa była tak fatalna, jak się spodziewał. Pastor był najwyraźniej przerażony widokiem lorda Fulmara i co chwila się mylił. Fellowie, ojciec lady Fulmar i jej dwaj bracia, stali na baczność, ignorując obecność lorda Fulmara. Jack słyszał, że pan Fell odgrażał się, iż wychłoscze lorda Fulmara szpicrutą za złe traktowanie lady Fulmar. Teraz Fell niecierpliwie przestępował z nogi na nogę, poirytowany nieudolnością pastora. Jeden z braci kątem oka dostrzegł Jacka i nieznacznie skinął głową.

Zeszli do krypty. Jack starał się myśleć o czymś innym: o swej nowej kochance, śmiałej osiemnastoletniej blondynce, której ciałem ostatnio się zachwycił. Wkrótce mu się znudzi, podobnie jak jej poprzedniczki. Wysokie, okrągłe piersi Delii zostaną zastąpione przez czyjś uroczy tyłeczek, potem pojawią się nowe pięknie wykrojone usta. Nie był w stanie zliczyć

swoich kobiet. W tej chwili była nią Delia. Zdał sobie sprawę, że myślenie o niej w tak nieodpowiednim do tego miejscu sprawia mu perwersyjną przyjemność.

Musi ją zawiadomić, że wróci o dzień lub dwa później, niż przewidywał. Nie powinna wychodzić z domu. Nie chciał, by kręcił się koło niej inny mężczyzna, przynajmniej dopóki on się nią nie znudzi.

Wrócili na górę do kaplicy Fulmarów. Jack zauważył, że lord Fulmar, zmęczony, z poszarzałą twarzą, jest wściekły. Pani Midwinter powiedziała mu kiedyś, że Jego Lordowska Mość krzyczał na żonę, że zemdłała w kościele. Być może teraz myślał, że sama była winna swojej śmierci.

Lord Fulmar posłał Jackowi ostre spojrzenie i pokiwał na niego zgiętym palcem. Jack niechętnie podszedł do niego i wymamrotał formułę kondolencyjną.

- Mniejsza o to - warknął lord Fulmar. Pastor, który przystępował do odmówienia końcowej modlitwy, przerwał, zdeorientowany. - Chcę potem z tobą porozmawiać. - Popatrzył na pastora. - Proszę kontynuować.

Jack usiadł i pogrążył się w rozmyślaniach na temat wdzięków Delii. Miała osiemnaście lat, o n - trzydzieści osiem; bez wątplenia jej młodość była dla niego bardzo atrakcyjna. Szczycił się tym, że zawsze miał młode utrzymanki. Lubił chwalić się Delią przed przyjaciółmi. Był jedynym mężczyzną, który miał tak młodą i piękną kochankę, i chciał, żeby wszyscy o tym wiedzieli. Zabierał ją na różne spotkania towarzyskie: na wyścigi konne, do Cremorne i na przyjęcia londyńskiego półświatka.

Ceremonia dobiegła końca. Pastor tubalnym głosem udzielił błogosławieństwa; kilku żałobników wyszło z kaplicy. Jack

przez chwile rozmawiał z Fellami, po czym podszedł do lorda Fulmara, który ruchem głowy wskazał swój powóz z opuszczaną budką. Jack niechętnie wsiadł.

Biblioteka w Hoop Hall wyglądała tak jak zawsze. Był chłodny dzień, lecz w kominku nie palił się ogień. Służący zapalił świece i wyszedł.

- Siadaj.

Jack usiadł.

- Większość czasu spędzasz w Londynie. - Było to stwierdzenie, nie pytanie. - Chcę, żebyś oddał mi pewną przysługę.

Jack uniósł brwi. O co też może chodzić?

- Pamiętasz Marię Beale? Miałaś wtedy jakieś dziesięć lat. Śliczna młoda blondyneczka. Moja daleka kuzynka.

- Ach, tak - powiedział ostrożnie Jack.

- Miała córkę. Chcę, żebyś ją odnalazł.

- Dlaczego? - zapytał śmiało Jack.

Lord Fulmar miał zamiar ostro zganić go za zuchwałość, ale jakoś zmusił się do opanowania. Siedzący przed nim mężczyzna w każdej chwili mógł przecież wyjść. Sięgnął do szuflady biurka, wyjął z niej list i podał go Jackowi.

- Przeczytaj.

Był to list od panny Webster z 1826 roku, powiadamiający lorda Fulmara o śmierci Marii Beale i stwierdzający, że dziecko, Sara, przebywa teraz z piszącą te słowa. Panna Webster miała podstawy, by przypuszczać, że dziewczynka jest córką lorda Fulmara; czy Jego Lordowska Mość zamierza ją uznać? Pozostawała uniżonym sługą Jego Lordowskiej Mości.

A więc, pomyślał Jack, to nie w czasie pamiętnego spotkania z Sarą i panną Webster lord Fulmar po raz pierwszy dowiedział się tym, że ma córkę.

- Zagroziłem tej kobiecie procesem, jeśli będzie próbowała zmusić mnie do przyjęcia odpowiedzialności za to dziecko.

- Ale jeśli to pańska córka... ?

- Oczywiście, że to moja córka. Ale wtedy miałem dwóch synów. To chyba oczywiste, że nie chciałem tego bękarta.

- A teraz pan chce? - Jack nie potrafił ukryć pogardliwego tonu wypowiedzi. Jakim człowiekiem musiał być lord Fulmar, jeśli nie zapewnił bytu swemu dziecku, choćby i bękartowi? Boże, przecież kosztowałyby go to zaledwie kilka szylingów tygodniowo.

Lord Fulmar nie zamierzał się usprawiedliwiać.

- Teraz ma dwadzieścia osiem lat. Pewnie jest zameżna - powiedział Jack, spoglądając na datę listu.

- Chcę się zorientować, jaka jest jej sytuacja. Jeśli ma męża, to być może ma też i syna, którego mógłbym zaadoptować. Jeśli nie jest zameżna, w takim razie trzeba będzie zadbać o jej prezencję i znaleźć dla niej odpowiedniego kandydata. Pani Fulmar pouczy ją, jak powinna się zachowywać, pomoże jej nabrać ogłady.

- Jak mam znaleźć tę Sarę Beale? To adres sprzed dwudziestu siedmiu lat.

- Pozostawiam to tobie. Zacznij od udania się pod ten adres. Poniosę wszelkie koszty.

- A jeśli nie będzie zainteresowana?

Lord Fulmar zaśmiał się ironicznie.

- Co? W jej sytuacji? Na pewno skorzysta z okazji.

- Powiadomię pana o rezultatach poszukiwań - uciał Jack, wkładając Ust do kieszeni surduta. Zastanawiał się, czy lord Fulmar pamięta o kłątwie i czy postanowił działać, by się od niej uwolnić. A może zupełnie o niej zapomniał? Nie zdradził mu tego.

Jack wrócił powozem do Holly Park. Był trochę niezadowolony, że lord Fulmar potraktował go jak lokaja, lecz z drugiej strony ciekawiło go, jak teraz wygląda Sara. Przewidywał, że przeżyje rozczarowanie, a Sara okaże się flegmatyczną matroną. Zastanawiał się, czy powinien o wszystkim opowiedzieć matce. Nigdy nie powiedział jej o wizycie małej Sary, ale jeżeli teraz istniała możliwość, że lord Fulmar ją uzna, powinien uprzedzić matkę. W każdym razie odwróci to jej uwagę od prób znalezienia mu żony i od utyskiwań, że nie interesuje się posiadłością.

Nie mógł przewidzieć tego, że wkrótce będzie miał jeszcze inne sprawy na głowie, jako że Delia właśnie poznała młodego Bertiego Claremonta.

Rose Frampton usiadła na swoim łóżku z baldachimem i pięknie udrapowanymi kotarami i odsunęła jedwabną narzutę. Ozdobione złoconymi amorkami lustro wiszące obok łóżka tak, by znajdujące się w nim osoby mogły się oglądać, ukazywało jej niezadowoloną twarz. Od dwóch lat mieszkała z lordem Bylandem i wszelkie uniesienia mieli już dawno za sobą.

Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest zależny od ojca. Co prawda wynajął dla niej to mieszkanie i hojnie ją uposażył, ale stopniowo spędzał tu coraz mniej czasu, bywało, że tylko jedną noc w tygodniu, i od co najmniej trzech znajomych słyszała już, że zamierzał poślubić jakąś nieciekawą, szlachetnie urodzoną pannę, którą spotkał w salonach Almacka. Co się teraz z nią stanie?

Oszalała z niepokoju Rose postanowiła poznać jak najwięcej szczegółów. Wspomnianą debiutantką musiała być panna Pe-

nelope Camden Hargreaves. Na jej nazwisku można było połamać sobie język! Jej rodzice na czas sezonu wynajęli dom przy St James's Square i Rose poszła go obejrzeć. Z goryczą pomyślała, że próg tego domu mogłaby przestąpić tylko jako pokojówka. Nie zamierzała jednak się wycofywać. Chciała za wszelką cenę zobaczyć kobietę, która była dla lorda Bylanda ważniejsza niż ona. W końcu, wręczając niewielką sumkę jednemu z lokajów, dowiedziała się, kiedy panna Camden Hargreaves wyjdzie z domu.

I cóż wtedy zobaczyła? Chudą, brązową tykę nie grzeszącą urodą, ale, o ile można było wierzyć lokajowi, z posagiem w wysokości 18000 funtów.

Jej przyjaciółka Amy, poznawszy lorda Bylanda, powiedziała jej: „Nakłoń go, żeby wykupił ci roczną rentę. Przynajmniej będziesz coś miała, kiedy to się skończy”.

Rose jej nie posłuchała. Dlaczego miałyby prosić go, by wydał na nią kilka tysięcy funtów, które przynosiłyby tylko sto funtów rocznie, skoro był szczęśliwy, mogąc wydawać na nią cztery razy tyle? Poza tym wydawało jej się nieprawdopodobne, że ich romans może się skończyć. Teraz żałowała, że nie posłuchała Amy. Lord Byland bez trudu mógł przekazywać jej sto funtów rocznie, nawet nie zauważając tego wydatku. Jednak na horyzoncie pojawiła się panna Camden Hargreaves i Rose nie mogła go już o nic prosić.

Dobrze wiedziała, że wynajem mieszkania pochłania spore sumy. Co robi, jeśli lord Byland postanowi ją odprawić? Z pewnością zabezpieczy ją na kilka miesięcy, licząc na to, że potem Rose znajdzie sobie innego kochanka.

Kto mógł wchodzić w rachubę? Rose zastanowiła się nad różnymi kandydaturami. Był pan Tamworth, który ukradkiem

szczypał ją w pośladki, kiedy tylko nadarzała się okazja. Miał tłuste małe ręce i sama myśl o tym, że mogłaby mu pozwolić na większą poufałość, przyprawiała ją o mdłości. Był też lord Maurice Walmsley, który niejedną raz okazał jej swe zainteresowanie, lecz był okropnie skąpy, a poza tym nie mogła ścierpieć jego wybuchów śmiechu.

Jedynym kandydatem, który przypadł jej do gustu, był Jack Midwinter. Od czasu, gdy dwa lata temu poznała go u Amy, wiedziała, że mu się podoba. Teraz zdała sobie sprawę, że Amy zwiertzyła niebezpieczeństwo z jej strony i sprytnie pchnęła ją w ramiona lorda Bylanda. Nie żywiła o to do niej urazy; Amy miała prawo dbać o swoje interesy. Tuż po powrocie Rose i lorda Bylanda z Paryża Amy i pan Midwinter rozstali się. Teraz, o kilka kochanek później, był protektorem Delii Sharpe. Delia jest ostra, pomyślała Rose. Kiedy Rose próbowała wzbudzić zainteresowanie pana Midwintera, panna Sharpe celowo ukłuła ją szpilką i syknęła: „Trzymaj się z daleka, zrozumiano?”

A jednak krążyła plotka, że Delia spotyka się z Bertiem Claremontem...

Jack wrócił do Londynu w zimny, dżdżysty dzień, który był jakby dokładnym odzwierciedleniem jego uczuć. Przynębiała go myśl o tym, że będzie musiał włóczyć się po mieście w poszukiwaniu Sary Beale. Była to misja zbyt delikatna, by mógł powierzyć ją swemu pełnomocnikowi; czuł, że musi zrobić to sam. Nie po raz pierwszy przeklinał lorda Fulmara, który zawsze traktował go jak zaufanego służącego. Zaczeka kilka dni z tą sprawą. Postanowił udać się prosto do

mieszkania Delii przy New Bond Street. Z pewnością zostanie tam radośnie przywitany. Poleciał Archieму zabrać bagaż na Half Moon Street i oznajmił, że nie wie, kiedy wróci.

Archie pociągnął nosem, ale się nie odezwał. Mógł powiedzieć Jackowi to, co myślał - nie na darmo znał go od czasu, gdy Jack był małym dzieckiem. Kilka dni spędzonych w towarzystwie pani Midwinter zawsze wpędzało jego pana w zły humor. Archie nie mógł go winić za to, że chce udać się prosto tam, gdzie czeka go coś miłego.

Jack z rozmarzeniem pomyślał o urokach Delii. Była cudowna w dotyku, nawet w najzimniejsze noce palce jej nóg promieniowały ciepłem. Tak, zaraz weźmie ją do łóżka, a potem, kiedy trochę odpocznie, pójdą do teatru.

Mieszkanie, które dla niej wynajmował, mieściło się nad trafiką; wejście znajdowało się po lewej stronie wykuszowego okna sklepu z niebieskimi i białymi słojami tytoniu i schludnymi szeregami fajek. Wsunął głowę do wnętrza.

- Czy panna Sharpe jest na górze?

Żona sprzedawcy przyjrzała mu się uważnie.

- Tak mi się wydaje, panie Midwinter.

Jack ściągnął brwi. Coś mu się nie podobało. Trochę za-wstydzony swoimi podejrzeniami wyjął klucz, cicho otworzył drzwi i wszedł na górę. Delia była w mieszkaniu. Była sama. Powitała go jednak zadziwiająco chłodno, nie zapytała o pogrzeb, w ogóle nie była zainteresowana tym, co robił. Kiedy Jack zaczął jej o wszystkim opowiadać, wyraźnie błądziła myślami gdzie indziej.

Zamilkł.

- Delio, co się dzieje? - zapytał po chwili. - Jesteś na mnie zła, że nie było mnie tak długo?

Wzruszyła ramionami.

- Nie. - Spróbowała się opanować. - Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, to myślałam o Rose Frampton.

- A co się stało?

- Lord Byland właśnie ogłosił swe zaręczyny z panną Camden Hargreaves. Panna Frampton odchodzi od zmysłów. - Rzuciła Jackowi kpiący uśmiech. - Tak więc będzie do wzięcia. Wiem, że zawsze cię lubiła. Trudno byłoby ci znaleźć ładniejszą dziewczynę. Coś mi mówi, że wielu mężczyzn będzie teraz zabiegać o jej względy.

Jack roześmiał się.

- Co to ma znaczyć, Delio? Czyżby Rose zleciła ci jakąś misję?

Delia pokręciła głową.

- Jeśli już musisz wiedzieć, to rzucam cię, Jack.

Zaległa cisza. Jack usiadł na kanapie.

- Czy wolno mi zapytać, dlaczego?

- Och, nie wiem. - Delia zaczęła wodzić palcem po wypukłej ozdobie kominka. - Było nam cudownie, ale... ale... Jack, chcę mieć kogoś młodszego, kogoś, kto ma ochotę na różne figle tak jak ja.

Nie zauważyła, że zeszytniał, zszokowany.

- Masz trzydzieści osiem lat. Mógłbyś być moim ojcem.

- Rozumiem. Kto jest tym szczęśliwcem?

Delia popatrzyła na niego. Siedział w swobodnej pozie, z ręką przerzuconą przez oparcie kanapy, ale w jego głosie kryło się coś niepokojącego, mimo że twarz nie wyrażała żadnych emocji.

- Nie wiem, czy powinnam ci mówić. Mógłbyś...

Jack parsknął śmiechem.

- Uwierz mi, Delio, że pomimo twoich uwag na temat mojego zaawansowanego wieku, nie mam zamiaru robić czegoś tak staromodnego jak wyzwanie go na pojedynek. Po prostu jestem ciekaw.

Delia przygryzła wargę.

- To Bertie Claremont.

Claremont! Ten chudy dzieciak! Jack nie dowierzał własnym uszom, czuł też rosnącą wściekłość. Przecież ten chłopak ledwie skończył szkołę. Ale właśnie odziedziczył fortunę; bez wątpienia Delii się to spodobało.

- Tłumacz to sobie, jak chcesz, ale wiedz, że wcale nie chodzi mi o pieniądze! - wypaliła Delia, jakby czytając w jego myślach. - Po prostu lubimy ze sobą przebywać. To dobry chłopak i bardzo go kocham.

Jack wstał, włożył pelerynę i kapelusz.

- W takim razie żegnaj. Pod koniec tego miesiąca cofnę ci uposażenie. Dasz mi znać, kiedy się stąd wyprowadzisz?

Delia pokiwała głową, zadowolona, że Jack nie robi scen. Odetchnęła z ulgą.

Jack wrócił do swego apartamentu przy Half Moon Street, w kilku słowach powiedział Archiemu, co zaszło i wysłał go po posiłek i butelkę brandy do najbliższej jadłodajni. Jeszcze nigdy nie czuł się tak upokorzony. Podszedł do lustra nad kominkiem i przyjrzał się swemu odbiciu. Nie miał siwych ani przeredzonych włosów. Wokół oczu miał wprawdzie leciutkie zmarszczki, ale były one bez znaczenia. Urodziwa twarz w lustrze wydawała się z niego szydzić.

Zbyt stary! Jeszcze żadna kobieta nie zakwestionowała jego atrakcyjności. Przemierzał pokój z irytacją i niedowierzaniem. Czyżby rzeczywiście pomału robił się podobny do starego

Naseby'ego, nudziarza z klubu, z jego nie kończącymi się opowieściami na temat miłosnych podbojów, w które nikt nie wierzył? Jack przypomniał sobie, jak pewnego razu pomyślał, że stary mantyka powinien zamilknąć i zdać sobie sprawę, że jego młodość minęła już bezpowrotnie. Przypomniawszy to sobie, aż się wzdrygnął.

Ledwie skubnął jedzenie, za to wypił prawie całą butelkę brandy i mgliście zdał sobie sprawę z tego, że Archie kładzie go do łóżka.

Następnego dnia obudził się z pulsującym bólem głowy i uczuciem suchości w ustach. Pomyślał, że dobrze zrobi mu spacer na świeżym powietrzu. Chciał udać się tam, gdzie nie spotka nikogo znajomego. Wypił trochę kawy i zjadł grzanekę - gdy miażdżył ją zębami, chrupanie wydawało się rozsadać mu czaszkę - a potem wyruszył w kierunku północnym. Postanowił pójść do ogrodu zoologicznego. Nie wyobrażał sobie, by mógł tam spotkać jakichś znajomych.

Mniej więcej po czterdziestu minutach wszedł do Regent's Park przez York Gate, okrążył ogród botaniczny i tereny Towarzystwa Łuczniczego, i skierował się w stronę zoo. Zapłaciwszy szylinga, wszedł do środka. Nie przyszedł tu z zamiarem obejrzenia konkretnego zwierzęcia, więc potrząsnął głową na znak odmowy w stronę mężczyzny, proponującego mu kupno słodkich bułeczek dla niedźwiedzi czy słoni, i poszedł w stronę wybiegu dla żyraf, przy którym przynajmniej panował spokój.

Przy ogrodzeniu stało kilka ławek; Jack usiadł i przyglądał się żyrafom. Przywodziły mu na myśl wyciągi do kotwic na rufie statku, który widział kiedyś w londyńskich dokach. Żyrafy trzymały głowy pod podobnym kątem, by skubnąć parę

listków z drzew. Była tam młoda żyrafa i dwie dorosłe, przechadzające się po wybiegu na swych niezgrabnych nogach. Przez dłuższą chwilę podziwiał ich wytworne cętki. Pomyślał, że żyrafy są zadowolone z tego, kim są i nie uganiają się wiecznie za ulotną młodością.

Podparł głowę rękami. Przyszłość rysowała mu się w ponurych, monotonnych barwach. W jego życiu zapewne pojawi się teraz jakaś nowa osiemnastoletnia dziewczyna, może Rose Frampton, która nie ukrywała, że przypadł jej do gustu, a potem kolejna i jeszcze jedna... I może wszystkie będą czuć to samo - że jest za stary. Teraz, po tym, co powiedziała mu Delia, już nigdy nie odzyska spokoju.

A o co w tym wszystkim chodziło? Czemu miało służyć? Czy naprawdę tak podobały mu się te wszystkie przyjęcia, pijatyki, kolejne kochanki? Te nudne pokoje, koniecznie z pluszem, złoceniami, zwierciadłami i sprośnymi obrazkami?

Miał za sobą wiele lat pobłażania samemu sobie, egoizmu i próżniactwa. Kiedy ktoś go nudził, odchodził. Był gotów pomagać przyjaciołom finansowo, ale omijał prawdziwe problemy, jak w przypadku biednego Charliego Fulmara. Nie chciał o nich słyszeć.

Zawiódł jako przyjaciel, nie był też dobrym ojcem chrzestnym dla małego Jamesa Fulmara. Może gdyby postąpił tak jak powinien i zajął się nim, chłopak żyłby do dzisiaj?

Co też, do diabła, robił ze swoim życiem? Wydawał się niezdolny do podjęcia decyzji. Nie spełniał oczekiwań matki, która pragnęła, by się ożenił i osiadł w majątku jak szlachetnie urodzony dziedzic fortuny - co, musiał przyznać, byłoby przynajmniej rozsądne; nie robił też tego, co sam uważał za stosowne, cokolwiek by to było. Problem polegał na tym, że

nigdy dotąd nie był zmuszony do poważnego pomyślenia o swojej przyszłości. Wszystko zostało mu podane na talerzu.

Patrząc na swoje ręce - ręce trzydziestoośmioletniego mężczyzny - Jack ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że prawdę mówiąc wcale siebie nie lubi; że jest gruboskórnym, samolubnym sybarytą. Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy aby kłątwa Marii Beale nie rozciąga się także i na niego. Od dzieciństwa wiedział, że jest przystojny i może właśnie to wcale nie okazało się darem losu, tylko przeszkodą, która nie pozwoliła mu dorosnąć. Przypadkowy układ rysów twarzy sprawił, że folgowano jego zachciankom, tolerowano wybryki i udawało mu się uniknąć odpowiedzialności za swoje poczynania.

Wykorzystywał swój wygląd, tak jak lord Fulmar swoje bogactwo i pozycję. I bardzo nie lubił oglądać następstw swych błędów.

Wyprostował się i jeszcze raz popatrzył na żyrafy. Te dziwne stworzenia miały swój urok i były zadowolone z tego, że są sobą. Pomyślał, że nie zajmie się teraz Rose Frampton, co tak kusząco sugerowała mu Delia. Odrobina wstrzemięźliwości z pewnością mu nie zaszkodzi. Zakończy romans z Delią - będzie wspianiałomyślny i hojny. Usłyszał od niej słowa prawdy na swój temat i postara się być jej za to wdzięczny. Może w końcu wróci do Holly Park i zrobi to, do czego zawsze usiłował go nakłonić administrator, czyli osobiście zajmie się sprawami dzierżawców? Przedtem jednak spełni prośbę lorda Fulmara i postara się odnaleźć Sarę Beale.

4



Następnego dnia była sobota. Sara skończyła pracę w teatrze o drugiej i zamierzała wcześniej wrócić do domu. Miała skończyć kilka projektów kostiumów dla członków orszaku Oberona, mogła to jednak zrobić w ciszy i spokoju w domu. W pracowni krawieckiej panowało wielkie zamieszanie, przygotowywano bowiem kostiumy na nadchodzący sezon; najęto nawet dodatkowe szwaczki, które wymagały nieustannego nadzoru, więc możliwość pracy w spokoju była niezmiernie cenna.

W domu powitała ją niezwykle podniecona Polly.

- Panienko Saro, był tu jakiś dżentelmen i chciał się z panienką widzieć! Jest bardzo przystojny!

- Dżentelmen! - powtórzyła zaskoczona Sara. Zdjęła kapelusz, powiesiła go na kołku, z niepokojem spojrzała w lustro i przygładziła włosy. Polly pomogła jej zdjąć pelerynę. - Przedstawił się?

Polly wskazała wizytówkę na stoliku.

JM. Midwinter, Esq.

Nazwisko nic jej nie mówiło.

- Powiedział, o co mu chodzi?
- Nie, panienko Saro. Powiedział, że przyjdzie jeszcze raz.
- Dobrze. - Sara przestała myśleć o nieznanym i przeszła do swego pokoju, by zmienić buty.

Pracowała nad projektami przez kilka godzin, rozkładając je na stole przy oknie w salonie. O czwartej Polly przyniosła herbatę. Sara zdążyła nalać ją do filiżanki, kiedy usłyszała kołatkę, a w chwilę później zarumieniona Polly wprowadziła do salonu ciemnowłosego, przystojnego mężczyznę.

- Pan Midwinter, panna Sara.
- Panna Beale?

Sara skinęła głową. Mężczyzna wydawał jej się znajomy, nie wiedziała jednak, skąd go zna.

- Proszę usiąść.
- Dziękuję.

Atrakcyjna kobieta, pomyślał Jack. Mówi ładną angielszczyzną. Panna Webster najwyraźniej bardzo poważnie podeszła do dobrowolnie przyjętych obowiązków wychowawczych. Sara usiadła. Jack rozejrzał się po pokoju.

W latach pięćdziesiątych panowała moda na ciemne wzorzyste tapety, głębokie fotele, mnóstwo bibelotów i stoliczków, na których można by je stawiać. Ten pokój był jednak inny; Sara zauważyła, że pan Midwinter ukradkiem wodzi wzrokiem dookoła. Panna Webster odziedziczyła wiele cennych mebli, pozostałości po dniach świetności jej rodu. Jack ze zdziwieniem uniósł brwi na widok komody i włoskiego stolika z markieterią. Pokój, pomalowany na jasnożółty kolor, nie był przeładowany meblami. Na ścianach wisiały osiemnastowieczne akwarele. Też niezłe, pomyślał Jack, który znał się na malarstwie.

Spostrzegła, że z zaciekawieniem przygląda się szkicom leżącym pod oknem, ale nic nie powiedział.

- W czym mogę panu pomóc, panie Midwinter?

Jack wyjął z kieszeni złożoną kartkę papieru i podał Sarze. Spojrzała na nią, zbladła i przebiegła ją wzrokiem, a potem szybko oddała. Czuła się tak, jakby ktoś zerwał plaster z jej krwawiącej rany. Rozpaczliwie próbowała się opanować.

- Nigdy tego nie widziałam - powiedziała w końcu. - Ale, oczywiście, wiem o tym Uście. - Jej ręce drżały, jednak głos tego nie zdradzał.

Rozpoznała go.

Jack również odczuwał niepokój, bo nerwowo skubał kołnierz koszuli.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeśli powiem wprost, o co chodzi. Lord Fulmar został bez dziedzica i poprosił mnie, żebym panią odnalazł, jako że jest pani jego ostatnim żyjącym dzieckiem.

- Czego może chcieć? - zapytała Sara lodowatym tonem. - Nie potrzebuję już, by mnie wychowywano.

- Pragnie dać pani duży posag i znaleźć męża odpowiedniego dla osoby o pani nowej pozycji.

- Co? - Sara gwałtownie wstała i podeszła do okna.

Jack z konieczności także się podniósł.

- To starszy człowiek, panno Beale. Chce, żeby posiadłość została w rękach rodziny. - Patrząc na jej nienaturalnie wyprostowane plecy domyślił się, że dziewczyna walczy z natłokiem uczuć. Co też mogła odczuwać? Podniecenie? Ulgę? W tym domu znajdowały się zaskakująco cenne przedmioty, ale przecież lord proponował jej fortunę.

Sara odwróciła się.

- Nie, dziękuję.

Zapanowała cisza.

- Czy taką właśnie odpowiedź mam przekazać lordowi Fulmarowi? - Miał wrażenie, że się przesłyszał. Co prawda lord Fulmar był bardzo nieprzyjemnym człowiekiem, ale jak to możliwe, że panna Beale, osoba nic nie znacząca, odrzuca taką propozycję? Nie mieściło mu się to w głowie.

Podszedł do niej. Popatrzył na stół i dłuższą chwilę przyglądał się kostiumom dla członków orszaku Oberona. *Sen nocny letniej, Teatr Sadler's Wells, 1853*, przeczytał.

- Nie jestem obowiązana udzielać lordowi Fulmarowi jakiegokolwiek odpowiedzi - rzekła Sara. - Gdybym wiedziała, co chce mi pan powiedzieć, nie wpuściłabym pana do domu.

- Panno Beale, wydaje mi się, że pani czegoś nie rozumie. Lord Fulmar jest bardzo bogaty. Proponuje pani pozycję odpowiednią dla osoby szlachetnie urodzonej i stwarza pani nowe możliwości.

- Rzeknę, że nie - odpowiedziała stanowczym tonem.

- Ale dlaczego?

Sara odwróciła się i popatrzyła na Jacka. Stali teraz bardzo blisko siebie; w jej oczach czaiła się wrogość.

- Poznaję pana - powiedziała lekceważącym tonem.

Jack cofnął się o krok.

- I ja poznaję panią.

- Często myślałam o tamtym dniu. Byłam taka szczęśliwa, kiedy wyruszyliśmy w podróż. To była dla mnie wspaniała przygoda. A potem spotkałam pana i... Charliego, prawda? Mojego brata przyrodniego. Cudownie było myśleć, że znalazłam kogoś z rodziny. Myślałam, że jesteście najwspanialszymi chłopcami, jakich znam. I że jesteście tacy mili, podwożąc

ciocię Hetty i mnie. Czułam się jak w bajce, kiedy zajechałyśmy pod dom w tym powozie.

- To była dwukółka.

- Ale przecież nie byliście mili, nieprawdaż? Pan i pan Charlie zabawiliście się naszym kosztem... teraz jestem tego pewna. Wiedzieliście, jak zostaniemy przyjęte przez lorda Fulmara.

Jack przełknął z trudem. Poczł się podle. Miała rację. Dobrze o tym wiedział. Pamiętał nawet poczucie winy, które nim targnęło, kiedy zobaczył ją przez okno biblioteki - małą, dzielną osobkę siedzącą na dębowym krześle i dyndającą nóżkami w białych bawełnianych pończochach i czarnych butkach.

- Przepraszam. - Wiedział, że to dalece niewystarczające.

- Czeczytałam listy lorda Fulmara do mojej matki - ciągnęła Sara nie zwracając uwagi na to, co powiedział. - Znalaziono je przy niej, kiedy zmarła z głodu i wycieńczenia. Nigdy nie widziałam tak okrutnych i podłych listów. On ją zabił, panie Midwinter, tak jakby poderznął jej gardło. Uwiódł ją i porzucił bez cienia żalu. Gdyby udzielił jej nawet bardzo niewielkiej pomocy, zapewne żyłaby do dzisiaj. To lord Fulmar ponosi winę za to, że nigdy nie znałam własnej matki. Nie mogę niczego przyjąć od człowieka, który jest odpowiedzialny za jej śmierć.

Jack okrążył pokój. Nie był przyzwyczajony do takiego natężenia uczuć; wyprowadziło go to z równowagi.

- Panno Beale. Melodramatyzuje pani sytuację i ja to rozumiem, ale lord Fulmar jest pani ojcem. - Nie chciał, by zabrzmiało to tak, jakby lekcewał jej uczucia.

Oczy Sary rozbłysły gniewem. Jak śmiał! Jak mógł przyjąć

tu z taką misją, oczekując, że zgodzi się na propozycję lorda Fulmara? Chyba nigdy nie przyszło mu do głowy, że w tej sprawie liczy się też i jej zdanie.

- Nie uważam lorda Fulmara za ojca - odpowiedziała z wysiłkiem. - Jeżeli wydaje się to panu melodramatyczne, to bardzo mi przykro. Jednak w niczym nie zmienia to mojej decyzji.

- Ale... ale co mam przekazać lordowi Fulmarowi?

- Co tylko przyjdzie panu do głowy - odparła Sara. - Po prostu zupełnie mnie to nie obchodzi. - Odwróciła się i usiadła. Ręce drżały jej tak, że musiała spleść dłonie.

Jack, który jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak głupio, nie miał innego wyjścia, jak tylko opuścić pokój. Słyszała, jak zstępuje ze schodów i jak zamykają się za nim drzwi. Rozplotła zbiegające palce i ukryła twarz w dłoniach.

Lord Byland, potwornie zakłopotany, stał przy oknie mieszkania wynajętego dla Rose żałując, że nie znajduje się o tysiące mil stąd. Właśnie powiadomił Rose o zaręczynach z panną Camden Hargreaves. Rose wybuchnęła płaczem i zaczęła błagać go, by jej nie porzucił.

- Uspokój się, Rose - powiedział, siląc się na serdeczność. - Nie masz powodów do płaczu. Przecież przeżyliśmy wiele miłych chwil, prawda? Przynajmniej zabrałem cię z domu tej twojej starej ciotecznej babki. To chyba było tuż po jej śmierci, nieprawdaż?

Rose szlochała coraz głośniej. Biedna ciocia Hetty! Po raz pierwszy od dwóch lat Rose z czułością pomyślała o Myddleton Square i o tym, co tam przeżyła.

- Zrujnowałeś moją reputację!

Lord Byland wybuchnął śmiechem.

- A ty bardzo tego chciałaś, moja droga. Prawie mnie o to prosiłaś! Nie, nie, Rose, to nie poszło na marne. To było bardzo korzystne dla nas obojga. Mój ojciec uważał, że powinienem mieć jakieś doświadczenia z kobietami, zanim się ustatkuję, a ty...

- Twój ojciec chciał?... - Rose spojrzała na niego, zszokowana.

- Oczywiście. Byłem żółtodziobem. Ojciec dał mi mnóstwo pieniędzy i poradził, żebym znalazł sobie ładną dziewczynę. „Czystą i świeżą”, powiedział. „Musisz się wyszumieć za młodu”. Przecież to właśnie robiliśmy, no nie? - Z zadowoleniem popatrzył na swoje odbicie w lustrze. Ojciec nawet pochwalił jego wybór. „Podoba mi się ta twoja dziewczynka”, powiedział, kiedy jedli obiad u White'a.

Rosę aż poczerwieniała z upokorzenia. Do tej pory myślała, że zdecydowała się na romantyczną ucieczkę z ukochanym, tymczasem była traktowana instrumentalnie i służyła lordowi Bylandowi do zdobywania doświadczenia. Prawdę mówiąc, nie nauczył się zbyt wiele.

Otworzyła usta, chcąc mu to powiedzieć, lecz zaraz zmieniła zdanie. Lord Byland był jej teraz potrzebny. Panna Camden Hargreaves wkrótce się dowie, jak egoistycznym kochankiem jest jej narzeczony. Dobrze jej tak.

- Och, przeżyliśmy wiele pięknych chwil - powiedziała. - Byłeś wspaniały.

- Na pewno kogoś sobie znajdziesz - rzekł lord Byland, zadowolony, że sprawy przybierają pomyślny obrót.

- Nie od razu. - Rosę opuściła wzrok. - Po tobie... - Delikatnie otarła oczy.

Lord Byland, mile połączony, podszedł i poklepał ją po ramieniu.

- Nie martw się, Rose. Dopilnuję, żeby wszystko było w porządku. Mieszkanie jest opłacone do końca sierpnia. Będziesz też otrzymywać swoje uposażenie... przynajmniej przez jakiś czas.

- Och, Byland! - Rose miała nadzieję, że jej głos wyraża wdzięczność. Zauważyła jednak, że lord nie zaproponował opłacania Lizzie.

Po wyjściu lorda Bylanda Rose rozejrzała się po pokoju. Zaledwie przed dwoma laty rozkoszowała się tym wszystkim: szafą pełną ubrań, własną służącą i pieniędzmi na drobne wydatki. Miała wrażenie, że żyje w baśniowym świecie. Teraz to mieszkanie wydało jej się więzieniem.

Ciocia Hetty prowadziła gospodarstwo za mniej więcej dwa funty i dziesięć szylingów tygodniowo; był to przychód rzadko osiągany przez pracujących mężczyzn. Nawet wyżsi rangą urzędnicy przeważnie zarabiali mniej. Tymczasem ona, Rose, przywykła do dysponowania sumą około ośmiu funtów tygodniowo, mając opłacone mieszkanie i służącą.

Nigdy nie pojawiała się w tej samej sukni więcej niż sześć razy i uważała, że jest bardzo oszczędna, prosząc Lizzie, by zmieniała ozdoby i w ten sposób przedłużyła żywot kreacji. Wydawała trochę na gry hazardowe, ale pilnowała, by nie stracić zbyt wiele, i piła tylko dla towarzystwa.

Musi pogodzić się z tym, że wkrótce nie będzie już miała ani ośmiu funtów na tydzień, ani w ogóle nic przypominającego obecną sytuację.

Tego wieczoru zadzwoniła na Lizzie.

- Lord Byland postanowił przez jakiś czas pozostawić

wszystko po staremu - powiedziała, starając się nie zwracać uwagi na sceptyczny wyraz twarzy Lizzie. - Mimo to, Lizzie, musimy być przygotowane na każdą ewentualność.

- Wypytałam o pana Midwintera, tak jak pani mi poleciła. - Lizzie dobrze zdawała sobie sprawę, że Rose chciałaby w nim widzieć przyszłego protektora.

- No i co?

- Panna Delia rzuciła go dla pana Claremonta. Ale ostatnio nigdzie nie widziano pana Midwintera.

- Wyprowadził się z Half Moon Street? - Rose była szczerze zaniepokojona. Oby tylko nie zdecydował się wrócić do swej posiadłości.

- Nie, panno Rose. Ale jego kamerdyner mówi, że pan Midwinter nie bywa w towarzystwie tak jak do tej pory. - Chciała powiedzieć „unika takich jak ty”, ale byłoby to bardzo niegrzeczne. Lizzie zajęła się też swoimi sprawami, wiedząc, że jeśli panna Frampton szybko nie znajdzie sobie nowego protektora, to ona, jako służąca, straci posadę. Lizzie także musiała się odnaleźć w nowej rzeczywistości.

Poza tym była pewna czegoś, czego panna Frampton wolała na razie nie przyjmować do wiadomości. Mogła iść o zakład, że wkrótce jej pani znajdzie się w bardzo trudnej sytuacji.

J a c k postanowił powiedzieć matce tylko to, że lord Fulmar poprosił go o odnalezienie Sary Beale. Pomyślał, że wszystko jej wyjaśni, jeśli jego misja zakończy się powodzeniem. Pani Midwinter była oburzona, że jej syn został potraktowany jak posłaniec.

- Wiem - powiedział Jack, wzruszając ramionami. - Ale taki on już jest.

Pani Midwinter zamilkła. Lord Fulmar nigdy w pełni nie uznał przynależności Midwinterów do elity. Może sytuacja uległaby zmianie, gdyby Jack ożenił się z odpowiednią panną! Kiedy syn wrócił do Holly Park, zapytała tylko:

- Czy twoje poszukiwania panny Beale zakończyły się powodzeniem?

- Nie jestem pewien - odparł Jack. - To zależy od tego, co powie lord Fulmar. - Jack otrzymał stanowcze wezwanie do Hoop Hall; w czasie śniadania przyniesiono krótki list. - Wezmę powóz, chyba że będzie ci potrzebny.

- Jesteś nareszcie - burknął lord Fulmar. - Co powiedziała?

Przez cały ranek niespokojnie przemierzał bibliotekę w tę i w tę. Zegar wybił już jedenastą. Gdzie też, do diabła, podziewa się ten człowiek? Gość został zaprowadzony prosto do biblioteki; lord Fulmar od razu przystąpił do sprawy, nawet nie proponując Jackowi niczego do picia.

Jack nie znosił, kiedy traktowano go jak lokaja.

- Odmówiła - wypalił prosto z mostu.

Lordowi Fulmarowi zabrakło tchu.

- Co zrobiła? Wyrażaj się jaśniej.

- Odmówiła - powtórzył Jack. - Powiedziałem jej bardzo wyraźnie, że chce jej pan dać posag i znaleźć męża odpowiedniego dla pańskiej córki, a ona odmówiła.

- Musiałeś coś pokręcić. Na pewno cię nie zrozumiała.

Jack zacisnął wargi, ale się nie odezwał. W bibliotece było gorąco i duszno. Ciszę zakłócało jedynie wściekłe brzęczenie osy, wspinającej się po szybie okiennej.

- Czy podała powód swej odmowy?

- Powiedziała, że uważa, iż pańskie zachowanie doprowadziło do śmierci jej matki, więc nie chce mieć z panem nic wspólnego.

- Nonsens. Ta dziewczyna ma źle w głowie.

Jack nie odpowiedział. Przed oczami miał Sarę, jej pałające, pogardliwe spojrzenie. Można było ją nazwać idealistką, ale na pewno nie była szalona.

- No i?

- Ma swoje racje. Panna Maria Beale zmarła z wycieńczenia.

Lord Fulmar zbył ten temat lekceważącym machnięciem ręki.

- Jestem jej ojcem. Jest mi coś winna.

- Ona nie przyjmuje tego do wiadomości. - Jackowi przyszło do głowy, że panna Beale jest równie uparta jak lord Fulmar.

- Trzeba jej to uświadomić. Nie powinienem był cię prosić o przysługę. Mogłem przewidzieć, że wszystko popłaczesz. Sam do niej napiszę.

- W takim razie pozwolę sobie odejść. - Jack wstał.

- Nie tak szybko. Usiądź, do diabła. Co to za dziewczyna?

- Jest podobna raczej do Arthura niż do Charliego. Wysoka, zgrabna. Duży temperament. - Przypomina cię, pomyślał.

- Przyzwoita?

- Bez wątplenia.

- Umie się wysławić?

- Jak najbardziej.

- W takim razie jest odpowiednia. Napiszę do niej. Powiem ochmistrzowi, żeby przygotował dla niej pokój od południa.

Lord Fulmar uspokoił się. Uśmiechnął się nawet miło do Jacka.

- Dziękuję, Jack. Powiedzmy, że zrobiłeś, co mogłeś. Zawsze byłem pewien, że twoja sława kobieciarza jest mocno przesadzona. - Skinął głową na znak, że Jack może odejść.

Podczas drogi powrotnej powozem do Holly Park Jack cały się gotował. Matka mogła sobie myśleć, co chciała, na temat znaczenia przynależności do elity, ale zdaniem Jacka lord Fulmar nie zachowywał się jak dżentelmen. Bolało go też niepowodzenie doznane po długim paśmie sukcesów z kobietami. Pożegnalne słowa Delii uczyniły go bezbronnym.

Ilekróć zastanawiał się teraz nad swoimi związkami z kobietami, nie potrafił zapomnieć o nowym, nieprzyjemnym doświadczeniu. Delia była tylko jedną z długiej listy jego kobiet. Clara, Amy Rush, Delia, nie pamiętał już połowy imion. Nigdy nie wiązał się z nimi na dłużej. Były do siebie bardzo podobne: młode, urodziwe i jasnowłose. Był dumny z tego, że w czasie trwania romansu traktował je bardzo dobrze: kupował drogie ubrania, wynajmował eleganckie apartamenty, powozy na przejażdżki w parku. Nie był skąpy.

W zamian za to oczekiwał, że będą chętnie spełniać jego życzenia, będą mu wierne, a także miłe, oczywiście do pewnego stopnia, dla jego przyjaciół. Gdy nadchodził czas rozstania, zawsze był szczodry. Nigdy nie odmawiał pomocy swojej byłej kochance, gdy zwracała się do niego w potrzebie.

Miał też romanse z zamężnymi kobietami. Tak, było całe mnóstwo kobiet, których mężowie okazywali się na tyle uprzejmi, że udawali, iż niczego nie widzą, pod warunkiem, by żony zachowywały dyskrecję. Unikał wdów. Nie chciał zostać wmanipulowany w małżeństwo.

Za oknami powozu przesuwiał się malowniczy krajobraz hrabstwa Hertfordshire, bujna zieleń drzew, lecz Jack niczego nie zauważał.

Po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, czy jego obsesja, by

pozostać kawalerem, nie była pewnego rodzaju ucieczką. Dlaczego nie chciał się ustatkować? Większość jego rówieśników miała już żony i dzieci; chociaż, z drugiej strony, wielu miało również kochanki.

Bardzo lubił kobiety, więc dlaczego nigdy nie znalazł takiej, z którą chciałby się ożenić? Uwielbiał ich miękkie, zaokrąglone kształty... nie mógł jednak znieść ich hysterii i nadmiernej emocjonalności. Jedna z jego kochanek, Clara, nieustannie się o coś złościła i czterdzieści razy na dzień zmieniała zdanie. Potrafiła się na czymś skupić jedynie przez kilka minut. Kiedy ją poznał, miała zaledwie szesnaście lat. Z początku jej upór i nieodpowiedzialność wydały mu się czarujące. Była jak śliczny mały kociak. Wkrótce jednak zaczął odczuwać pewien przesyty. Najpierw był rozbawiony, potem zdenerwowany, a w końcu wściekły. Kiedy się rozstali, zaledwie po ośmiu miesiącach, poczuł ogromną ulgę.

Dlaczego zatem niczego go to nie nauczyło? Dlaczego każda kolejna kochanka miała podobnie pusto w głowie? Przecież na pewno nie wszystkie kobiety są takie? Choćby jego matka. Pomijając jej irytujące niepokoje na jego temat, była rozsądną kobietą, doskonale prowadziła gospodarstwo, była też hojna, życzliwa ludziom i robiła, co mogła, żeby pomóc tym, którym w życiu nie powiodło się tak jak jej. Jack zdawał sobie sprawę, że nie zawsze było jej łatwo, gdyż pochodziła z zupełnie innej warstwy społecznej.

Panna Beale też nie miała sieczki w głowie. Zdażył się zorientować, że i ona dobrze prowadziła dom. Jej praca była ceniona w Sadler's Wells i bez wątplenia miała talent do projektowania kostiumów. Wprawdzie rozgniewał go jej sto-

sunek do proponowanego majątku, ale przemyślawszy sprawę doszedł do wniosku, że nie można jej za to winić.

Wolał nie myśleć, jaka może być reakcja lorda Fulmara, jeżeli panna Beale będzie uporczywie odmawiać spełnienia jego oczekiwań.

Tego popołudnia, pijąc z matką herbatę w jej ładnym salonie z zielono-żółtymi ścianami, opowiedział jej o Sarze Beale i ich pierwszym spotkaniu.

Pani Midwinter była zszokowana.

- Biedna Maria Beale! - wykrzyknęła. - Oczywiście, że ją pamiętam. To była bardzo piękna dziewczyna, chociaż trochę płocha. Widziałam, że lord Fulmar nie jest jej obojętny... a wtedy był bardzo przystojny, ale nigdy bym nie przypuszczała, że zachowa się tak niehonorowo. Przecież ona była gościem w jego domu! I miała z nim dziecko! Co za hańba!

- Sara była uroczą małą dziewczynką - powiedział Jack, jakby stając w obronie zmarłej. - Pamiętam, że wydała mi się bardzo bystra. Charlie i ja nie powinniśmy byli być tak lekkomyślni.

- Nie mogliście przecież wiedzieć, że lord Fulmar tak się zachowa.

Jack pokręcił głową.

- Powinienem był to przewidzieć. Do tej pory czuję się podle z tego powodu.

Po chwili wahania Jack opowiedział matce o ostatnim spotkaniu z Sarą i jego rezultacie.

- Wygląda na to, że panna Beale całkiem dobrze sobie radzi - powiedziała z lekkim przekąsem pani Midwinter. Nie była pewna, czy spodobałaby jej się ta panna Beale.

- Była bardzo stanowcza. Ale martwię się o nią, mamo. Lord Fulmar nie znosi sprzeciwu, staje się wtedy nieobliczalny.

Boję się, co może mu przyjść do głowy. Ale może panna Beale zmieni zdanie.

- Gdyby któryś z ataków złości lorda Fulmara zabrał go z tego świata, w całym hrabstwie zapanowałaby wielka radość - zauważyła pani Midwinter.

Jack roześmiał się.

- Mimo wszystko trzeba ostrzec pannę Beale. Tylko że ona tak się na mnie rozgniewała, że obawiam się, iż więcej nie wpuści mnie do domu.

Czy to możliwe? - zastanawiała się urażona pani Midwinter. Jednego była pewna: wychowawca właścicielki kamienicy czynszowej z pewnością nie nadawała się na dziedziczkę Hoop Hall, niezależnie od jej pochodzenia.

Dopiero po kilku dniach Sara zdołała ochłonać po wizycie Jacka. Zaskoczona, zdała sobie sprawę, że poza lordem Fulmarem Jack jest jedyną żyjącą osobą, która wie o jej wizycie w Hoop Hall i jedną z niewielu znających prawdę o jej rodzicach.

Było też coś jeszcze: od czasu wizyty w Hoop Hall stale towarzyszyło jej wspomnienie Jacka. Był wspaniałym bohaterem jej dzieciństwa, który oczarował ją swym wyglądem i który rozmawiał z nią w drodze do Hoop Hall tak, jakby coś dla niego znaczyła. Ta rozmowa cieszyła go chyba tak samo jak ją. Przeżyła wielkie rozczarowanie dowiedziawszy się, że wtedy zabawił się tylko jej kosztem, a teraz pozostaje na usługach lorda Fulmara.

Wiele razy w pracy przywoływała w myśli obraz Jacka. To on był źródłem inspiracji przy projektowaniu kostiumów dla członków orszaku Tezeusza. Wyobraziła sobie, że są wysocy,

ciemnowłosi i przystojni, tacy, jakim go zapamiętała, a potem dała im greckie tuniki w kolorze pawiozielonym, by wyeksponować Tezeusza, który miał mieć na sobie złote szaty. Jack z jej dzieciństwa doskonale wyglądałby w pawiozielonym.

Była zła z powodu jego zdrady i przeżywała gorzkie rozczarowanie. Zobaczyła, że nie jest już mężczyzną z jej dziecięcych snów... jeśli w ogóle kiedykolwiek nim był. Teraz zdawał sobie sprawę ze swego uroku - nie uszło jej uwagi, że Polly uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością, kiedy obdarzył ją uśmiechem- i sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z siebie. Z pewnością znał historię jej dzieciństwa, więc dlaczego nie przyszło mu do głowy, że wcale nie musiała się ucieszyć z nagłego wtargnięcia lorda Fulmara w jej życie? Wprawdzie zdobył się na zdawkowe przeprosiny, ale widać było, że nie podziela jej punktu widzenia.

Starła się pogodzić z koniecznością zmiany poglądów na temat swej przeszłości, spowodowaną pojawieniem się Jacka. Prawie w ogóle nie myślała o propozycji lorda Fulmara. Szczerze mówiąc, nie mieściło się jej to w głowie. Co też ona, Sara Beale, wychowana w bezpretensjonalnej domowej atmosferze Myddleton Square i pracująca w Sadler's Wells, miałyby robić w Hoop Hall? Nie wspominała mile ani tego miejsca, ani lorda Fulmara.

Któregoś ranka, mniej więcej tydzień po wizycie Jacka, Sara weszła do jadalni na śniadanie i znalazła list leżący obok talerza. Rzadko otrzymywała pocztę, jako że comiesięczne rachunki ze sklepów były jej doręczane osobiście, więc z przerażeniem wpatrywała się w zapieczętowany papier. Siedziała na honorowym miejscu przy stole, który dzieliła z lokatorami; panna Valloton oraz państwo Johnstone'owie z nieskrywanym zaciekawieniem popatrywali to na list, to na nią.

Sara odwróciła list. Nie rozpoznała pieczęci, ale papier był ciężki, dobrej jakości. Wsunęła go do kieszeni i zajęła się grzankami i kawą. Było jej przykro, że wszystkich rozczarowała, ale wolała zachować treść korespondencji dla siebie. Odeszła od stołu przy pierwszej okazji i pośpieszyła do salonu cioci Hetty.

List był krótki i rzeczowy.

Lord Fulmar polecił mi poinformować Panią, że wymagane jest Jej natychmiastowe przybycie do Hoop Hall. Jego Lordowska Mość przypomina Pani o rodzinnych obowiązkach. W załączeniu przesyłam czek na sumę pięćdziesięciu funtów na pokrycie kosztów podróży-

*Z szacunkiem
T. Foxton*

Sara przeczytała list dwa razy, za pierwszym razem z niedowierzaniem, za drugim kipiąc z wściekłości. Była pewna, że to sprawka pana Midwintera. Widać uznał, że można ją przekupić pięćdziesięcioma funtami. Była to spora suma; taki właśnie roczny przychód dawał jej spadek po ciotce.

W pierwszym odruchu chciała odesłać czek wraz z krótkim listem. Szła już nawet do biurka, lecz zatrzymała się w pół drogi. Lepiej będzie, jeśli wiadomość przekaze osoba bezstronna, prawnik. Pójdzie do pana Wooda, który był wykonawcą testamentu cioci. Panna Webster darzyła go zaufaniem, więc Sara uznała, że jej też na pewno nie zawiedzie.

Postanowiła, że zwróci pięćdziesiąt funtów, a pan Wood tak sformułuje jej odmowę, żeby lord Fulmar nie miał już żadnych wątpliwości.

Co mam teraz zrobić? - wyszeptała Rose. Właśnie skończyła wymiotować do miski, którą trzymała Lizzie, i jej twarz była blada i pokryta potem. - Och, Lizzie! Co ja teraz zrobię? Przecież byłam taka ostrożna!

Lizzie wyprostowała się i odstawiła miskę na umywalnię. Kwaśny zapach wypełnił pokój. Panna Frampton jest w ciąży, a lord Byland niedawno się zaręczył, pomyślała. Na pewno mu się to nie spodoba. Wszystko było już wystarczająco skomplikowane. Jej pani ostatnio zrobiła się bardzo płacziwa. Lizzie widziała, że złościło to lorda Bylanda. Zajście w ciążę mogło przez niego zostać potraktowane jako próba złapania go w sidła.

- Pewnie coś pani zjadła - powiedziała Lizzie. - Wczoraj przy kolacji mówiła paru, że ryba ma jakiś dziwny smak.

Rose pokręciła głową.

- Miesiączka spóźnia się już o pięć tygodni. Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja. - Opadła na poduszki i wytarła twarz ręcznikiem. - Lizzie, zrób mi herbatę.

Służąca wyszła z pokoju. Gdy tylko usłyszała o tym, że lord Byland zamierza się zaręczyć, wiedziała, że to oznacza koniec jego związku z panną Frampton. Być może później przyjdzie mu jeszcze ochota na przespanie się z kochanką, tak czyniło wielu dżentelmenów, ale nigdy tuż po zawarciu małżeństwa.

Zdawała sobie sprawę, że dni jej pracy są już policzone i zaczęła wszędzie wypytywać o możliwość zatrudnienia. Dowiedziała się, że Judy, służąca panny Amy Rush, wkrótce odejdzie z pracy. Lizzie dała Judy pół gwinei, mając nadzieję, że zostanie polecona. Musiała obiecać Judy jeszcze dwie gwinee, lecz stała posada była ich warta, a miała nadzieję, że bez trudu odzyska te pieniądze w napiwkach. Panna Rush była rozsądna; nigdy nie pozwoliłaby sobie na taką wpadkę.

Oczywiście Lizzie było żal panny Frampton, ale musiała przecież zadbać o siebie.

Rose ostrożnie wypijała dwa łyki herbaty. Mdłości ustępowały. Musiała przyjąć do wiadomości to, że jest w ciąży. Nie było innej możliwości.

- Muszę się tego pozbyć - powiedziała. - Lizzie, czy ty... ?

- Nie, proszę pani. - Lizzie przeniknął dreszcz. Jej przyjaciółka wybrała takie rozwiązanie i zmarła w kałuży krwi, w kuchni.

- W takim razie będę musiała poprosić pannę Rush. - Czuła, że Amy będzie wiedziała, gdzie się udać. - Przynies mi papeterię, Lizzie. Poproszę Amy, żeby mnie odwiedziła.

- Pójdę do panny Rush, jeśli pani sobie tego życzy - zaproponowała Lizzie. - Lepiej nie pisać o takich sprawach. - Wolą, żeby panna Frampton nie spotkała się z panną Rush, przynajmniej nie teraz, dopóki nie wyjaśniła się jeszcze sprawa z Judy. Jeśli pójdzie do panny Rush, da tym samym do zrozumienia, że dobro pracodawczyni leży jej na sercu. Nie zaszkodzi też, jeśli panna Rush zobaczy, że można jej ufać. Cokolwiek się stanie, panna Frampton będzie się musiała wycofać z życia towarzyskiego na jakiś czas, a ona, Lizzie, zostanie zwolniona. Wiedziała, że Rose nie będzie w stanie wypłacać jej uposażenia, kiedy lord Byland przestanie je utrzymywać.

- Och, dziękuję ci, Lizzie. - Oczy Rose napełniły się łzami wdzięczności.

Uczucie ulgi trwało jednak bardzo krótko. Panna Rush nie chciała albo nie była w stanie pomóc Rose. Lizzie złagodziała nieco wiadomość, lecz Amy udzieliła jednoznacznej odpowiedzi.

- Głupia krowa - stwierdziła, - Nie mogę jej pomóc. Nie chcę mieć potem sprawy w sądzie, ooo, bardzo dziękuję. Będzie musiała powiedzieć lordowi Bylandowi. Na pewno mu się to nie spodoba, ale będzie ją utrzymywał do końca ciąży. A potem będzie mogła oddać dziecko na utrzymanie. - Dodała, że dziecko prawdopodobnie umrze, jak większość dzieci odanych na utrzymanie, i że to zakończy tę sprawę, a zapewne nauczy też Rose bardziej uważać w przyszłości.

Rose tak zbladła usłyszawszy wiadomość od Amy, że Lizzie przeraziła się nie na żarty.

- Proszę, niech się pani tak nie przejmuje. Lord Byland nie jest złym człowiekiem. Na pewno o panią zadba. Proszę, niech się pani napije trochę brandy.

Rose ze złością odepchnęła kieliszek.

- Odejdź, Lizzie. Chcę zostać sama. - Boże, jak to się stało, że tak się zaplątała?

- Chyba nie chce pani zrobić czegoś nierozsądnego?

Rose pokręciła głową. Nie potrafiłaby się na to zdobyć, a poza tym fatalnie się czuła.

- Rano napiszę do lorda Bylanda.

Po wyjściu Lizzie Rose włożyła szlafrok i usiadła przy oknie. Nie miała zamiaru powiadamiać lorda Bylanda, chyba że okaże się to absolutnie konieczne. Przeżyła już wystarczająco wiele upokorzeń. Musi istnieć jakieś inne wyjście. Miała nadzieję, że Amy będzie dyskretna, ale jeśli Rose zacznie radzić się wszystkich dookoła, wkrótce cała sprawa się wyda, a tego absolutnie sobie nie życzyła. Zbyt wiele kobiet ucieszyłoby się z jej upadku.

Jedynym rozwiązaniem było pozbycie się dziecka, wycofanie się z życia towarzyskiego na jakiś czas, dopóki nie odzyska

dawnego wigoru. Nigdy dotąd się nad tym nie zastanawiała, ale teraz zdała sobie sprawę, że chociaż cieszyło ją łatwe życie i modne ubrania, zawsze martwiła ją niepewność losu i brak prawdziwej ludzkiej troski. Jako kochanka Bylanda musiała spełniać jego zachcianki, cały czas być słodka i ugrzeczniona, a na końcu odejść z wdziękiem i bez kłopotu. Jej uczucia w ogóle się nie liczyły. Prawdopodobnie ciocia Hetty miała rację. Dobre imię miało jednak swoją wartość - lecz Rose bezpowrotnie je straciła.

Oparła głowę o parapet i gorzko zapłakała.

Jakieś dwadzieścia minut później uderzyła ją nagła myśl. Usiadła, otarła oczy rękawem szlafroka i wydmuchała nos w mokrą chusteczkę. Framptonowie! Ciocia Bessy i wuj Alfred. Dlaczego wcześniej o nich nie pomyślała? Przez ostatnie dwa lata utrzymywała z nimi nieregularne kontakty. Ostatnio widziała ciocię Bessy pół roku temu, kiedy to przypadkiem spotkały się w teatrze.

Ciocia Bessy nie przeżyła wówczas szoku. Pocałowała Rose, zachwyciła się jej suknią, porozmawiała chwilę, a potem powiedziała:

- Cóż, teraz sama musisz dbać o siebie, kochanie. - Uśmiechnęła się i popatrzyła na Rose z niepokojem, ale nie oburzyła się ani od niej nie odwróciła.

Tak, pomyślała Rose, jutro odwiedzę ciocię Bessy. Może zdecyduje się pomóc kuzynce? Jeśli wuj Alfred nadal pracuje w Sadler's Wells, może nawet znajdzie dla niej jakieś zajęcie, choćby na jakiś czas? Była ładna i doskonale tańczyła. Oczywiście nie zamierzała przez resztę życia utrzymywać się z aktorskiej posady, a w najlepszym wypadku mogła liczyć na około trzydzieści szylingów tygodniowo, ale ta suma dodana do tego,

co dawał jej lord Byland, w zupełności wystarczy jej na początek. Gdyby tylko nie była w ciąży...

Wróciła do łóżka i prawie natychmiast zasnęła.

Jack zdumiewająco chętnie wbiegł na schody domu Sary przy Myddleton Square. Poprzednim razem źle to wszystko rozegrał. Założył, że panna Beale chętnie przyjmie proponowaną fortunę. Tak zareagowałyby większość kobiet. Jednak po rozmowie z matką i przemyśleniu całej sprawy potrafił już spojrzeć na nią z punktu widzenia panny Beale.

Nie wiedział, jakie kroki podejmie lord Fulmar, ale wcale nie można było wykluczyć, że pewnego dnia zjawi się przy Myddleton Square i będzie próbował zmusić pannę Beale do przyjęcia jego warunków. A kiedy już znajdzie się w Hoop Hall, będzie musiała posłusznie robić to, co przyjdzie mu do głowy. Musiał ją ostrzec.

Był zadowolony, że znów ją zobaczy. Kiedy minęła mu złość, doszedł do wniosku, że podoba mu się jej otwartość, podziwiał też jej postawę. Była szczerą i inteligentnym dzieckiem; ucieszył się, że się nie zmieniła.

Zapukał; w drzwiach stanęła Polly. Jack podał jej wizytówkę.

- Czy panna Beale mogłaby poświęcić mi kilka minut? Proszę jej powiedzieć, że to dość ważna sprawa.

Polly popatrzyła na niego z powątpiewaniem, obracając wizytówkę w palcach.

- Zaraz zapytam, jeśli będzie pan łaskaw zaczekać. - Zamknęła mu drzwi przed nosem.

Sara siedziała na piętrze w salonie; okno było otwarte. Jack słyszał, jak Polly wchodzi, a potem dobiegł go głos Sary.

- Bodaj go Ucho! Dlaczego nie zostawi mnie w spokoju? Powiedz panu Midwinterowi, że nie ma mnie w domu.

Chwilę później Polly wróciła do frontowych drzwi.

- W porządku - mruknął Jack, patrząc na okno salonu. - Słyszałem.

- Bardzo mi przykro - powiedziała Polly. - Panna Beale ma w tej chwili wiele trudnych spraw na głowie.

Wkrótce będzie miała ich jeszcze więcej, pomyślał Jack, zstępując ze schodów. Nie może tak tego zostawić. Musi istnieć jakiś sposób, żeby się z nią zobaczyć, choćby na chwilę.

Następnego ranka Rose obudziła się jak zwykle ostatnio, czując mdłości i tępy ból w okolicy krzyża, a poza tym dziwnie paliła ją twarz. Zadzwoiła na Lizzie, a gdy służąca weszła do pokoju, wskazała miszkę.

Gdy nudności minęły, a służąca otarła jej twarz, Rose powiedziała:

- Przynieś mi strój spacerowy, Lizzie. Zamierzam wyjść dziś rano i nie wiem, kiedy wrócę. W czasie mojej nieobecności zaceruj dziurę w mojej jedwabnej halce.

- Dobrze, proszę pani.

Rose ubrała się powoli, włożyła pelerynę i kapelusz, i sięgnęła po torebkę.

- Zawołaj dorożkę.

Dorożka była kiedyś powozem jakiegoś dżentelmena i pamiętała lepsze czasy. Panowała w niej przykra woń, była niewygodna; trzęsła i podskakiwała na kocich łbach, wioząc ją Pentonville Road w stronę Islington. Rose słyszała parskanie konia i przekleństwa dorożkarza.

Kiedy zajechali pod dom przy Penton Street, w którym na pierwszym piętrze, nad trafiką, mieszkali Framptonowie, Rose czuła się już bardzo źle. Miała mdłości i zawroty głowy, więc szybko rzuciła dorożkarzowi szylinga i sześć pensów, i wygramoliła się z powozu. Ledwie weszła na chodnik, poczuła takie nudności, że chwyciła się drzewa przed trafiką i zymiotowała do rynsztoka.

Tam właśnie znalazła ją Betty Frampton. Wyglądała przez okno i zobaczyła zatrzymującą się dorożkę, lecz nie od razu rozpoznała swą kuzynkę. Dopiero gdy kapelusz zsunął się z głowy Rose, Bessy dostrzegła jasne włosy i zbiegła ze schodów.

- Rose! - Natychmiast zorientowała się w sytuacji. - Chodź, kochanie. Ostrożnie. - Otoczyła ją ramieniem w pasie i powoli wprowadziła po schodach na górę.

Dwadzieścia minut później Rose leżała już w wolnym łóżku u pani Frampton, przyciskając do brzucha owiniętą w ręcznik butelkę z wodą. Ciocia siedziała przy łóżku z dymiącym kleikiem.

- Usiądź na chwilkę, kochanie. Chcę, żebyś to wypiała. Zaraz poczujesz się lepiej.

Rose uniosła się z wysiłkiem.

- Nie chcę tego dziecka - wyszeptwała.

- Sądząc po twoim wyglądzie, nie będziesz go miała - powiedziała ciocia Bessy. - Z twoją mamą było tak samo. Byłaś jedynym dzieckiem, które urodziło się w terminie. Nie mogła donosić ciąży.

- Co to jest? - Rose ostrożnie wypiała łyk płynu.

- Liść maliny, mięta i inne zioła. A teraz zaśnij i przestań się martwić.

Ciocia Bessy miała rację. Rose zaczęła krwawić jeszcze tego wieczoru. Ledwie się zorientowała, co się stało, poczuła tak wielką ulgę, że aż wybuchnęła płaczem. Niedługo wróci do domu i wszystko będzie tak jak dawniej. Wiedziała jednak, że nic już nie będzie takie samo.

- Wciąż mizernie wyglądasz, kochanie - powiedziała następnego dnia pani Frampton. - Rozmawiałam z twoim wujem; doszliśmy do wniosku, że powinnaś przez jakiś czas zostać u nas. Jeśli będziesz chciała, wujek zorientuje się, czy nie znalazłaby się dla ciebie jakaś praca w Wells.

- Och, ciociu Bessy! - W oczach Rose pojawiły się łzy szczęścia. Zdała sobie sprawę, że potrzebowała właśnie tego, by ktoś na jakiś czas się nią zaopiekował, chwili wytchnienia od życia na oczach innych. Zwolni Lizzie, wyciągnie od lorda Bylanda tyle pieniędzy, ile tylko jej się uda, i porządnie odpocznie.

Sezon trwał już dwa tygodnie; 9 września w Sadler's Wells rozpoczęły się próby do nowej inscenizacji *Snu nocy letniej*. Miało to być najważniejsze przedstawienie sezonu, już teraz zapowiadane jako mające *nową oprawę sceniczną, nowe kostiumy i dekoracje*. Zakończono już kładzenie rur gazowych, rozebrano rusztowania. Zapach trocin, nafty i świec został wyparty przez zapach gazu, a ten przytłumiony zapachem farby i kleju, jako że bracia Fentonowie wytrwale pracowali nad dekoracjami i oprawą sceniczną *Snu*.

Sara była zadowolona z tego, że rozpoczął się sezon. Zdażyła już zapomnieć o niepokojach, które nękały ją jeszcze tydzień temu. Kilka razy odwiedziła pracownię malarską, żeby po-

dziwiać dzieła Fentonów. Akty II, III i IV *Snu* toczyły się głównie w nocy. Frederick Fenton namalował ciemne niebo z chmurami i gwiazdami, na które miał wolno wschodzić ogromny pomarańczowy księżyc.

- Podoba mi się to, że księżyc jest większy, niż można by się spodziewać - powiedziała Sara, uśmiechając się do pana Charlesa Fentona, który był zajęty malowaniem pierzastych drzew z cętkowanymi pniami na jednej z dekoracji. - To daje niemal magiczny efekt, tak jakby świat duchów był nam bliższy, niż sądzimy.

Charles Fenton przytaknął.

- Taki właśnie efekt chciałby osiągnąć mój brat. Chce stworzyć coś nierzeczywistego. Słyszała pani o jego sieci?

Sara pokręciła głową.

- Zamówił olbrzymi zwój niebieskiej sieci... prawdę mówiąc, sam po nią pojechał do Glasgow. Będzie wisiała przed sceną przez cały akt II, III i IV.

- Niebieska- powtórzyła Sara głosem zdradzającym jej wątpliwości. - A nie będzie to wyglądało tak, jakby cała akcja toczyła się pod wodą?

Charles Fenton potrząsnął głową.

- Lampy gazowe dają żółte światło, tak że cała scena będzie skąpana w zieleni. Będzie pani miała wrażenie, panno Beale, że znalazła się pani w czarodziejskiej krainie.

Sara przytaknęła. Kostiumy, nad którymi pracowała, potęgowały ten efekt. Niektóre elfy miały pozostać tradycyjnymi chochlikowatymi duszkami, ale inne powinny prezentować się trochę groteskowo. Na przykład Puk miał mieć wielką głowę, inni - nienaturalnie duże ręce. Właśnie tego ranka Sara naklejała papier-mache na drucziane szkielety rąk.

Popatrzyła na drzewo na dekoracji.

- Przypomina mi kostium Puka!

Charles Fenton pokiwał głową.

- Panna Bailey i ja uzgadnialiśmy nasze projekty. Kiedy Puk wyjdzie zza drzewa, będzie wyglądał jak jego część. Tak samo będzie mógł zniknąć.

- Jak driada - zauważyła Sara.

- Właśnie.

Uśmiechnęli się do siebie. Sara weszła po drewnianych schodach na piętro do pracowni krawieckiej. Całe przedstawienie otrzyma wspaniałą oprawę. Już teraz było coś magicznego w ateńskim lesie z tym ogromnym księżycem w tle.

Za kulisami nie było zbyt wiele miejsca i kostiumy zajmowały prawie całą przestrzeń w niewielkiej szwalni, w której pracowały Sara i panna Bailey. Oprócz kostiumów do *Snu* były tam i inne, jako że grano teraz *Panią Lyonu* i *Wirginiusza*; trzeba je było czyścić, dopasowywać i przechowywać. Pan Josephs, pomocnik kierownika sceny, wymyślił konstrukcję, pozwalającą umieścić kilkadziesiąt wieszaków pod sufitem dużej szwalni. Gotowe kostiumy wkładano na wieszaki, po czym podciągano je do góry za pomocą bloku.

Większość kostiumów do *Snu* była gotowa; niektóre wymagały już tylko przyszcycia ozdób i końcowych przymiarek. Panna Bailey i Sara kończyły przystrajanie kostiumów elfów, a na końcu miały zająć się strojami członków orszaku Tezeusza i Hipolity.

- Saro- powiedziała panna Bailey, unosząc wzrok znad kostiumu. - Pan Williams już na pewno wywiesił obsadę. Mogłabyś zobaczyć, kto będzie grał elfy? Chyba zostały już tylko cztery role do obsadzenia. Jeśli aktorzy nie są na próbie, to powinni być w saloniku. Przyślij ich tutaj.

Sara przyjrzała się ręce, którą oblepiała masą papierową. Wyglądała całkiem dobrze. Pieczołowicie umieściła ją pionowo na kiju, aby wyschła, i poszła się umyć. Zdjęła obszerny fartuch mocno poplamiony farbą, powiesiła go na kołku i zeszła na dół.

Od strony kulis dochodziły odgłosy próby dla elfów. Panna Mandlebert, despotyczna Rusałka, poszturchiwała Pajęczynkę, by trzymała się prosto, a Puk, zamknięty, nieśmiały chłopak, usiłował naśladować intonację i gesty pana Phelps'a. Sara słyszała jego dziecięcy głosik.

*Zgadłś. Jam to żartobliwy
Nocny wędrowiec. Ja wyprawiam dziwy,
Ja bawię króla, daję śmiechu hasło... **

Wyrzała z za dekoracji. Niezle sobie radzi, pomyślała. Jednakże jego poważne naśladowanie żarliwości pana Phelps'a nadawało jego słowom przedziwne brzmienie, tak jakby Puk jedynie udawał, że jest istotą ludzką, ale nikt nie mógłby powiedzieć, kim jest naprawdę. Czyniło to jego interpretację nieco ryzykowną.

Wycofała się i przeszła do saloniku. Pan Williams wywiesił już obsadę; szybko przebiegła wzrokiem nazwiska. Były tam cztery osoby potrzebne pannie Bailey: panna Batty, panna F. Batty, panna Goodwin, panna Frampton. Sara jeszcze raz uważnie przeczytała ostatnie nazwisko. Panna Frampton.

Chyba niemożliwe, żeby to była Rose?

* Wszystkie cytaty ze *Snu nocy letniej* w przekładzie Stanisława Koźmiana.

5

Kiedy Sara podziwiała pracę pana Fentona, lord Fulmar jadł śniadanie. Jak zwykle siedział na honorowym miejscu przy stole. Olbrzymi pokój ze ścianami, które na przełomie wieków zostały obite brokatem w kolorze morskiej zieleni, z karmazynowymi, nieco już spłowiałymi zasłonami przytrzymywanymi przez złote sznury, prezentował się imponująco. Ochmistrz i pokojówka bezszelestnie pojawiali się i znikali. Na bocznym stoliku, na talerzu podgrzewanym niewielką lampką naftową, znajdowała się wybrana przez lorda potrawa z ryby, ryżu, jaj i cebuli, a także bekon, szynka i grzyby.

Był sam, co wcale mu nie odpowiadało. Wolał mieć przy sobie kogoś, komu mógłby organizować dzień, albo na kogo mógłby krzyczeć. Pani Fulmar, która zazwyczaj spełniała tę rolę, jak co roku udała się z wizytą do swojej siostry.

Jednakże już wkrótce będzie tu panna Beale. Niewątpliwie trzeba będzie nauczyć ją odpowiednich manier, wyrugować brak ogłady towarzyskiej i prostackie zachowania. Będzie musiała się nauczyć, jak być damą. Na szczęście, jak powiedział Midwinter, jest urodziwa i, co bardzo korzystne, niezamężna.

Pani Charlesowa Fulmar przedłużyła swą wizytę u lady Rundell. Do tej pory lordowi Fulmarowi to nie przeszkadzało, ale teraz będzie mu potrzebna, by przeszkolić pannę Beale według jego wskazówek. Synowa nudziła go, ale przynajmniej była damą. Każę jej natychmiast tu wrócić. Na pewno przyjdzie; dobrze wie, kto tu dysponuje pieniędzmi.

W roztargnieniu wypił kawę i zaczął rozważać kandydatury przyszłych zięciów. Czy jej bękarstwo może okazać się przeszkodą? Sądził, że nie. Jeśli oficjalnie adoptuje pannę Beale i zmieni jej nazwisko, kto ośmieli się krytykować pannę Fulmar? Może jego zięciem zostanie drugi syn hrabiego albo nawet markiz? W każdym razie musi to być ktoś, kto będzie czuł się wyróżniony tym, że zamieszka w Hoop Hall. Lord Fulmar nie chciał, żeby jego odziedziczone po przodkach akry stały się jedynie niewiele znaczącym dodatkiem do większego majątku.

Wszedł ochmistrz z poranną pocztą na srebrnej tacy i świeżo wyprasowanym egzemplarzem „The Times”.

Lord Fulmar sięgnął po nóż do papieru z rękojeścią z kości słoniowej i złamał pieczęcie. Był tam list od administratora majątku, na który będzie musiał odpowiedzieć, kilka rachunków, które odłożył na bok, i list ze stemplem poczty londyńskiej. Zmarszczył brwi i złamał pieczęć. Były to tylko trzy zdania.

Panna Beale upoważniła mnie do napisania, że nie widzi powodów, dla których miałyby przyjechać do Hoop Hall. Nie jest krewną Waszej Lordowskiej Mości i w związku z tym nie spoczywa na niej żaden obowiązek. W związku z tym odsyła czek.

*Z wyrazami szacunku
M. Wood*

Lord Fulmar jeszcze raz przeczytał list i potężnie zaryczał z wściekłości. Chwilę później ochmistrz usłyszał, jak dzbanek do kawy, a także dzbanek z gorącą wodą, uderzają w ścianę; zaraz potem rozległo się wściekłe dzwonienie.

- O, Boże! - wykrzyknął lokaj w korytarzu. - Co teraz będzie?

Ochmistrz głęboko zaczerpnął tchu i wszedł do pokoju.

- Wzywałeś mnie, milordzie? - Dyskretnie rozejrzał się po pokoju. Kawa ściekała po brokatowym obiciu ścian; srebrny dzbanek został poważnie uszkodzony. Dzbanek na gorącą wodę uderzył w żyrandol, którego skorupy leżały teraz na podłodze w kałuży parującej wody. Dzbanek potoczył się pod stół.

Lord Fulmar nie potrafił się opanować; nerwowym krokiem przechadzał się po pokoju. Miał twarz wykrzywioną gniewem i nabrzmiałe żyły na skroniach.

- Zrób tu porządek! Każ Tollingowi osiedlać Tamberlana. I przyslij do mnie Jebba.

- Tak, milordzie. - Popatrzysz jeszcze raz na zniszczoną ścianę, ochmistrz szybko wyszedł. Ruchem głowy dał znak lokajowi, który pośpiesznie się oddalił. Chwilę potem lord Fulmar wyszedł z jadalni zatraskując za sobą drzwi i wołając kamerdynera.

Dwadzieścia minut później lord Fulmar dosiadł silnego gniadego ogiera i pogalopował na wzgórze za domem, okładając konia szpicrutą.

- Mam nadzieję, że skręci kark - mruknął lokaj zamykając drzwi. Popatrzył na kamerdynera, który przed chwilą podał swemu panu kapelusze i szpicrutę. - Nie wie pan, czemu jest taki wściekły, panie Jebb?

- Ta jego nieślubna córka mu odmówiła - powiedział kwaśno Jebb. - Nie chce tu przyjechać.

Lokaj aż gwizdnął.

- No, to możemy spodziewać się dużych kłopotów.

Sara cicho podeszła w pobliże sceny i wyjrzała zza kulis. Stojąca z tyłu sceny Rose wykonywała wdzięczną arabeskę. Sara przyglądała się jej z niedowierzaniem. Co też Rose tu robiła? Była taka chuda i biała! Co się stało?

Dała znak stojącej obok aktorce.

- Mogłaby pani poprosić pannę Frampton, żeby przysłała na przymiarkę kostiumu?

Gdy tylko Rose zeszła ze sceny, Sara chwyciła ją za rękę, pociągnęła za sobą do saloniku, zarzuciła ramiona na szyję kuzynki i mocno ją uściskała. Zepsuta, błędząca Rose w minionych latach często irytowała Sarę, a wszyscy domownicy boleśnie odczuli wytykanie palcami po tym, jak Rose tak ostentacyjnie uciekła z domu z lordem Bylandem, ale teraz to wszystko nie miało dla Sary znaczenia. Rose znów była jej małą siostrzyczką.

- Och, Rose! Niedobrze wyglądasz.

Rose na chwilę posmutniała. Sara jest tutaj, taka cudowna i naturalna, pomyślała. Uroniła parę łez w jej ramionach, ale nagle się wyprostowała i delikatnie ją odepchnęła.

- Byłam chora, ale czuję się już lepiej.

- Ale dlaczego nie jesteś...? - Sara zastanawiała się, jak dokończyć pytanie. Patrzyła na bladą twarzą Rose, starając się wyczytać z niej, co mogło się wydarzyć.

Rose wzruszyła ramionami.

- Byland ogłosił swe zaręczyny, a ja nie przyjąłem innych propozycji. - Nie chciała wtajemniczać Sary w swoje sprawy.

Sara nie wiedziała, co powiedzieć. Tak dalece nie rozumiała świata Rose, że nie była pewna, od czego ma zacząć.

- Gdzie mieszkasz? - zapytała.

- Mam pokój przy Penton Street. W mieszkaniu mojego wuja.

- Wuja? Jakiego wuja?

- Pana Framptona. Chyba go znasz? Jest tu baletmistrzem.

- To naprawdę twój wuj? - zapytała podejrzliwie Sara. Oczywiście знаła pana Framptona, ale nie wiedziała, że jest wujem Rose.

Rose zaśmiała się.

- Najprawdziwsza prawda. To mój wuj Alfred. - Zauważyła, że na twarzy Sary nadal maluje się zdziwienie. - Wiem, że ciocia Hetty nie lubiła mojego ojca - powiedziała ostrożnie - ale wuj Alfred zawsze był dla mnie bardzo dobry. On i ciocia Bessy to ludzie teatru, więc z nimi mieszkam. To wuj Alfred umówił mnie na rozmowę z panem Phelpsem.

- Ale skąd wiedziałas, że jest twoim wujem? - zapytała oszołomiona Sara. - Przecież nie widywałaś się z nim od czasu, kiedy byłaś pięcioletnią dziewczynką.

- Nie bądź naiwna, Saro - powiedziała Rose. - Pamiętasz, jak w środy chodziłam na lekcje tańca? Prowadziła je żona wuja Alfreda, ciocia Bessy - panna Toller. Zawsze miałam kontakt z wujem Alfredem.

- Dlaczego nigdy o tym nie powiedziałaś?

Rose machnęła ręką.

- Bałam się, że ciocia Hetty zabroni mi się z nimi spotykać. Zapanowała cisza; Sara starała się przyjąć do wiadomości to,

co usłyszała. A więc Rose okłamywała je przez te wszystkie lata, od wczesnego dzieciństwa. Wydawało się to niemożliwe. Zastanawiała się, czy wuj i ciocia pomogli jej w ucieczce z młodym lordem. Nie mogła jednak o to zapytać.

- Masz pieniądze? Wiem, że nie skończyłaś jeszcze dwudziestu jeden lat, ale myślę, że udałoby mi się przekonać pana Wooda, żebyś mogła otrzymywać część swego przychodu.

- Dziękuję ci za tę propozycję, ale doskonale sobie daję radę. Lord Byland był bardzo hojny. - Rose uśmiechnęła się z przymusem.

Usłyszały szmer głosów. Pan Phelps zarządził przejście do kolejnej sceny. Lada chwila ktoś mógł im przeszkodzić.

- Chodźmy na górę, Rose - zaproponowała Sara. - Muszę wziąć miarę na twój nowy kostium.

- Myślę, że powinnaś zwracać się do mnie: „panno Frampton” - powiedziała Rose, wychodząc za Sarą z pokoju.

- Ale... Rose, przecież właściwie to jesteś moją siostrą. - Propozycja Rose głęboko dotknęła i zdumiała Sarę.

- To nie ma znaczenia- powiedziała obojętnym tonem Rose. - Dobrze wiem, że straciłam dobre imię. Chyba wczoraj minęłam panią Nutley - pamiętasz ją? - na White Lion Street, a ona udała, że mnie nie zauważa. Możesz być pewna, że wszyscy z Myddleton Square wiedzą już o powrocie córki marnotrawnej.

- Pani Nutley to wstrętna plotkarka- powiedziała Sara. Wiedziała, że pani Nutley nazywała ją „znajdą panny Webster”.

- Chyba tak. - Rose wcale nie była o tym przekonana. Sara pocałowała ją.

- Będzie tak, jak chcesz. - Delikatnie pociągnęła Rose za sobą na górę i otworzyła drzwi szwalni. - Panno Bailey, to jest panna Frampton. Zaraz przyprowadzę pozostałe panie.

Jack niemal zupełnie przypadkowo zdecydował się poddać próbie w Sadler's Wells. Po tym, jak nie został wpuszczony do domu Sary, wałęsał się po Myddleton Square, Myddleton Passage, koło stawów New River Head, aż w końcu doszedł do teatru Sadler's Wells. Był to bezpretensjonalny, ozdobiony sztukaterią budynek przy New River; w ciepłe wrześniowe popołudnie dzieci bawiły się nad rzeką, rzucając kaczkom kawałki chleba. Jack obszedł budynek i otworzył drzwi prowadzące na scenę.

Miał dużo szczęścia, bo Pieprz Williams akurat wyszedł ze swego pokoiku, mógł więc bez przeszkód przejść dalej. Ciekawiło go, jaką pracę wykonuje panna Beale. Był poniedziałek i w teatrze trwały przygotowania do przedstawienia *Wirginiusza* Sheridana Knowlesa. Wokół sceny uwijali się mężczyźni noszący dekoracje i rekwizyty, lecz nikt nie zwrócił na niego uwagi.

W końcu natknął się na niskiego małomównego mężczyznę zamiatającego wióry i trociny.

- Chciałbym zapytać o pannę Beale - zaczął Jack, wsuwając rękę do kieszeni i znacząco pobrzękując monetami. - Czy tutaj pracuje?

Niski mężczyzna oparł się na szcztocie i przyjrzał mu się uważnie.

- W pracowni krawieckiej, z panną Bailey. - Ruchem głowy wskazał schody prowadzące na piętro.

- To nie jest aktorka? - Jack był zaskoczony. Pomyślał, że wspaniale prezentowałyby się na scenie.

- Nie, chyba że pan Phelps ją do tego zmusi. - Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. - Zupełnie jej to nie interesuje. Szkoda, że inni nie są tacy jak ona. Większość z nich trzeba siłą ściągać ze sceny.

- Więc nie występuje teraz w żadnej sztuce? - Miał ochotę zobaczyć ją w kostiumie.

- O, nie. Panna Beale pracowała tutaj przez całe lato, projektowała i szyła kostiumy. Mają tam mnóstwo pracy.

- Rozumiem. A czy odbywają się tu próby dla nowych członków zespołu, czy pan Phelps stale zatrudnia te same osoby?

- Pryncypałowicie są zawsze tacy sami. Wszystko zależy od tego, czego potrzeba i kto jest pod ręką. Ale przyjmowanie nowych aktorów już się skończyło. A co, chciał pan spróbować? - Jakiś lord, który ma bzika na punkcie teatru, pomyślał. Bezbłędnie rozpoznawał takie typy. Większość z nich okazywała się nieprzydatna; każdy chciał grać Hamleta, a nie miał zamiaru wziąć się do roboty.

- To znaczy... myślałem o tym.

- Myślę, że byłby pan doskonałym statystą. Zapewne ma pan strój wieczorowy, kamizelkę, jedwabne pończochy i tak dalej?

- Tak. - Jack sprawiał wrażenie zaskoczonego. - A do czego byłyby mi tu potrzebne?

- Na litość boską, proszę pana, statysta nie może się bez nich obejść. We współczesnych sztukach aktor ma występować w swoim własnym ubraniu. Znam aktora, który dostał rolę tylko dzięki temu, że miał odpowiednie ubranie... oczywiście nie zdarzyło się to u pana Phelps.

- Myśli pan, że pan Phelps mógłby znaleźć dla mnie jakąś rolę?

Pracownik doskonale wiedział o tym, że jest to niemożliwe, ale nie chciał zniechęcać przybysza do dania mu napiwku, więc powiedział:

- Pan Frost, jeden z naszych aktorów grających epizodyczne role, złamał nogę. Nie będzie mógł występować przez wiele miesięcy, bo to jakieś paskudne złamanie. Jeśli chce pan porozmawiać z panem Phelpsem, to znajdzie go pan w jego biurze. - Skinął głową w stronę drzwi u szczytu schodków.

Jack dał mu pół korony.

- Jestem panu bardzo wdzięczny.

Zastanowił się, czy aby przypadkiem nie oszalał. Czyby naprawdę miał zamiar starać się o pracę, która bez wątpienia będzie nudna i męcząca i zabierze mu mnóstwo czasu? Poza tym będzie musiał zapłacić za ten przywilej. A jednak... ten pomysł był w pewien sposób atrakcyjny.

Nigdy w życiu nie musiał pracować, mając znaczny przychód po tym, jak jego ojciec zmarł, gdy Jack miał czternaście lat. Kilka miesięcy takiej pracy będzie dla niego próbą i wyzwaniem. Przypomniał sobie, że jego dziadek harował w przędzalni dwanaście godzin na dobę; wnuk także może okazać się prawdziwym mężczyzną.

Jego znajomi się o tym nie dowiedzą; niby czemu mieliby się dowiedzieć? A on tymczasem będzie pilnował panny Beale. Jeśli Fulmar coś wymyśli, chociaż Jack przypuszczał, że Sarze grozi najwyżej nieprzyjemna wizyta, będzie pod ręką, by jej bronić. W świetle prawa lord Fulmar nie miał żadnej władzy nad panną Beale, poza tym skończyła już dwadzieścia jeden

lat. Prawdę mówiąc, niewiele mógł zrobić. Jack miał nadzieję, że ta świadomość powstrzyma lorda.

Pan Phelps z początku nie miał ochoty przyjąć Jacka. Powiedział, że nie przewiduje już żadnych uzupełnień zespołu. Tak, to prawda, że pan Frost złamał nogę i nie będzie występował przez kilka miesięcy, ale jego rolę przejmie ktoś z kompanii, zadowolony z dodatkowego zarobku.

Po naleganiach Jacka zgodził się jednak na poddanie go próbie.

Pan Frost był bardzo lubianym członkiem zespołu i grał w wielu epizodach. W tym sezonie miał wystąpić w roli jednego z członków orszaku Tezeusza, a także otrzymać kilka ról mówionych.

Phelps od razu zauważył, że Jack prezentuje się bez zarzutu. Jego gra była jednak zaledwie poprawna, nic więcej. Miał jednak coś, czego trudno się nauczyć - doskonale prezentował się na scenie. Poruszał się tak, jakby wydawało mu się naturalne, że wszystkie oczy skierowane są na niego. Mimo wszystko Phelps nie chciał go przyjąć.

Jack czuł, że Phelps ma zamiar odmówić.

- Jestem gotów płacić pięć funtów tygodniowo za to, żeby być członkiem zespołu do czasu powrotu pana Frosta - powiedział. - Pod warunkiem, że będę mógł zagrać jego rolę.

Phelps uniósł brwi. To była spora suma, a teatr poniósł ogromne wydatki na gazowe oświetlenie, nie mówiąc już o kosztach wystawienia *Snu nocy letniej*.

- Nie będzie pan zbyt popularny w zespole - uprzedził go Phelps. Szlachetnie urodzeni aktorzy nie byli lubiani jako ci, którzy zabierają zajęcie uczciwym pracownikom.

Jack wzruszył ramionami.

- Jakoś to przeżyję.

Phelps zastanawiał się przez chwilę. Teatrowi przydadzą się pieniądze, a stojący przed nim mężczyzna sprawiał wrażenie człowieka, który poradzi sobie z ewentualnymi problemami.

- Umowa stoi. Pięć funtów tygodniowo. A teraz, panie Midwinter, proszę przyjąć do wiadomości, że u nas panuje porządek. Próby od dziesiątej do drugiej, i proszę pamiętać, że musi pan doskonale znać swoją rolę. - Uważnie przyjrzał się Jackowi. Nie wierzył jego zapewnieniom, że zawsze chciał zostać aktorem. Już bardziej prawdopodobne było to, że chodzi o kobietę albo o zakład.

- To jest porządna teatralna kompania, panie Midwinter. Tu nie ma żadnego uwodzenia aktorek. Jeśli sprawi nam pan kłopot, natychmiast straci pan pracę. Proszę mi wybaczyć, że mówię o tym bez ogródek. Wolę, żeby od razu wszystko było jasne.

- To zrozumiałe - stwierdził Jack, zastanawiając się, w jaki sposób pan Phelps zamierza poskromić ludzką naturę. Z jego doświadczeń wynikało, że zazwyczaj właśnie aktorki zajmowały się uwodzeniem.

- Zatem oczekuję pana - i pierwszych pięciu funtów - jutro o dziesiątej. Będzie pan członkiem orszaku Tezeusza w *Śnie nocy letniej*. Kiedy będzie pan wychodził, proszę o tym powiedzieć panu Williamsowi - znajdzie go pan w pokoju obok drzwi na scenę - i proszę zanotować sobie plan prób.

Jack podziękował i ruszył do drzwi, jednak po chwili zatrzymał się.

- Ile zarabia pan Frost?

- Trzydzieści szylingów tygodniowo... ale pan kupuje sobie nowe doświadczenia, panie Midwinter, a to nigdy nie jest tanie.

Nie zdając sobie sprawy, co jej grozi, następnego ranka Sara zeszła na dół na próbę czytania i próbę ustawienia scenicznego *Snu nocy letniej*. Pan Phelps chciał się upewnić, że scenografia Fredericka Fentona i oświetlenie sceny będzie korespondować z jego koncepcją sztuki. Planowano czytanie aktu I, końcowej części aktu IV, kiedy Tezeusz i Hipolita udają się do lasu na polowanie i znajdują śpiących kochanków, i całego aktu V. W tych scenach brali udział śmiertelnicy, a więc także Sara, jako członkini orszaku Hipolity; nie występowały w nich elfy.

Planowano też omówienie ruchu scenicznego i ewentualnych problemów. Pan Fenton zasiadł w fotelu na parterze z notatnikiem w dłoni. Obok niego siedziała panna Bailey. Aktorzy nie mieli na sobie kostiumów, ale Sara wiedziała, że panna Bailey chciała się przekonać, czy sprawdzi się jej koncepcja. Na widowni był też pan Frampton. Jako choreograf bez wątpienia był zainteresowany tańcem rzemieślników na końcu aktu V.

Gdy tylko weszła na scenę, zobaczyła Jacka. Jego widok zaskoczył ją tak bardzo, że bezwiednie cofnęła się za kulisy. Dlaczego, mając do wyboru tyle miejsc, musiał być właśnie tutaj? Jak dostał się do zespołu? Podlec, na pewno za to zapłacił. Musiał zdawać sobie sprawę, że zabiera pracę aktorom. Czyżby jego pojawienie się miało jakiś związek z lordem Fulmarem? Co powinna zrobić w tej sytuacji?

Zauważył ją pan Phelps.

- Panno Beale!

Nie mając innego wyjścia, niechętnie wyszła na scenę. W jej głowie aż kłębiło się od myśli. Nie potrafiła zmusić się do spojrzenia na Jacka.

- Chcę, żeby stanęła pani przy pannie Portman. Będzie pani trzymać jej tren, więc cały czas musi pani być tuż za nią.

- Tak, panie Phelps. - Sara rozpaczliwie próbowała się opanować; niezgrabnie uniosła tren Hipolity, którym był długi kawałek materiału przypięty do sukni panny Portman.

Panna Portman uśmiechnęła się do Sary.

- Cieszę się, że znów panią widzę, panno Beale. Mam nadzieję, że miło spędziła pani lato.

Sara podziękowała z uśmiechem. Starła się nie patrzeć w stronę Jacka, chociaż czuła, że się jej przygląda. Stał za panem Henrym Marstone'em, grającym rolę Tezeusza, i rozmawiał z panną Warde, najpiękniejszą z dam Hipolity. Sara natychmiast zorientowała się, że panna Warde zwróciła uwagę na Jacka. Nawet jeśli mężczyźni z zespołu odnosili się do niego z niechęcią, to na pewno nie dotyczyło to kobiet.

Akt I w głównej mierze przedstawiał zakazaną miłość Lyzandra i Hermii. Hermia - niska, ciemnowłosa i pełna temperamentu - była pełna uroku, i Lyzander oszalał na jej punkcie. Ojciec Hermii chciał jednak, żeby poślubiła Demetriusza, który, wściekły, nerwowo przemierzał scenę. Na końcu pojawiała się Helena, w przeciwieństwie do Hermii wysoka i jasnowłosa. Była kiedyś zaręczona z Demetriuszem i wciąż go kochała.

Rola Sary w tej scenie była bardzo niewielka; miała jedynie uważnie usługiwać Hipolicie, co w obecnym stanie ducha przychodziło jej z niezmiernym trudem. Tezeusz ogłosił, że Hermia ma poślubić Demetriusza zgodnie z wolą ojca, albo *być gotową umrzeć lub na ołtarzu Dyjany zaprzysiąc życie samotne na wieki*. Ojciec Hermii, którego z gniewnym temperamentem grał pan Lunt, swym uporem i brakiem rozsądku bardzo przypominał Sarze lorda Fulmara.

Scena dobiegała końca. Urażona Hipolita wyszła. Jako królowa Amazonek nie pochwałała rozkazu Tezeusza dotyczącego Hermii, i Sara musiała uważać, by nie upuścić jej trenu, kiedy panna Portman, z błyszczącymi gniewem oczami, energicznym krokiem zeszała ze sceny, a za nią podążył Tezeusz i członkowie jego orszaku.

Sara zdawała sobie sprawę, że Jack próbuje zwrócić na siebie jej uwagę. Jak śmiał? Zaledwie kilka dni temu bardzo wyraźnie dała mu do zrozumienia, że nie ma ochoty z nim rozmawiać. Nie zamierzała zmienić zdania. Uśmiechnęła się do stojącej za nią panny Warde.

- Widziała pani naszego nowego kolegę z zespołu? - zapytała szeptem panna Warde. - Zastąpił pana Frosta. Muszę przyznać, że jestem nim oczarowana.

- Myślę, że znalazłoby się wielu statystów, którzy chętnie przejęliby rolę pana Frosta - powiedziała z przekąsem Sara.

- Och, myślę, że zapłacił za to, żeby znaleźć się w zespole - powiedziała panna Warde. - W każdym razie ja na pewno tego nie żałuję.

Sara szybko rozejrzała się dookoła, zauważyła, że Jack się im przygląda. Panna Warde uniosła rękę i pomachała do niego, kokieteryjnie przebijając palcami.

- Nazywa się Midwinter - ciągnęła panna Warde - a na imię ma Jack, więc póki zastępuje Frosta, będę go nazywała Jackiem Frostem. - Roześmiała się.

Sara nie czuła rozbawienia. Bez wątpienia panna Warde nie jest jedyną kobietą, która uległa czarowi pana Midwintera, pomyślała złośliwie. Sara uznała, że ona na pewno nie będzie jedną z nich. Odeszła zdecydowanym krokiem.

Przyszła kolej na akt IV. Tezeusz i Hipolita wybrali się na

łowy i napotkali kochanków uspiionych przez Puka w czarodziej-skim lesie. Koniec sztuki był już bliski i nadszedł czas na rozwiązanie splełanych wątków. Król i królowa elfów, Oberon i Tytania, pogodzili się. Tezeusz zamierzał uświetnić ucztą swój związek z Hipolita.

- Panno Beale! - zawołał pan Phelps. - Chciałbym, żeby pani stanęła obok pana Midwintera. Oboje jesteście wysocy i będziecie doskonale prezentować się razem. - Po chwili połączył w pary pozostałych członków orszaków. - Panie Midwinter, proszę wziąć łuk od Tezeusza po *Lecz cóż to za nimfy?*. Panno Beale, w tej samej chwili proszę wziąć łuk Hipolity.

Sara na sztywnych nogach podeszła do Jacka.

- *Dumna Tytanio, zły cię przywiódł księżyc* - powiedział Jack.

- Sztuka się zgadza, ale to nie ten akt - wypaliła Sara. - Co pan tu robi?

- To samo, co pani. Gram.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- *Zaczynamy!* - zawołał Phelps. - Od wejścia Tezeusza i Hipolity. Panie Williams, proszę podać nam ostatnie dwie linijki Tytania. - Pieprz Williams siedział w budce suflera.

Sara, cały czas świadoma obecności Jacka, bez powodzenia usiłowała się skoncentrować. Nie chciało jej się wierzyć, że pan Midwinter naprawdę ma ochotę występować na scenie. Musiał go tu przysłać lord Fulmar, bo co innego mogło wchodzić w rachubę?

- Zastanawia się pani, czy moja obecność ma coś wspólnego z pani osobą? - zapytał usłużnie Jack.

- A ma? - Sara uporczywie wpatrywała się w plecy panny Portman.

- A nie może? - odpowiedział pytaniem Jack, przykładając rękę do serca.

- Niech pan będzie poważny. - Sara zlekceważyła ten gest. - Przypuszczam, że pojawił się pan tutaj jako sługus lorda Fulmara.

Jack wyprostował się gwałtownie.

- Nigdy nie byłem fagasem lorda Fulmara.

- Fagasi robią wszystko, o co poproszą ich panowie, nawet jeśli są to brudne sprawy - oznajmiła Sara lodowatym tonem. - Muszę powiedzieć, że nie widzę tu wielkiej różnicy.

- Na litość boską, panno Beale... - zaczął Jack, dotknięty do żywego.

Sara uśmiechnęła się z satysfakcją.

W chwili, gdy Rose zobaczyła Jacka, wiedziała, że los znów się do niej uśmiechnął. Nie wiedziała wprawdzie, dlaczego pojawił się w Sadler's Wells, ale bez względu na powód, na pewno jej to pochwlebiało. Jack musiał wiedzieć, że Rose była zainteresowana zajęciem miejsca Delii. Miał opinię dobrego i hojnego kochanka. Tym razem Rose zadba o odpowiednie zabezpieczenie finansowe, zanim zdecyduje się na związek. Widocznie Jackowi na niej zależy, bo czyż inaczej przyszedłby tu, żeby być blisko niej? W dodatku z pewnością sporo zapłacił za ten przywilej.

Żałowała, że przydzielono mu rolę jednego z członków orszaku Tezeusza, podczas gdy ona miała towarzyszyć Tytanii. To oznaczało, że będą się mijali na scenie, lecz mogło się to okazać w pewien sposób korzystne. Rose jeszcze nie całkiem

doszła do siebie i wolniejszy rozwój wypadków bardziej jej odpowiadał.

Usiadła w ostatnim rzędzie i obserwowała próbę. Rozbawił ją widok Sary, stojącej sztywno koło Jacka. Czyżby powiedział jej coś, co nie przypadło jej do gustu? Jaka byłaby reakcja Sary, gdyby знаła prawdę? Rose bardzo lubiła Sarę, ale wiedziała, że siostra potrafiła być bezkompromisowa w swoich ocenach. Zapewne nie byłaby zadowolona, że stoi obok pana Midwintera, gdyby znała jego reputację. Rose z rozbawieniem pomyślała, że podroczy się trochę z Sarą na ten temat.

Przeniosła wzrok na pannę Warde, która bezczelnie próbowała zwrócić uwagę pana Midwintera, przy każdej sposobności obracając się w jego stronę i posyłając mu kokieteryjne spojrzenia. Rose pomyślała, że panna Warde musi mieć co najmniej dwadzieścia pięć lat, a wszyscy wiedzieli, że pan Midwinter interesuje się jedynie kobietami w wieku Rose. Poza tym wszystkie kochanki Jacka były blondynkami, tak jak ona, więc panna Warde, która miała ciemne włosy, na próżno traciła czas. Niemniej jednak zachowanie tej panny Warde złościło ją i niepokoiło.

Zastanawiała się, jak powinna się zachować w obecnej sytuacji. Czy zaczekać, aż Jack sam do niej podejdzie? Czy też należałoby raczej zrobić pierwszy krok?

Sara i Jack przebywali na scenie przez prawie cały akt V, chociaż ich role były bardzo niewielkie. Akcja toczyła się w nocy. Niebieska sieć zniknęła; znów byli w Atenach, wśród śmiertelników. Sara widziała projekt scenografii Fentona dla aktu V, z korynckimi kolumnami w pałacu Tezeusza i wiszącymi

kandelabrami. Z tyłu sceny wisały zasłony, które rozsuwano na końcu sztuki, by ukazać się tarasowy ogród, w którym miały tańczyć elfy. Z ogrodu roztaczał się wspaniały widok na Ateny.

Nieporozumienia pomiędzy Oberonem i Tytanią zostały wyjaśnione, kochankowie połączyli się, a Tezeusz i Hipolita dali dowód, że są sprawiedliwymi władcami. W świecie znów zapanował ład.

Tezeusz i Hipolita usiedli na rozklekotanych krzesłach służących za trony. Po prawej stronie Tezeusza zajęli miejsca Hermia i Lyzander, a po lewej stronie Hipolity - Demetriusz i Helena. Za nimi, na marmurowych, lecz w tej chwili zwykłych drewnianych ławkach, zasiedli członkowie orszaków. Wszyscy mieli oglądać przedstawienie przygotowane przez rzemieślników.

Sara i Jack, na nieszczęście Sary, mieli usiąść obok siebie. Inni również zostali pogrupowani w pary. Musieli zaczekać, aż Phelps skończy rozmowę z Frederickiem Fentonem. Skomplikowana scenografia i efekty świetlne wymagały perfekcyjnego dopracowania szczegółów. Przed dokonaniem ostatecznych poprawek pan Fenton chciał się przekonać, jak jego pomysły sprawdzają się w praktyce.

- W porządku, Fenton? - zapytał Phelps. - Masz jeszcze jakieś uwagi?

- Chciałbym poruszyć sprawę końcowego zejścia ze sceny, panie Phelps. A pan Frampton chciałby porozmawiać o pergamesce.

- Co to jest pergameska? - Jack zwrócił się do Sary. Czuł, że wciąż jest do niego nieprzychylnie nastawiona. Trzeba ją będzie udobruchać, pomyślał. Przypominała mu Charliego, który często wymagał ugłaskiwania, kiedy był o coś zły. Jack umiał przygłaskiwać nastroszone kobiece piórka.

- Taniec.

- Będziemy musieli tańczyć pergameskę? - Przeraził się. Cieszyło go, że może pokazać się na scenie, ale nie chciał robić z siebie widowiska w tańcu.

- Nie, tylko rzemieślnicy będą tańczyć. A naszym zadaniem jest śmianie się z ich sztuki.

- O, Boże. - Jack westchnął.

Sara przyjrzała mu się uważnie.

- Poczucie humoru Szekspira sprowadza się do tego, że jakiś błazen wchodzi na scenę i mówi: *Jeżeli się nie umiesz uśmiechać wedle tego, jak wiatr wieje, to dostaniesz kataru.** I wszyscy wybuchają śmiechem.

- To z *Króla Lira* - powiedziała natychmiast Sara. Wciąż złościła ją obecność Jacka, ale nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. - Wiem, o co panu chodzi, ale uważam, że pan się myli. Spodka gra sam pan Phelps, a krotochwila rzemieślników będzie naprawdę bardzo zabawna. Przekona się pan.

Jack przyjrzał się jej z upodobaniem. Kiedy trochę się odprężyła w jego towarzystwie, prezentowała się bardzo atrakcyjnie. Oczywiście nie był to ten typ kobiety, który tak podobał mu się do tej pory, ale miała w sobie jakiś trudny do określenia urok. Była ubrana w karmazynowa suknię, która doskonale podkreślała jej urodę. Jack dobrze znał się na kobiecej modzie; od razu zauważył, że suknia ma prosty, ale doskonały krój i jest uszyta z materiału pierwszorzędnej jakości. Miała bardzo skromne przybranie - jedynie kilka rzędów galonu przy krawędzi - w przeciwieństwie do sukni panny Warde, którą zdobiło tyle falban i frędzli, że wyglądała jak przeładowany ozdobami abażur.

* Przełożył Józef Paszkowski.

Panna Beale bez wątpienia była damą. Dziwne, że przyszło mu to do głowy. Jack dobrze wiedział, że każda kobieta pracująca dla pieniędzy, jeśli nie była guwernantką, natychmiast traciła wszelkie prawa do tytułu. Aktorka, krawcowa i osoba uchodząca za artystkę - panna Beale była trzykrotnie przekreślona jako osoba godna szacunku. Dobrze zdawał sobie sprawę, że tak właśnie powiedziałyby jego matka.

Przez całe swoje dorosłe życie dzielił kobiety na kategorie. Zupełnie ignorował młode damy, z którymi mógłby się ożenić, chyba że wypełniał jakieś towarzyskie zobowiązanie. Uznawał odpowiednie mężatki, pod warunkiem, że potrafiły być dyskretne. Inne, takie jak Amy Rush czy Delia, były dlań wygodne. Pani Midwinter ubolewała nad moralnością syna, ale nie sprzeciwiała się jego klasyfikacji.

Jednakże panna Beale wydawała się nie podlegać żadnym schematycznym podziałom.

Pan Frampton i pan Fenton dopracowali szczegóły pergameski. Rzemieślnicy mieli zejść ze sceny na prawo tuż po zakończeniu tańca, a Tezeusz, Hipolita, kochankowie i orszaki musieli opuścić scenę z lewej strony. Jack i Sara mieli skłonić się i dygnąć, kiedy Tezeusz i Hipolita będą ich mijać.

- Panie Midwinter! - zawołał Phelps. - Pan i panna Beale wychodzą zaraz po Lyzandrze i Hermii. Proszę podać ramię pannie Beale. Panno Beale, dotyka pani ramienia pana Midwintera tylko koniuszkami palców. Proszę zachować odpowiednią odległość. Tak, bardzo dobrze. Pozostałe pary robią to samo.

Ich zejście ze sceny zakończyło próbę. Za kulisami Sara natychmiast cofnęła rękę, jakby ramię Jacka ją parzyło. Skorzystała z pierwszej sposobności, by uciec do szwalni i przyłożyć

dłonie do rozpalonych policzków. Przebywanie w pobliżu Jacka przyprawiało ją o dziwne zmieszanie, którego dotąd nie doświadczała; nie wiedziała, jak ma się zachować w tej sytuacji. Jack w przedziwny sposób mącił jej myśli. Poczowała ulgę, znów mogąc chwycić igłę. W szwalni panował spokój i mogła się nad wszystkim zastanowić. Było tuż po drugiej. Powinna popracować jeszcze przynajmniej pięć godzin, dopóki miała dzienne światło. Przeszła do dużej szwalni i pociągnęła za sznurek. Musiała doszyć rąbki spódnic i skończyć pasy dla Hermii i Heleny. Ich suknie wzorowane są na noszonych w średniowiecznej, a nie starożytnej Grecji, pomyślała. Podobne pasy widziała kilka lat temu w Średniowiecznym Dworze Pugina w Crystal Palace. Były zwężone na końcach z przodu sukni, a na całej długości miały przyszyte splecione wstążki. Odczepiła pasy i poszła po poduszeczkę do igieł i szpilek. Musiała starannie przyszyć wstążki; na tyle mocno, by się nie odrywały, pamiętając jednak o tym, że trzeba będzie je odpruwać przy praniu pasów.

Kiedy skończyła, było już po siódmej i zapadał zmierzch. Przywiązała pasy do sukien i podciągnęła wieszaki do góry, a potem zeszła na dół.

Pieprz Williams siedział w swoim pokoiku, Kleks leżał u stóp. Pies gwałtownie zamachał ogonem; Sara schyliła się, by go pogłaskać. Pan Williams przeglądał scenariusz *Hamleta*, który wkrótce miał się pojawić w repertuarze.

- To nieprzyzwoita sztuka, Saro - powiedział. - Miejscami bardzo sprośna. Pan Phelps musiał wyciąć fragmenty, których po prostu dzisiaj nie wypada wystawić. Mam nadzieję, że nie będziesz chciała tego zobaczyć?

- Boże. - Sara uśmiechnęła się. - Jest aż taka gorsząca?

- Nie chciałbym, żeby widziała to moja córka - stwierdził ponurym tonem pan Williams.

- Mam dwadzieścia osiem lat - przypomniała mu Sara.

- Niemowlę - prychnął pan Williams. - A tak na marginesie, to pytał o panią pewien mężczyzna. Pan Midwinter.

- Czego chciał? - zaniepokoiła się Sara. Boże, znowu on, pomyślała.

- Chciał się dowiedzieć, kiedy pani pójdzie do domu.

- Mam nadzieję, że pan mu nie powiedział! - zawołała z przerażeniem.

- Powiedziałem, że to nie jego sprawa - oznajmił Pieprz Williams z odcieniem satysfakcji w głosie. Lubił Sarę i nie miał zamiaru pozwolić, by się jej naprzykrzano. - Panna Beale to porządna dziewczyna, powiedziałem. Może inne osoby... nie chcę wymieniać nazwisk, biorąc jego grzeczności za dobrą monetę, ale mnie nie oszuka. To człowiek szlachetnie urodzony, wszyscy to widzą, ale on coś kręci... jeśli jest inaczej, to nie nazywam się Williams.

- Przez większość czasu jesteśmy razem na scenie w *Śnie* - powiedziała zaniepokojona Sara. - Nie życzę sobie żadnych kłopotów. - Wydawało jej się, że Jack nie interesuje się nią jako kobietą, była na to zbyt mało urodziwa, ale mógł nękać ją w sprawie propozycji lorda Fulmara, a tego za wszelką cenę chciała uniknąć.

- Wymknij się teraz, dziecinko - powiedział Williams. - Poszedł pomóc panu Fentonowi przy dekoracjach. Na jego plus muszę powiedzieć, że nie boi się pracy.

Sara mocno związała wstążki kapelusza, podziękowała panu Williamsowi i wyszła.

Do Myddleton Square prowadziła krótka droga przez Myd-

dleton Passage, przecinająca New River Head. W ciągu dnia było tam bezpiecznie, lecz po zmierzchu należało unikać tej okolicy, jako że nie było tam lamp ulicznych, a zimą gromadzili się tam złoczyńcy. Sara wolała wracać do domu okrężną drogą przez St John Street, lecz pomyślała, że na razie jest dość widno. Nie było bardzo późno, a miała przy sobie zaledwie parę szylingów.

Po drugiej stronie stawów spora grupa chłopców grała w piłkę; wydawali się pochłonięci grą. Pasztetnik z piekarni przy Amwell Street wolno wracał z pracy, był jakieś dwadzieścia jardów przed nią. Poczuvszy się bezpieczniej, Sara różnym krokiem ruszyła w stronę domu.



Jacka bardzo szybko zafascynowała praca za kulisami w Sadler's Wells. Frederick Fenton wykonał makietę zespołu dekoracji do *Snu nocy letniej* i zademonstrował Jackowi zasady działania.

- To jest diorama - wyjaśnił. - Dwa zestawy dekoracji poruszające się razem. Proszę spojrzeć, panie Midwinter. Jeśli pokręci pan tą gałką w czasie, kiedy ja będę kręcił tą, zrozumie pan, o co chodzi.

Tylny zestaw dioramy był pomalowany na ciemnoniebieski kolor, na którym namalowano gwiazdy i chmury, podczas gdy przedni przedstawiał las ateński z wycięciami na polanki, ścieżki i przestrzeń między drzewami. Kiedy powoli poruszano dwie części dioramy, nocne niebo przesuwano się w tle i powstawało wrażenie przechodzenia do różnych części lasu. Gdy diorama poruszała się, ogromny pomarańczowy księżyc wschodził i zataczał łuk nad zachmurzonym nocnym niebem.

- Oczywiście, to jeszcze nie wszystko - mówił Fenton, któremu podziw Jacka sprawił dużą przyjemność. - Na scenie

staną jeszcze drzewa, za którymi będą się kryć elfy. Będziemy też mieli sylwetki. - Zauważywszy pytające spojrzenie Jacka, dodał: - Kiedy Puk będzie musiał zniknąć, młody Artis schowa się za jedno z tych wyciętych drzew. Jego kostium został tak dobrany, że zleje się z drzewem w jedno. A potem jego sylwetka wzbije się w niebo.

- Ważne będzie doskonałe zgranie wszystkiego w czasie - powiedział Jack w zamyśleniu.

- O, tak. Atmosfera przedstawienia będzie w dużej mierze zależeć od scenografii i efektów specjalnych. Co najmniej sześć osób będzie się zajmować samymi dekoracjami. Oprócz tego ważną rolę pełni oświetlenie.

- Jeśli mógłbym się na coś przydać, chętnie pomogę - powiedział Jack.

- Pana zadaniem jest majestatyczne kroczenie po deskach scenicznych - rzekł z uśmiechem Fenton. - Słyszałem już wiele zachwytych na temat pana nóg. Radzę uważać. Wpadł pan w oko pannie Warde.

Jack roześmiał się.

- Wolę pannę Beale.

- Będzie pan miał kłopot - ostrzegł Fenton. - Nasza Sara nie lubi flirtować. To bardzo poważna młoda kobieta. I naprawdę doskonała w swoim zawodzie.

- Nie lubi występować na scenie - powiedział Jack. - To dziwne, bo uważam, że prezentuje się wspaniale.

- To prawda - przyznał Fenton, z zaciekawieniem przyglądając się Jackowi. - Ale jest bardzo nieśmiała. Przy pierwszym występie kuliła się ze strachu z tyłu sceny. - Zauważył, że panna Beale jest dziwnie skrępowana w towarzystwie Jacka i zastanawiał się, jaka jest tego przyczyna. - Interesuje się nią pan Thorpe.

- Thorpe! - powtórzył jak echo Jack, wyraźnie niezadowolony.

Fenton uśmiechnął się w duchu.

Jack obiecał pomóc panu Harveyowi w stolarni, więc pożegnał Fentona i szedł na dół. Kiedy mijał scenę, wybiegła z niej gromadka roześmianych, rozgadanych elfów. Większość ról odtwarzały dzieci; niektóre ciągnęły za sobą zaniepokojone matki. Były też jednak i starsze odtwórczynie ról duszków. Jedna z nich wydała mu się dziwnie znajoma.

Zatrzymała się przed nim, wydając cichy okrzyk zdziwienia.

- Kogo ja widzę! - wykrzyknął Jack. - To przecież śliczna Różyczka!

Stojąca za Jackiem panna Goodwin, surowa osoba w tej chwili ożywiona zaciekawieniem, szybko objęła ich wzrokiem i bezszelestnie zniknęła za kulisami.

- Boże! Pan Midwinter! - Rose pokraśniała. Była zadowolona, że poprzedniego dnia umyła włosy, które teraz okalały jej twarz srebrzystozłotą aureolą.

- Co tu robisz, Różyczko?

- Zawsze lubiłam teatr - odpowiedziała Rose, spoglądając na niego spod rzęs. - Chciałam zostać tancerką.

Jack nie wierzył ani jednemu jej słowu.

- Słyszałem, że Byland okazał się sknerą. Jeśli tak, to mam o nim jak najgorszą opinię.

Rose dumnie uniosła podbródek.

- Był bardzo hojny, tak że mogę sobie pozwolić na zajęcie się czymś dla przyjemności. Lubię Wells, a poza tym pracuje tu moja rodzina. Wuj jest choreografem. - Nie chciała napomykać o Sarze, przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Rozumiem. - Jack przyglądał się jej przez chwilę. - Więc nie szukasz następcy Bylanda?

Rose dotknęła podłogi czubkiem palców i zatoczyła stopą mały łuk.

- Może o tym pomyślę - powiedziała. - Oczywiście jeśli propozycja będzie tego warta. - Zrobiła znaczącą pauzę. Jack patrzył na nią i uśmiechał się, ale nie podjął tematu. Rose nie zamierzała czekać. - Tymczasem jestem bardzo zadowolona, że mogę tu pracować. Boże, obiecałam panie Gilbert, że jej pomogę. Muszę lecieć! - Roześmiała się, pocałowała go i wybiegła.

Jack udał się do pracowni stolarskiej. Panna Goodwin wyrzuciła się zza kulisy. Co za tupet, pomyślała. Panna Frampton zachowała się jak kobieta lekkich obyczajów, bezwstydnie oferując swe usługi panu Midwinterowi. Panna Goodwin zastanawiała się, czy aby nie powinna powiadomić o tym pana Phelps'a.

Sara miała wiele problemów z kostiumem panny Goodwin, głównie z powodu niedoskonałości jej figury, o których oczywiście nie odważyłaby się wspomnieć. Panna Goodwin była bardzo chuda i sucha. Mimo że doskonale tańczyła, nie miała szans awansu z roli statystki z powodu braku odpowiedniej sylwetki i wdzięku. Miała kościste, kanciaste ramiona i guzowate kolana i kostki. Wielka szkoda, myślała Sara, krytycznie przyglądając się kostiumowi panny Goodwin na manekinie, że panna Goodwin upiera się, by grać role duszków i występować w balecie, skoro miałyby szanse odnieść sukces w rolach komediowych.

Niemniej jednak Sara zrobiła dla niej, co tylko mogła. Tiulowa kreza maskowała kościste ramiona, a jedwabne kwiaty

na staniku sukni i dookoła bioder nadawały figurze apetyczną kragłość.

- To nie do pomyślenia, panno Beale! - wybuchnęła panna Goodwin, zdejmując halkę, by z pomocą Sary przymierzyć kostium. - Ta panna Frampton! Co ona sobie wyobraża?

- Panna Frampton? - powtórzyła z niepokojem Sara. - Co takiego zrobiła? - Wiedziała, że panna Goodwin łatwo się obraża; pomyślała, że pewnie chodzi o jakąś błahostkę.

- Słyszałam na własne uszy! Składała jednoznaczny propozycję panu Midwinterowi. Nie ulega wątpliwości, że doskonale się znają. Auu!

Sara niechcący ukłuła ją szpilką.

- Skąd pani wie?

- A czy nazywałyby ją „śliczną Różyczką”, gdyby było inaczej? - Szczupła twarz panny Goodwin wykrzywiła się z oburzenia. - Rozmawiali o jakimś lordzie, który utrzymywał pannę Frampton. Wszystko słyszałam. Stałam za kulisą jakiegoś dwa jardy od nich. Och, to kobieta wątpliwej konduity, wspomni pani moje słowa.

Wstażka, którą Sara usiłowała przypiąć do spódnicy panny Goodwin, ciągle wymykała się z jej zdrewniałych nagle rąk. A więc Rose znała pana Midwintera. Może właśnie dlatego się tutaj znalazł i jego pojawienie się nie miało nic wspólnego ze mną, pomyślała Sara.

- Zamierzam powiedzieć o tym panu Phelpswi - ciągnęła panna Goodwin. - Jestem pewna, że ta panna Frampton dostała pracę tylko dzięki swemu wujowi, a teraz szuka kolejnego protektora.

- Czy pan Midwinter sprawiał wrażenie zainteresowanego

jej propozycją? - Sara nie potrafiła się powstrzymać od zadania tego pytania.

- Zapytał ją, czy szuka następcy swego protektora, ale nie zaproponował, że sam może nim być, tego jestem pewna - powiedziała panna Goodwin. - Dobrze jej tak. - Zrobiła pauzę, po czym zapytała: - Myśli pani, że powinnam powiedzieć o tym panu Phelpswi?

- Może to być niezręczne - odpowiedziała Sara. - Pan Phelps z pewnością zapyta, skąd pani to wie. - Sądziła, że nie byłby zachwycony usłyszawszy, że panna Goodwin podsłuchiwała prywatną rozmowę. Panna Goodwin była dobrą, ale niezbyt lubianą pracownicą i w każdej chwili mogła zostać zwolniona.

Panna Goodwin musiała zdawać sobie z tego sprawę.

- Wobec tego na razie nic mu nie powiem. Oczywiście nie będę roznosić plotek w zespole, to nie w moim stylu. Ale obiecuję pani, że będę miała oczy i uszy otwarte.

Po wyjściu panny Goodwin Sara usiadła i zaczęła się zastanawiać, jakie ozdoby powinna jeszcze doszyć do kostiumu, lecz co chwila powracała myślami do niepomyślnych wiadomości. O panu Midwinterze wiedziała tylko tyle, że był przyjacielem Charliego Fulmara i spełniał niegodziwe polecenia jego ojca.

Jakie życie prowadził w mieście? Czy, podobnie jak lord Byland, utrzymywał kochanki? Sara była świadoma tego, że Jack jest atrakcyjny, a do tego bogaty. Jakie miała podstawy, by przypuszczać, że nie prowadził życia tak rozwiązłego jak większość mu podobnych? Jeśli ta myśl sprawiała jej przykrość, powinna pozbyć się dziecięcej naiwności.

Napomniała się w myślach, że przecież pan Midwinter nic dla niej nie znaczy. Niby dlaczego miałyby ją obchodzić, co

on robi? Zdała sobie sprawę, że poczynił już pierwsze kroki, by się z nią zaprzyjaźnić. Musi położyć temu kres. Nie ma zamiaru dać się omamić libertynowi.

To szlachetne postanowienie zostało wystawione na ciężką próbę jeszcze tego samego wieczoru. Kiedy wychodziła z teatru, zawołał ją pan Williams.

- Sara, dziecinko!

- Tak, panie Williams? - Był jedną z niewielu osób, którym Sara pozwalała mówić do siebie po imieniu.

- Czy mogłabyś wstąpić do Frostów? To po drodze.

- Oczywiście. - Sara pochyliła się, by pogłaskać Kleksa. Od pewnego czasu często myślała o panu Froście. Miał żonę i dziecko; zastanawiała się, jak da sobie radę do czasu powrotu do pracy.

Pan Williams podał jej koszyk, w którym znajdował się portfel z pieniędzmi z szybkiej zbiórki wśród członków zespołu (Sara dała szylinga), ćwiartka jagnięciny i butelka brandy.

Frostowie zajmowali mieszkanie nad sklepem kolonialnym przy Arlington Way, niedaleko teatru. Sara zapukała do drzwi. Z okna wychyliła się głowa w twarzowym, suto marszczonym domowym czepku.

- O! Panna Beale!

Chwilę później pani Frost, z dzieckiem na ręku, otworzyła drzwi. Sara przyjrzała się im, szukając śladów niedożywienia na twarzach; z ulgą stwierdziła, że zarówno matka, jak i dziecko wyglądają zdrowo. Weszła za nimi na górę.

Dick Frost siedział w fotelu z wygiętym oparciem i czytał gazetę, opierając nogę w gipsie o stołeczek. Serdecznie powitał Sarę i podziękował jej za prezenty.

- Wcale nam się tak źle nie powodzi, panno Beale - odpowiedział na pytania Sary. - Dzięki panu Midwinterowi.

- Panu Midwinterowi! - wykrzyknęła zdumiona Sara.

- Jest dla nas bardzo dobry, panno Beale - wtrąciła pani Frost, wyplątując paluszki dziecka ze swych włosów. - Co tydzień przysyła mężowi trzydzieści szylingów. Powiedział, że czuje się zobowiązany do płacenia mu za to, że przywłaszczył sobie jego rolę.

- To bardzo miłe z jego strony - powiedziała wolno Sara, myśląc, że Jack okazał się także taktowny, zadbawszy o to, by Dick Frost nie czuł się jak ktoś przyjmujący zapomogę.

- Nie każdemu przyszyłoby to do głowy - rzekł Dick. - Uważam, że to dobrze o nim świadczy. Przychodzi tu prosić mnie o rady. Mówi, że nie chce się kompromitować na oczach widzów. - Trzydzieści szylingów tygodniowo nie stanowiło pokaźnej sumy dla aktora, który często sam musiał zadbać o kostium; niewiele zostawało też na opłacenie lekarza. Ale przynajmniej dawali sobie radę.

Sara wyszła od nich dziwnie podniesiona na duchu. Jeśli nawet można było kwestionować moralność pana Midwintera, to przynajmniej miał dobre serce. Zdecydował się pomóc Frostom i nie powiedział o tym nikomu ani słowa. „Nie chce, żeby ktoś o tym wiedział”, rzekł Dick Frost.

Poczuła cień sympatii dla pana Midwintera.

Sara zupełnie zapomniała o lordzie Fulmarze. Po wizycie Jacka wtajemniczyła we wszystko pannę Valloton, która jęknęła usłyszawszy, że Sara odrzuciła propozycję lorda Fulmara. Sara próbowała wytłumaczyć jej powody swej decyzji, ale panna Valloton nie potrafiła tego zrozumieć, więc dała spokój i przestała myśleć o tej sprawie.

Miała na głowie wystarczająco dużo zmartwień z powodu Rose i Jacka Midwintera. Wolała nie myśleć o tym, że Jack może wybrać Rose na swą utrzymankę. A jeśli chodzi o nią samą, to spodziewała się, że będzie usiłował ją namówić do przyjęcia propozycji lorda Fulmara i bez wątpienia jej odmowa spotka się z jakąś nieprzyjemną reakcją. Prawdę mówiąc, nie myślała, jakie mogą być następstwa tej odmowy. Pan Dick Frost podejmie pracę po powrocie do zdrowia, a wtedy pan Midwinter odejdzie z zespołu. Sara miała nadzieję, że poczuje wtedy wielką ulgę.

Nigdy nie przyszło jej do głowy, że lord Fulmar może prześladować ją osobiście.

W którąś niedzielę przeżyła więc potężny szok. Wróciła właśnie z kościoła, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Polly podała jej wizytówkę: *Lord Fulmar*.

- O, Boże - jęknęła Sara. Przeszła do salonu i wyjrzała przez okno. Przed domem stał elegancki powóz z herbem na drzwiach, budząc ogromne zainteresowanie sąsiadów. Z tyłu powozu stał lokaj w peruce, drugi przystanął przy drzwiczkach. Lord Fulmar, bo nie mógł to być nikt inny, stał przed drzwiami frontowymi, ze zniecierpliwieniem postukując laską.

Sara zebrała myśli.

- Polly, poproś pannę Valloton, żeby natychmiast tu przyszła. A potem wprowadź lorda Fulmara.

Panna Valloton, zaczerwieniona z emocji, niemal wbiegła do salonu.

- Och, moja kochana Saro! Któż by przypuszczał, że lord Fulmar pojawi się tu osobiście. To wielka łaskawość z jego strony. Prawdziwy arystokrata zawsze potrafi się zachować.

- Nigdy nie zachował się właściwie - powiedziała cierpko

Sara. - Zapomina pani, jak potraktował pannę Webster. Za-prosiłam tu panią w charakterze świadka i przyzwoitki.

Panna Valloton z niedowierzaniem przyglądała się Sarze. Panna Beale mówiła jej wprawdzie o swojej wcześniejszej odmowie, ale trudno było w to uwierzyć. Odrzucić tak wspaniałą propozycję? To nie mieściło się w głowie. Dlaczego to zrobiła? Poza tym kobieta nie potrzebuje przecież przyzwoitki, gdy spotyka się ze swym własnym ojcem.

Była jednak ciekawa.

- Dobrze, kochana Saro - powiedziała więc i złożyła dłonie w mitenkach na kolanach.

Słuchać było, jak Polly wprowadza ciężko sapiącego lorda Fulmara na schody. Drzwi otworzyły się. Sara i panna Valloton wstały.

- Lord Fulmar, panna Sara - powiedziała Polly, dygnęła przed nie okazującym żadnej reakcji lordem Fulmarem i szybko zbiegła na dół do kuchni, żeby o wszystkim opowiedzieć Leah.

Sara wykonała rewerans.

- Lordzie Fulmar, chciałabym przedstawić pannę Valloton, mieszkankę tego domu.

Lord Fulmar przez chwilę przyglądał się pannie Valloton.

- Odeślij ją.

Zaczerwieniona panna Valloton ruszyła do drzwi. Sara dała jej znak, by wróciła.

- Albo panna Valloton zostanie, albo wyjdziemy stąd obie.

Lord Fulmar poczerwieniał na twarzy. Sara usiadła i uśmiechnęła się uspokajająco do panny Valloton, która z zakłopotaniem poszła za jej przykładem. Co mógł zrobić lord Fulmar? Gdyby wyszła stąd z panną Valloton, znalazłby się w niezręcznej sytuacji, zostałby sam w pokoju. Czekała.

Lord Fulmar musiał dojść do podobnego wniosku, ponieważ niezdrowe rumieńce ustąpiły z jego twarzy.

- Naprawdę chcesz rozmawiać na osobiste tematy przy tej kobiecie?

- Panna Valloton zna mnie od czasu, gdy byłam dzieckiem - odpowiedziała Sara. Czego nie można powiedzieć o Waszej Lordowskiej Mości, dodała w myślach. Wygrała pierwszą rundę, więc rozluźniła się nieco i spojrzała na niego. Zmienił się, chociaż poznała go bez trudu. Wiele lat temu w Hoop Hall był siwowłosym, energicznym mężczyzną. Teraz był korpulentny i czerwony na twarzy; sękatymi palcami mocno ścisnął główkę laski.

Był jej ojcem.

Przez chwilę Sara miała ochotę wybuchnąć płaczem, ponieważ rozpoznała go i była zarazem przerażona i zmartwiona. Miał podobne do niej oczy i usta, lecz we wzroku, jakim ją mierzył, nie było ani cienia sympatii. Była dlań jedynie zagubioną częścią własności i niczym więcej. Przełknęła z trudem i wzięła głęboki oddech, by uspokoić nerwy, tak jak nauczył ją pan Fenton.

- No dobrze - odezwał się lord Fulmar. - Powiem krótko, o co mi chodzi. Pojedziesz ze mną do Hoop Hall, gdzie zajmiesz należne ci miejsce mojej córki i dziedziczki posiadłości. Zostaniesz nauczona manier damy, a moja synowa, lady Fulmar, przygotuje cię do towarzyskiego debiutu wiosną przyszłego roku. Jako panna Fulmar, z moim nazwiskiem i dużym posagiem, zajmiesz należne ci miejsce w społeczeństwie, a ja znajdę dla ciebie odpowiedniego męża.

Panna Valloton złożyła dłoń. Wszystko układało się jak w bajce. Otworzyła już usta, chcąc pogratulować Sarze, kiedy Sara przemówiła.

- Nie, dziękuję. - Wiedziała, że nie ma innego wyjścia. Nie było mowy o wchodzeniu w kompromis z tym człowiekiem. Nie pozwalała na to jego charakter.

Lord Fulmar spurpurowiał z wściekłości. Z zadziwiającą siłą walnął pięścią w stół.

- Nie dopuszczam możliwości odmowy, moja panno! To nie jest prośba. To rozkaz! Pojedziesz ze mną!

- Nie - powtórzyła Sara. Mówiła cichym, nawet smutnym, ale stanowczym głosem.

- Jak śmiesz? Pytam, jak śmiesz?! Czy zdajesz sobie sprawę, do kogo mówisz?

Sara uniosła głowę.

- Wiem tylko tyle, lordzie Fulmar, że wolałabym umrzeć, niż przyjąć cokolwiek z rąk człowieka, który jest odpowiedzialny za śmierć mojej matki.

- Miałem już dość tej dziewczyny. Naprzykrzała mi się.

Sara zacisnęła dłoń w pięści tak mocno, że aż zbielały jej kostki. Panna Valloton przyłożyła rękę do ust. Nagle zaczęła się obawiać o bezpieczeństwo Sary. W tym domu mieszkały same kobiety i starzejący się pan Johnstone. Czy lord Fulmar może zmusić Sarę, by z nim pojechała?

- Jestem twoim ojcem!

- Wasza Lordowska Mość nie może tego udowodnić.

- Udowodnić! Co też, do diabła, przyszło ci do głowy? Mam list od panny Webster, w którym powiadomiła mnie o twoich narodzinach.

Sara wykrzywiła wargi. To chyba pan Midwinter namówił lorda Fulmara na to spotkanie. Zapewne myślał, że jej poprzednie odmowy były powodowane złością. Jej podejrzenia okazały się słuszne: był jedynie sługusem lorda Fulmara.

- Ja również mam list - od pana Foxtona, adwokata Jego Lordowskiej Mości, grożącego procesem, jeśli panna Webster jeszcze raz zasugeruje, że Wasza Lordowska Mość jest ojcem dziecka. - Nie było żadnych wątpliwości co do tego, który list zostanie w sądzie uznany za prawdziwy. Szach-mat, pomyślała Sara.

Lord Fulmar patrzył na nią przez chwilę, a potem, ku jej zdumieniu, zaśmiał się.

- Trzeba przyznać, że masz charakter. Nie ma w tobie nic z Marii Beale. Płynie w tobie krew Fulmarów.

Sara zacisnęła dłonie aż do bólu, zmuszając się do milczenia.

- No, dziewczyno, po co te kłótnie? Ja zyskam dziedzica posiadłości, a ty majątek i męża. To chyba uczciwa propozycja, he?

Sara pokręciła głową. Nagle ogarnął ją smutek, cała złość gdzieś wyparowała. Lord Fulmar dostanie wszystko, czego chce, ale to ona za to zapłaci. Straci swój dom i pracę, przyjaciół, wszystkie drobiazgi, które ją cieszyły i miały dla niej znaczenie. Nie miała złudzeń. Będzie tyranizowana i straszana, by stać się taką, jaką chce ją widzieć lord Fulmar. Nie będzie żadnej możliwości ucieczki.

- Czego ty chcesz, dziewczyno? Chcesz całe życie być właścicielką kamienicy czynszowej? Żyć na krawędzi ubóstwa, bez męża, z wszystkimi sprawami na swojej głowie?

- Milordzie, postawmy sprawę jasno - powiedziała poważnie Sara. Czuła wielkie zmęczenie, jakby wtaczała na górę wielki kamień. - Według prawa nie mam ojca. Nie ma pan nade mną żadnej władzy. Dlaczego nie chce pan adoptować któregoś z dalekich kuzynów Fulmarów... na pewno są jacyś w rodzinie?

Myszę, że może pan tam *znaleźć* o wiele lepszego dziedzica niż ja.

Lord Fulmar wstał.

- Dziesięć tysięcy funtów rocznie, proszę o tym pomyśleć. Okazałem już wystarczająco dużo cierpliwości. Uważaj, bo nie zobaczysz z tego ani pensa.

Sara także wstała i otworzyła drzwi.

- Żegnam, milordzie.

Usłyszały, jak zstępuje ze schodów i opryskliwie zwraca się do Polly. Drzwi frontowe zamknęły się za nim; panna Valloton i Sara patrzyły przez okno, jak lokaje stają na baczność. Jego Lordowska Mość wgramolił się do środka i powóz ruszył w stronę St James's.

- Dziesięć tysięcy rocznie. A mojej matce nie dał ani pensa. To potwór!

Panna Valloton poczuła, że natychmiast musi usiąść; kręciło jej się w głowie. W duchu zawsze wyobrażała sobie lorda Fulmara jako odpowiednika dobrej wróżki dla Sary. Teraz wydał jej się bestią.

- Muszę napić się herbaty - powiedziała w końcu drżącym głosem.

Tej nocy Sara nie mogła zasnąć. Cały czas odtwarzała w myślach sceny z wizyty lorda Fulmara. W końcu wstała, zapaliła świecę, włożyła szlafrok i zeszła do suterenu. W kuchennym piecu wygaszono ogień na noc, ale był jeszcze ciepły i mogła podgrzać sobie mleko z miodem. Był to napój, który ciocia Hetty dawała jej, gdy Sara była małą

dziewczynką i miała koszmary senne; bardzo ją wtedy uspokajał.

Usiadła w fotelu, ze stopami wspartymi na podnóżku i starała się oswoić z wydarzeniami minionego dnia. Wizyta lorda Fulmara wytrąciła ją z równowagi bardziej, niż chciała się przyznać. Przez te wszystkie lata wiele rozmyślała o swojej matce. Jako dziecko lubiła wizyty w kościele Świętego Jakuba w Clerkenwell, gdzie znalazła ją panna Webster. Widziała miejsce, gdzie upadła matka, miejsce, gdzie ciocia Hetty znalazła wiklinowy koszyk. Historia jej przybycia na Myddleton Square z czasem stała się dla niej niemal legendą.

Jednakże wiedza na temat ojca była czymś zupełnie innym. Ciocia Hetty nigdy nie poruszała tematu wizyty w Hoop Hall. To było zakazane terytorium. Sara mogła jedynie odwoływać się do własnych wspomnień, które przerażały ją i pozbawiały poczucia bezpieczeństwa. Wyobrażała sobie wtedy, że siedzący za biurkiem lord Fulmar to olbrzymi potwór, którego gniew wypełnia cały pokój, a małe bezbronne istotki, takie jak ten biedny motyl, są miażdżone pod jego stopami.

Przeżyła szok widząc go jako realnie istniejącą osobę, w jej własnym domu. Jeszcze gorsza była konieczność pogodzenia się z faktem, że są spokrewnieni. Oczywiście wiele ich różniło; twarz i sylwetka lorda Fulmara dowodnie świadczyły o latach folgowania sobie ponad miarę, ale miał podobne oczy, brwi, a nawet uśmiech. Z jednej strony miała ochotę go odrzucić, z drugiej chciało jej się płakać.

Dał jej życie, ale nie był jej ojcem. Nie troszczył się o nią w dzieciństwie, nie pieścił, nie poświęcał jej swego czasu, jak choćby pan Copperstone. Nawet teraz nie interesował się nią

dla niej samej, chciał tylko posłużyć się nią do zapewnienia ciągłości rodu.

Co powinna teraz zrobić? Zdała sobie sprawę, że towarzyszące jej dotąd poczucie bezpieczeństwa w domu przy Myddleton Square należy już do przeszłości. W dom jej dzieciństwa wtargnął lord Fulmar i w każdej chwili mógł to zrobić znowu. Czy w końcu pogodził się z jej odmową? Gdzie będzie mogła się schować, jeśli lord Fulmar za wszelką cenę będzie chciał sprowadzić ją do Hoop Hall?

Nie było odpowiedzi na te pytania.

Następnego dnia błada z niewyspania Sara poszła do pracy. Kiedy podeszła do drzwi prowadzących na scenę, zobaczyła, że Jack rozmawia z Pieprzem Williamsem w jego pokoiku. Natychmiast zauważył sine podkówki pod jej oczami.

- Boże, panno Beale, co się stało?!

Sara drgnęła.

- Po co pan udaje, że nic o tym nie wie? - zapytała ze złością. - Wczoraj lord Fulmar złożył mi wizytę. Chyba miałam prawo oczekiwać od pana, że powiadomi mnie o tym, co mi grozi?

- A to bydlę! - wykrzyknął Jack. - Nie mam z tym nic wspólnego. Proszę mi o tym koniecznie opowiedzieć. Pójdźmy do którejś łoży, będziemy tam mogli spokojnie porozmawiać. - Odwrócił się w stronę pana Williamsa, który w osłupieniu patrzył to na Sarę, to na Jacka, jakby niespodziewana myśl przyszła mu do głowy. - Proszę powiedzieć panie Bailey, że panna Beale przyjdzie trochę później - poprosił tonem nie znoszącym sprzeciwu.

O tej porze łóżka były puste. Jack otworzył drzwi i zaprosił Sarę do środka. Z okien w korytarzu dobiegało przyćmione światło. Sara zauważyła, że Jack zostawił uchylone drzwi - czyżby troszczył się o jej reputację? Mimo wszystko dzięki temu czuła się nieco bezpieczniej. Usiedli w cieniu z tyłu łóżka.

- A więc Fulmar tu przyjechał - zaczął Jack bez żadnych wstępów. - Tego się właśnie obawiałem.

- Wczoraj po południu. - Głos Sary drżał.

Jack chwycił jej dłonie i uściśnął pokrzepiającym gestem.

- Proszę mi wszystko opowiedzieć.

Spełniła jego prośbę.

- Jeszcze nigdy w życiu tak strasznie się nie bałam - wyszeptała. - Nie wiem, skąd znalazłam w sobie dość siły, żeby mu się przeciwstawić. Całą noc rozmyślałam, co się teraz może stać. On jest bardzo silnym człowiekiem, panie Midwinter. Co może mi zrobić?

- Trudno powiedzieć. - Jack w zamyśleniu popatrzył na widownię. - Legalnie nie może zrobić nic, ale obawiam się...

- Czy jest groźny? - Sara zadrżała.

- Na pewno ma częste napady wściekłości. Bił Arthura i Charliego. Ale to nie jest typ mordercy. Zastanawiałem się, czy nie powinienem powiedzieć mu, że pani umarła...

Sara popatrzyła na niego, zaskoczona.

- Wtedy by pani nie nachodził - rzekł Jack. Popatrzył na rękę Sary, odwrócił jej dłonie. Pomyślał, że ma silne, zręczne ręce. Krótka obcinała paznokcie, prawdopodobnie dlatego, by nie przeszkadzały jej w pracy, i miała stwardniałe koniuszki palców. Delikatnie złożył jej ręce na kolanach. - Panno Beale, wiem, że wtedy u pani źle się zachowałem. Bardzo panią przepraszam. Bezsensownie założyłem, że pani przyjmie jego

propozycję, a kiedy tak się nie stało, myślałem, że prawdopodobnie zmieni pani zdanie.

- To prawda, że byłam na pana zła - przyznała Sara. - Ale musi pan przyznać, że trudno mi było wyciągnąć inne wnioski.

- Gdybym miał więcej rozumu, spróbowałbym z panią o wszystkim porozmawiać - odpowiedział Jack. - No, ale co się stało, to się nie odstanie. Zjawiłem się w Sadler's Wells, żeby panią przebłagać.

Sara popatrzyła na niego z niepokojem. A co z Rose, pomyślała.

- Chciałem zapewnić pani bezpieczeństwo i odprowadzić wieczorem do domu. Niestety, wymykała mi się pani, a nasz przyjaciel, pan Williams, na pewno podejrzewa mnie o najgorsze.

- Myślałam, że będzie mnie pan nakłaniać do przyjęcia warunków lorda Fulmara.

Jack pokręcił głową.

- Nigdy go nie lubiłem. Ma wiele spraw na sumieniu. Obwiniam go za to, że biedny Charlie się stoczył. - Z pewnym rozbawieniem zauważył, że jego napomknięcie o podejrzeniach Pieprza Wilłiamsa przeszło nie zauważone. Jak na tak atrakcyjną kobietę, była zadziwiająco skromna.

- Co powinnam teraz zrobić? - zapytała Sara.

- Trudno powiedzieć - odparł Jack. - Przede wszystkim proszę pozwolić, żebym odprowadził panią do domu. Nie przypuszczam, żeby Fulmar chciał panią uprowadzić, ale nie możemy być tego pewni.

- Myślę, że poproszę o poradę pana Wooda, prawnika panny Webster - powiedziała Sara po chwili zastanowienia. - Może on coś wymyśli. Dziękuję panu za propozycję odprowadzania mnie do domu. Przyjmuję ją z wdzięcznością. Myślę,

że lord Fulmar wkrótce przestanie mnie nękać, więc to nie potrwa długo.

Najwyraźniej panna Beale nie uważa mojej eskorty za wielkie wyróżnienie, pomyślał Jack, trochę tym rozbawiony, ale i rozdrażniony. Nie chciała też przedłużać rozmowy, gdyż wstała i z niepokojem stwierdziła, że panna Bailey na pewno się zamartwia, co się z nią stało. Podziękowała Jackowi za propozycję pomocy i wyszła z łoży.

Jack poszedł do pracowni stolarskiej, do pana Harveya. Niedawno powstał tam problem, któremu Jack poświęcił wiele uwagi. Zazwyczaj w przedstawieniach *Snu nocy letniej* Głodniak, krawiec, miał prawdziwego psa. Pan Phelps wpadł jednak na inny pomysł. Poprosił o zrobienie drewnianego pieska na kółkach. I to właśnie te kółka stanowiły problem. Pies (łudzaco podobny do Kleksa), którego zrobił pan Harvey, ciągle się przewracał. W teatrze żartowano, że trzeba będzie wprowadzić na scenę prawdziwego Kleksa, bo i tak nikt nie zauważy różnicy.

Pan Williams nie podzielał ogólnego rozbawienia, a chudy, stosownie do swego nazwiska, pan Meagreson, który miał grać Głodniaka, odmówił wystąpienia z przewracającym się drewnianym psem i z Kleksem. Jack zaproponował swą pomoc. Przemysłał problem w czasie weekendu i doszedł do wniosku, że środek ciężkości drewnianego psa znajduje się za wysoko i należy skrócić nogi. Zastanawiał się także nad zrobieniem ogona ze sprężynki z drewnianą kulką na końcu. To samo rozwiązanie można było też zastosować przy łbie. Zaprojektowany przez niego pies nie przypominał przedstawiciela żadnej ze znanych ras, ale bez wątplenia był psem. Jack sądził, że pan Phelps nie powinien mieć żadnych zastrzeżeń co do

zwierzęcia- w końcu pasowało ono do koncepcji sztuki. W lesie ateńskim, gdzie wszystko było inne, niż się wydawało, Głodniak mógł mieć dziwnego, ale zdecydowanie „psiego” psa.

Pan Harvey był zajęty przygotowaniem rekwizytów do *Hamleta* i zgodził się, by Jack zajął się sprawą psa. Wprawdzie nie wierzył, by Jackowi udało się go zrobić, ale *Hamleta* wystawiano tego wieczoru, a do premiery *Snu* pozostało jeszcze kilka tygodni, więc sprawa nie była nagląca.

Jack od dzieciństwa interesował się stolarką i potrafił całkiem zręcznie majsterkować. Teraz przekonał się, że nic nie stracił ze swych dawnych umiejętności. W rezultacie powstał pies może nie dorównujący wyglądem pierwowzorowi wykonanemu przez pana Harveya, ale miał niewątpliwy urok; machał ogonkiem i kiwał łebkiem, a co najważniejsze, trzymał się prosto, nawet kiedy podskakiwał na nierównościach sceny.

Pan Harvey był zdumiony, lecz musiał niechętnie przyznać, że jest zadowolony, a pan Meagreson nie krył zachwyty.

We wtorek panna Bailey uznała, że nadszedł czas na przymiarkę kostiumów członków orszaku Tezeusza. Jakiś czas temu wzięły miarę, a teraz zszyte fastrygą kostiumy były już gotowe do przymiarki. Panna Bailey udała się do dużej szwalni z panem Thorpe'em, niosącym swój kostium na ramieniu.

Sara wybrała dla Jacka pawiozielony kostium, który składał się z greckiej tuniki przybranej ciemnozłotymi liśćmi akantu, złotego pasa i dużej broszy spinającej szatę na ramieniu. Jack miał mieć gołe nogi, zielono-złote nagolenniki i złote sandały.

Kiedy przyszedł Jack, Sara wysłała go do przebieralni, a sama zajęła się uprząaniem skrawków materiału.

- No, panno Beale, co pani o tym sądzi? - Jack otworzył drzwi i wszedł do szwalni.

Sara uśmiechnęła się z zadowoleniem; omal nie zaklaskała. Wyglądał wspaniale. Miał orzechowe oczy, podobnie jak Rose, ale było w nich więcej odcienia zieleni, co doskonale podkreślała zielono-złota tunika.

Sara wpatrywała się w niego, świadoma, że nagle powrócił Jack z jej dziecięcych marzeń. Jego gołe ramiona i nogi były wspaniale umięśnione, a kiedy szedł w stronę lustra, wyglądał, jakby przed chwilą wyłonił się z kart jej szkicownika.

Oparł rękę na biodrze i przyjrzał się sobie w lustrze. Uśmiechnął się do odbicia Sary i wyciągnął do niej rękę.

- Proszę tu podejść - powiedział, przyciągając ją do siebie. - Co pani będzie miała na sobie, panno Beale? Na końcu sztuki będziemy razem; mam nadzieję, że będziemy do siebie pasować.

Sara nie odrywała wzroku od jego odbicia w lustrze.

- Ja? Och, będę miała czerwono-złotą suknię. Oczywiście z dużą przewagą czerwieni, żeby nie przyćmiewać Hipolity. Też będę miała liście akantu, więc na pewno będziemy dobrze się prezentować. - Zdawała się nie zauważać, że trzyma ją za rękę. - Wiedziałam, że będzie pan w tym dobrze wyglądał - dodała z poczuciem artystycznej satysfakcji.

Jack roześmiał się.

- To pani to zaprojektowała?

Przytaknęła.

- Zdolna dziewczynka. - Pocałował ją w czubek głowy.

Sara zaczerwieniła się i spróbowała się cofnąć, ale Jack wciąż trzymał ją za rękę.

- Proszę się nie odsuwać. - Delikatnie przyciągnął ją do siebie. - Chyba mężczyźnie wolno wyrazić uznanie?

Sara przełknęła z trudem.

- Już pan to zrobił.

- Nie, moja droga panno Beale, jeszcze nie. - Ujął ją za podbródek i pocałował w usta.

Zapanowała cisza; Jack powoli puścił ją i cofnął się, a potem, jakby zakłopotany, przeczesał włosy dłońmi.

Sara odwróciła się, by nie mógł widzieć jej twarzy.

- Jeśli uważa pan, że kostium pasuje, może pan go zdjąć - powiedziała, starając się przybrać obojętny ton. Wciąż czuła delikatne mrowienie warg i gorący rumieniec na twarzy i szyi.

Jack podszedł do niej i odwrócił do siebie.

- Saro - powiedział miękko. - Czy wprowadziłem cię w zakłopotanie? - Zauważył jej rumieniec.

- Nie jestem... nigdy... - wyjąkała Sara.

- Chcesz powiedzieć, że jeszcze żaden mężczyzna nie skradł ci całusa? - Jack uśmiechał się.

Sara pokiwała głową.

- Ależ z nich musiały być niezguły!

Sara przyłożyła dłoń do rozpalonych policzków.

- Nie. Po prostu nie jestem ładna i jestem za duża, więc oczywiście...

- Mój Boże... - Zorientował się, że Sara mówi poważnie. - Czyżbyś nigdy nie widziała swojej twarzy? - Obrócił ją tak, że stanęła przodem do lustra. - Saro, jesteś piękna.

- Nie śmiej się ze mnie. - Jej głos drżał.

- Nie mam najmniejszego zamiaru. Jesteś wysoka, zgrabna i masz najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałem. Czy to wystarczy?

- D-dziękuję.

Usłyszeli skrzypienie schodów; to panna Bailey, lekko dysząc z wysiłku, wchodziła na górę. Jack wyzwolił Sarę z objęć i odsunął się. Panna Bailey weszła, popatrzyła na zaczerwienione policzki Sary i wyciągnęła właściwe wnioski.

- Bardzo dobrze, panie Midwinter - powiedziała, chociaż prawdę mówiąc, nie bardzo było wiadomo, co ma na myśli.

- Właśnie wyrażałem uznanie dla talentów panny Beale - oznajmił Jack.

- Hmm - mruknęła panna Bailey.



Lord Fulmar wrócił z Londynu pogrążony w zadumie. Jebb, kamerdyner Jego Lordowskiej Mości, dowiedziawszy się od stangreta o wydarzeniach, jakie zaszły na Myddleton Square, był przygotowany na wybuch gniewu swego pana. Aż zadrżał, kiedy rozległ się wzywający go dzwonek. Jednakże lord Fulmar okazał się całkiem dobrze usposobiony.

- O, jesteś, Jebb. Przygotuj moje rzeczy na wieczór. Nie mogę kazać pani Fulmar czekać.

- Tak, milordzie. - W umyśle Jebba kłębiły się najróżniejsze przypuszczenia. Czyżby panna Beale zgodziła się jednak przyjechać? Czy stąd brał się dobry nastrój lorda Fulmara?

Lord Fulmar roześmiał się, przyłapawszy jego spojrzenie.

- Nie - odpowiedział na nieme pytanie Jebba. - Odprawiła mnie z kwitkiem. Ale, do licha, jeszcze bardziej mi się przez to podoba.

- Panna Beale jest upartą młodą damą? - domyślił się Jebb.

- Przypomina mi panicza Arthura - powiedział lord Fulmar i westchnął. Tęsknił za Arthurem. Za życia młodszy syn często

obrywał cięgi za nieposłuszeństwo, mimo iż był ulubieńcem ojca. Nieposkromiony duch Arthura podobał się lordowi Fulmarowi, ceniącemu odwagę u tych, którzy potrafili mu się sprzeciwić.

- Pasowałyby tutaj - stwierdził lord Fulmar. - Ma swój rozum. Poradziłyby sobie z prowadzeniem posiadłości.

- A jeśli nie przyjedzie? - Jebb miał nadzieję, że lordowi Fulmarowi nie zaświta w głowie myśl, żeby ją porwać. Często zmuszał ludzi, by działali zgodnie z jego wolą, ale porwanie było czymś znacznie poważniejszym. Jebb nie miał ochoty stawać przez sądem, oskarżony o pomoc i współudział w przestępstwie.

- Panna Beale nie trzyma w ręku wszystkich kart - powiedział lord Fulmar. - Jeśli nie zechce przybyć dobrowolnie, trzeba ją będzie sprowadzić do Hoop Hall.

- Tak, milordzie - przyznał niepewnie Jebb.

- Nie mam zamiaru porwać tej dziewczyny - uspokoił go lord Fulmar. - Nie musisz się obawiać. - Pomyślał przy tym, że Jebb miewa czasami niedorzeczne skrupuły. Lord Fulmar zwykle zmuszał innych, by robili to, co im kazał, lecz jeśli okoliczności tego wymagały, potrafił też doskonale sam sobie radzić. Ostatnio wprawdzie rzadko bywał w Londynie, ale wciąż miał tam dość kontaktów, żeby spowodować usunięcie panny Beale z domu bez rozgłosu i zbędnych pytań. Dla człowieka z odpowiednią ilością pieniędzy nie było rzeczy niemożliwych.

Musiał dowiedzieć się czegoś więcej o niej i o jej zwyczajach.

Jebb wciąż sprawiał wrażenie zmartwionego.

- Jest bardzo oddana pamięci swojej matki - powiedział lord Fulmar z zadumą. - Może nadszedł czas, by poznała kilku

swoich krewnych. Czy jej się spodobają, to inna sprawa, ale może pod ich wpływem będzie skłonna tu przyjechać. Jak sądzisz, Jebb?

- Z pewnością, milordzie - odparł kamerdyner.

- Pomówię z Foxtone.

W garderobach panowało szaleńcze zamieszanie. Od otwarcia sezonu do bożonarodzeniowej premiery *Tomcia Pa-luszka* mieli wystawić pięć różnych sztuk, każdą z własnymi kostiumami i rozbudowaną scenografią, nie mówiąc już o farsach, odgrywanych niemal co wieczór.

Jack miał zadebiutować na scenie jako Bravo w sztuce Colleya Cibbera *Miłość to potęga*, dwudziestego drugiego września, kiedy to wespół z panami Brownem, Scholeyem i Handsem, uzbrojeni po zęby, mieli porwać głównego bohatera i jego wuja lub zagrozić uduszeniem głównej bohaterki. Był zachwycony swoją rolą. Panna Warde po obejrzeniu próby powiedziała do Sary z przekąsem, że panna Cooper jako główna bohaterka, Angelina, sprawiała wrażenie osoby, która chętnie da się udusić panu Midwinterowi i nawet cofała się nieznacznie, by trafić prosto w jego ramiona.

Kiedy nie brał udziału w próbach do *Miłość to potęga*, Jack zakradał się na nadszcenie i pomagał przy specjalnych efektach świetlnych w finale *Snu nocy letniej*. Piąty akt rozgrywał się w pałacowej sali z kolumnami i zasuniętą kurtyną w tle. Żółtkowane kolumny wykonane były częściowo z woskowanego płótna, a wewnątrz znajdowały się gazowe palniki. Scenę oświetlał grecki kandelabr zwisający z nadszcenia. Po zakończeniu krotoczwili rzemieślników, kiedy Tezeusz i jego

orszak opuszczali scenę, do akcji wkraczała obsługa wygaszając światła i równocześnie rozsuwając tylną kurtynę. Podkręcano palniki w kolumnach, które nagle wyglądały tak, jakby były oświetlone księżycowym blaskiem.

Rozsunięta kurtyna ukazywała tarasowy ogród górujący nad Atenami. Fenton wyjaśnił, że orszak elfów z Oberonem i Tytanią będzie tańcząc schodził po schodach, wszyscy z zapalonymi pochodniami w dłoniach, zmierzając przez taras, by pobłogosławić dom nowożeńców.

Fenton zapewniał, że efekt będzie doprawdy magiczny.

Jack nie ukrywał, że jest pod wrażeniem.

- Iluzja, panie Midwinter - mówił Fenton. - Ona nigdy nie zawodzi. Ludzie widzą to, co spodziewają się zobaczyć. Oko można oszukać.

- Zawsze chciał pan pracować w teatrze? - spytał Jack. - Czy to nie jest ograniczenie dla kogoś z pańskimi talentami?

- Ja tego tak nie odbieram - odparł Fenton. W zamyśleniu potarł brodę, przypatrując się rozmówcy z zaciekawieniem. - Wszyscy jesteśmy obdarzeni jakimiś talentami, panie Midwinter - powiedział w końcu. - I według mnie po to tu jesteśmy, żeby się nimi wykazać. Kimże jestem, żeby oceniać ich wartość? I z kim miałbym się porównywać? Z człowiekiem interesu? Politykiem? Człowiek jest człowiekiem, gdziekolwiek się znajduje i jakkolwiek wykonuje zawód.

- Ma pan rację, oczywiście - przyznał Jack. - Jest pan także filozofem, panie Fenton.

- Przede wszystkim pracuję głową - rzekł Fenton z uśmiechem. - Mam czas na myślenie.

Podczas gdy Jack nie narzekał na brak zajęć i dobrze się bawił, Rose była coraz bardziej znudzona.

Nie chciała skarżyć się wujowi Alfredowi, gdyż jego uprzejmemu wsparciu zawdzięczała tę posadę, ani ciotce Bessy, przekonanej, że praca w teatrze musi być dla Rose wielką gratką, ale przecież w istocie okazała się niewdzięczną harówką.

Od chwili rozpoczęcia prób do *Snu*, Rose musiała być w teatrze codziennie od dziesiątej do drugiej, a często także później, na dodatkowych próbach tanecznych. Na domiar złego kazano jej opiekować się maluchami, z których kilkoro miało zalewie siedem lub osiem lat. Rose była jednym ze starszych elfów. Wiedziała, że pan Phelps sądzi, iż ma tylko piętnaście lat, bo inaczej pewnie nie zostałaby zatrudniona.

Z niechęcią odnosiła się do swej dodatkowej roli niańki.

Na scenie musiała usługiwać pannie Wyatt, która grała Tytanie. Rose nie lubiła jej za zarozumiałość; panna Wyatt ciągle wymagała, by ktoś, najczęściej Rose, przyniósł jej szklankę wody lub szal z garderoby. Może i była dobrą aktorką, ale Rose uważała się za dziesięć razy ładniejszą i złościło ją, że jest traktowana jak pokojówka.

Co gorsza, dowiedziała się właśnie o niebieskiej sieci pana Fentona, która, jak okazało jej radośnie panna Goodwin, miała zwiisać z przodu sceny przez cały drugi, trzeci i czwarty akt. Te nowe gazowe lampy dawały żółtawe światło. Niebieski i żółty to zieleń, więc wszyscy będą skapani w zielonym świetle.

- Pani włosy są takie jasne, panno Frampton, będą wyglądały znacznie bardziej zielono niż moje. Pani skóra też.

- Zielono! - powtórzyła Rose ze zgrozą.

- Prawda, panie Fenton, że włosy panny Frampton będą wydawały się zielone? - spytała niewinnie panna Goodwin.

Fenton przyjrzał się połyskującym platynowo włosom Rose.

- Owszem. O to właśnie chodzi. Będzie pani wyglądała cudownie niematerialnie, panno Frampton.

Rose ze złością wzruszyła ramionami i przez resztę próby nie odezwała się do panny Goodwin ani słowem. Jakikolwiek nadzieje na bukiety kwiatów od bogatych wielbicieli okazywały się płonne. Kto zwróci uwagę na zielonowłosego i zielonoskórego elfa?

A pan Midwinter był coraz bardziej nieosiągalny. Gdzież on się mógł podziewać całymi dniami? Wiedziała, że ma próby tak samo jak ona i czasami widywała go w saloniku, ale nigdy się do niej nie zbliżał i nie nawiązywał rozmowy. Miała wprawdzie kilka propozycji odprowadzenia do domu, ale żadna nie pochodziła od pana Midwintera.

Odzyskawszy zdrowie, Rose doszła do wniosku, że brakuje jej rozrywek z poprzedniego życia, zamawiania u szwaczki nowych strojów, prezentów przynoszonych przez lorda Bylanda, wesołych wieczorów w Cremorne czy w teatrze. Lord Byland może nie był zbyt podniecającym kochankiem, ale niektórzy z jego przyjaciół umieli ją zabawić. Nie oznaczało to niewierności wobec Bylanda, a Rose lubiła rozniecać w mężczyznach pożądanie, uwodząc ich pocałunkami.

Teraz prowadziła życie cnotliwe... i nieznośnie nudne. Największą atrakcją całego tygodnia były niedzielne wizyty przyjaciół wuja Alfreda i ciotki Bessy, i wieczory spędzane na grach salonowych.

Zaprosili kiedyś nawet, specjalnie dla niej, pana Browna z teatru. Jakby mogła się zainteresować kimś takim jak pan Brown, który był wysoki i kościsty i odnosiło się wrażenie, że na brodzie wykwitają mu coraz to nowe kolonie pryszczycy. Jednakże pan Brown również należał do orszaku Tezeusza i to

właśnie od niego Rose usłyszała wiadomość, która wydawała się wręcz niewiarygodna.

- Wydaje mi się, że ma pani wielu wielbicieli, panno Frampton - stwierdził ponuro pan Brown, kiedy siedzieli przy kolacji. Zdołał wymusić na niej pocałunek jako fant w jednej z gier, ale nawet on sam musiał przyznać, że było to niebывałe osiągnięcie.

- Może i mam - odparła niedbale Rose.

- Większość kobiet podziwia pana Midwintera- ciągnął Brown, dłubiąc widelcem w szynce- Jest przystojny, nie przeczę, ale musi mieć prawie czterdziestkę. - Brown czuł, że obecność Midwintera pozbawia szans młodszych mężczyzn. - Wiem, że pani Warde ma na niego oko. Ale on odprowadza do domu pannę Beale. Co wieczór. Wiem, że panu Thorpe wcale się to nie podoba.

Jack odprowadza Sarę do domu co wieczór? To niemożliwe! Sarę! W szkole nadano jej przezwisko „Tyka” z racji wysokiego wzrostu.

Rose myślała o tej rozmowie przez kilka dni. Czy to naprawdę było możliwe? W końcu, zamiast wymknąć się z teatru jak najszybciej, zasiadła w saloniku obszywając swój kostium, co zresztą już dawno powinna była zrobić.

Jack zniknął w stolarni z panem Harveyem i dopiero tuż przed szóstą usłyszała, jak schodzi na dół. Na scenie szykowano już dekoracje do wieczornego przedstawienia. Rose zostawiła drzwi szeroko otwarte, więc słyszała wyraźnie, jak rozmawiał z Sarą.

- Jak leci, panno Beale?

- Mamy zabawną sytuację z ogonem Lwa - odezwała się Sara. Rolę Lwa w krotchwili rzemieślników grał stolarz Spój.

Kostium wymyślony przez pannę Bailey z założenia miał wyglądać siermiężnie -jakby zrobiła go własnymi rękami pani Spój. Wykonany był szydełkiem z żółtego sznurka, ze sztywną pomarańczową falbaną w miejscu grzywy. Jego największą ozdobę stanowił ogon.

- Pan Phelps pragnie, żeby ogon żył własnym życiem - mówiła Sara. - To stanowi pewien problem.

- Sprężyna? - zasugerował Jack, który wymyślił powszechnie podziwiany ogon dla psa Głodniaka.

Sara potrząnęła głową.

- Lwi ogon jest za długi, ma prawie sześć stóp. Nie, pan Cawdery twierdzi, że trzeba będzie nim operować spoza sceny.

- Jak?

- Nie wiem. Ale on jest przekonany, że jakoś zdoła to zrobić. Zbliżyli się do wyjścia ze sceny.

- Dobranoc, Saro, dobranoc, panie Midwinter - powiedziała Pieprz Williams. - Idźcie ostrożnie.

Zaraz potem Rose ruszyła ich śladem.

- Późno pani dziś wychodzi, panno Frampton - zauważył Williams z pewnym zdziwieniem. Uważał ją za leniwą trzpiotkę.

- Miałam trochę szycia - wyjaśniła. - Zdawało mi się, że słyszałam pana Midwintera i pannę Beale.

- To możliwe.

- Zwykle wychodzą razem? - Odsunęła nogą Kleksa, który dawał znaki, że chce na nią wskoczyć.

- To ich sprawa- zbył ją Williams, przywołując do siebie psa i głaszcząc pocieszająco. Panna Frampton nie była pierwszą kobietą zainteresowaną tym, kogo to pan Midwinter odprowadza

co wieczór do domu. W tym momencie wbiegł zdyszany pan Brown.

- Panno Frampton! Co za szczęśliwy traf. Proszę, niech pani pozwoli odprowadzić się do domu.

Rose wyraziła zgodę, uśmiechając się kwaśno. Wyminęła bez słowa Pieprza Williamsa, uznając, że jest gburowatym staruchem. Kiedy skręcili w Myddleton Passage, dostrzegła Jacka i Sarę. Nadal prowadzili ożywioną rozmowę, ale Rose z zadowoleniem stwierdziła, że Sara nie opiera się na jego ramieniu.

Rose jednym uchem słuchała Browna, nie spuszczać z oczu idącej przed nimi pary. Weszli na plac, by minąwszy kościół pójść w stronę Claremont Square; Rose zerknęła ukradkiem w prawo i dostrzegła Jacka i Sarę stojących na schodach jej domu. W tym momencie Polly otworzyła drzwi i Sara weszła do środka. Jack skłonił się, poczekał, aż drzwi się zamkną i odszedł.

Rose miała głowę pełną domysłów. Tam na schodach była okazja, by przynajmniej skraść szybki pocałunek, ale pan Midwinter nawet nie wziął Sary za rękę. Po cóż więc w ogóle zwracał sobie nią głowę?

Może było mu jej żal? Pewnie tak. Biedaczka, niewiele miała przyjemności. Żaden mężczyzna nie odwiedzał Sary na Myddleton Square. I to było doprawdy smutne.

Niemniej jednak sytuacja wcale się Rose nie podobała. A gdyby tak wyjawiała Sarze, jaką reputacją cieszy się Jack? Z pewnością nie pozwoliłaby mu więcej odprowadzać się do domu. A już Rose by dopilnowała, żeby znalazł miłą towarzyszkę spacerów.

Następnego ranka Sara ze zdumieniem ujrzała Rose wchodzącą do pracowni krawieckiej pełnej ludzi, jako że zatrudnili kilka dodatkowych szwaczek, żeby uporać się z robotą. Sara zajęta była sporządzaniem chwasta do lwiego ogona. Na widok Rose panna Bailey uniosła brwi. Nie mogła uwierzyć, że Rose dobrowolnie stawiała się do pomocy.

- Słucham, panno Frampton? - Jasnoniebieskie oczy panny Bailey spojrzały pytająco znad okularów.

- Mogłabym chwilę porozmawiać z panną Beale? - Rose posłała Sarze błagalne spojrzenie.

Sara przerwała pracę.

- Oczywiście, panno Frampton. Przejdźmy do sąsiedniego pomieszczenia.

Weszły do niewielkiej garderoby. Sara wskazała Rose krzesło.

Rose przez chwilę bawiła się guzikiem u mankietu, nim wreszcie się odezwała:

- Wiem, że pan Midwinter odprowadza cię do domu.

- Owszem. - Sara nagle przypomniała sobie zapewnienie panny Goodwin, że Rose złożyła mu propozycję. Czyżby teraz miała zamiar powiadomić ją, że są ze sobą związani? Ta myśl wywołała w Sarze niespodziewanie gwałtowny sprzeciw.

- Myślę, że powinnaś się o nim czegoś dowiedzieć, Saro - zaczęła Rose poważnie. - On naprawdę nie jest odpowiednim towarzyszem dla ciebie.

Sara przyglądała się jej z osłupieniem. Kto jak kto, ale Rose miałaby ją pouczać o tym, co jest właściwe?

- Co, u licha, masz na myśli?

- Daj spokój, Saro - zniecierpliwiła się Rose. - On ma kochanki. Całe mnóstwo. Wynajmuje dla nich mieszkania,

finansuje służbę, podróże do Paryża, powozy, niczego im nie odmawia. Są też mężatki. Damy z towarzystwa. Ma u kobiet fatalną reputację. Wszyscy wiedzą, że może mieć każdą kobietę, której zapragnie.

- Nie składał mi żadnych propozycji- oświadczyła Sara. Czuła się okropnie, była bliska mdłości. Pan Midwinter miałby być aż takim libertynem? Czy to możliwe?

- Och, nawet przez moment nie sądziłam, że chce cię uwieść - zapewniła Rose. - Lubi dziewczęta dziewiętnasto- lub dwudziestoletnie. Starsze w ogóle go nie interesują.

- Tylko takie jak ty? - podsunęła Sara. Panna Goodwin miała rację. O to chodziło Rose.

- Wyciągasz pochopne wnioski! - obruszyła się Rose. Do-myślność Sary zbiła ją nieco z tropu.

- Jestem ciekawa, dlaczego mi o tym mówisz.

Oczy Rose zaszkliły się łzami.

- Bo się o ciebie martwię.

Łzy Rose zawsze wzbudzały w Sarze poczucie winy. Tym razem jednak nic nie powiedziała. Bo i cóż mogła powiedzieć? Pan Midwinter odprowadzał ją do domu z troski o jej bezpieczeństwo, ale nie miała zamiaru zwierzać się Rose na temat lorda Fulmara. W ciągu paru dni wiedziałaby o wszystkim cały teatr.

- Dziękuję, że mnie ostrzegłaś - powiedziała w końcu. - Nie mam zamiaru dać się uwieść panu Midwinterowi. Mam nadzieję, że to cię uspokoi.

- Już kilka osób zauważyło, że odprowadza cię do domu - powiedziała Rose z wyrzutem. Rozmowa przybierała obrót niezgodny z jej oczekiwaniami. Cieszyła się na myśl o przestachu Sary i nie bardzo umiała sobie poradzić z jej niepokojącą obojętnością.

- Nie rozumiem, jakie to ma znaczenie - powiedziała Sara. - Nie robimy niczego w tajemnicy. Każdy, kto idzie w naszą stronę, może się przyłączyć.

- Och, jesteś niemożliwa! - Rose aż tupnęła ze złości. - Nie miej mi za złe, jak i twoja reputacja ucierpi! - Odwróciła się na pięcie i hałaśliwie zbiegła po schodach.

Sara wróciła do przerwanej zajęcia. Zdawała sobie sprawę, że tylko udawała brak zainteresowania informacjami Rose.

Zakładała, że Jack musiał mieć jakieś miłosne przygody... bo większość mężczyzn je miała, ale nie sądziła, że jest Casanovą, jeśli to, co mówiła Rose, było prawdą. A zapewne było. Połowa kobiet w teatrze wdychała do niego, a i Sara musiała przyznać, że podobał jej się bardziej, niż sobie życzyła. Co więcej, pozwolił sobie ją pocałować, a ona w ogóle nie zaprotestowała. Prawda, że działał wówczas przez zaskoczenie, ale czy wymierzyła mu policzek? Zemdłała? Nic podobnego.

Wstrząsająca prawda była taka, że całkiem jej się to podobało. Doszła do wniosku, opartego na świeżo uzyskanych wiadomościach, że każdy doświadczony uwodziciel bez wątpienia musi mieć umiejętność wkradania się w łaski kobiet. Zmartwiło ją to odkrycie.

Z drugiej strony jednak był na tyle delikatny, by nie posuwać się dalej, gdy przekonał się o jej braku doświadczenia. Zadbał też, by nie czuła się zażenowana ani zawstydzona. Przeciwnie, zachował się jak dżentelmen (jeśli już przyjąć ten pocałunek).

Niemniej jednak Sarę męczyły wątpliwości co do zamiarów Jacka wobec Rose.

Było wpół do dziewiątej rano; Jack popijał kawą zjedzone chwilę wcześniej grzanki. Archie, zmuszony do wstania o tak nieludzkiej porze, wyrażał swe niezadowolenie przesadną grzecznością i milczeniem.

Nie zwracając na niego uwagi, Jack zaczął przeglądać poranną pocztę. Ostatnio przychodziło zadziwiająco mało rachunków, jako że miał niewiele czasu na wyjścia do miasta i jakiegokolwiek zakupy. List od jubilera, dyskretnie zachwalający nowe wyroby, które ukazały się w sprzedaży, Jack od razu wyrzucił do kosza na śmieci.

Znalazł też jednak odpowiedź na własny list, przysłaną przez wuja Josiaha Pinksa.

Jeśli chcesz pracować z Midwinterem i Pinksem, musisz tu przybyć i porozmawiać o tym ze mną. Miej na uwadze, że oczekuję, iż potraktujesz to poważnie. Masz mnóstwo do zrobienia. W dalszej perspektywie przedstawiciel rodzinnego interesu w Londynie może być użyteczny, więc nie musiałbyś mieszkać tutaj, gdybyś nie miał na to ochoty.

Twoja ciotka Agnes przesyła ci pozdrowienia.

*Twój oddany wuj
Josiah Pinks*

- Jeśli pan już skończył, to pozwolę sobie zabrać talerz - odezwał się Arenie.

- Daj spokój, stary zrzędo - mruknął Jack. - O co ci chodzi?

- Długo to jeszcze potrwa? - warknął Arenie. - Nie odpowiada mi ta pora, o której pan się teraz zrywa. Jestem nocnym markiem, zawsze byłem. Zechce pan wychodzić na całe noce, jak przystało na dżentelmena, proszę bardzo. Ale rano wołałbym sobie poleżeć.

Jack wybuchnął śmiechem. Obaj dobrze wiedzieli, że Archie nigdy go nie opuści, choćby nie wiem jak narzekał.

- Chcesz więc przejść na emeryturę?
- Może dojść i do tego - zagroził Archie ponuro.
- Jestem zaangażowany w teatrze do powrotu pana Frosta, który nastąpi prawdopodobnie pod koniec października. Muszę też pilnować, żeby pannie Beale nic się nie stało. Wiesz o tym.
- Naprawdę pan myśli, że lord Fulmar może ją porwać?
- Nie, nie sądzę. Ale nie mogę być tego pewien.
- Niech pan uważa - burknął kamerdyner. - Wygląda mi na to, że ta panna Beale się panu podoba. Nim się pan spostrzeże, znajdzie się pan w pułapce.
- Bzdura - odparł Jack i zaśmiał się.

Tamtej niedzieli Rose pojechała omnibusem na West End. Ponownie umówiła się na herbatę z Amy Rush. Z zazdrością myślała o tym, że Amy spędziła ostatnio upojne dwa tygodnie w Paryżu ze swoim nowym kochankiem, lordem Penningiem. Bez wątpienia będzie chciała się pochwalić nowymi nabytkami, a Rose będzie musiała je podziwiać, zaciskając zęby. Ale za to usłyszy wszystkie najnowsze ploteczki.

Potrzebowała rady Amy. To właśnie Amy udzieliła jej niezbędnej zachęty, by wyrwać się z Myddleton Square.

- Na co ty czekasz, dziewczyno? - powiedziała. - Byland nie proponuje ci małżeństwa, ale zapewni ci utrzymanie. Jeśli podoba ci się takie życie, to się nie wahaj. Okazje nie trafiają się codziennie.

I Rose jej usłuchała. Nie żałowała tego. Przeżyła parę dobrych lat, a nuda, która przysłała wkrótce po początkowych

uniesieniach, szybko wywietrzała jej z pamięci. Pozostało wspomnienie przyjemności, własnych apartamentów i pięknych strojów.

Kiedy się rozstawali, Byland dał jej dwieście funtów; zatrzymała też bogatą garderobę i klejnoty, które jej podarował. To było znacznie lepsze niż przygnębiająca szacowność Myddleton Square i małżeństwo z jakimś pryszczatym młodzianem w rodzaju pana Browna.

Nowe mieszkanie Amy znajdowało się przy New Bond Street i było bardzo podobne do poprzedniego - ten sam przepych złocieni i purpury.

Rose miała wrażenie, że patrzy na coś, co dobrze znała... i utraciła.

- Och, jak tu ślicznie! - wykrzyknęła, całując Amy. - Zupełnie jak w twoim starym mieszkaniu... tylko ładniej - dodała pośpiesznie. - Wielkie nieba! A te obrazki! - Zniosła się chichotem. - Chyba nie próbowałeś tego robić w taki sposób?

Amy zawtórowała jej śmiechem.

- Wypróbowaliśmy jedną z tych pozycji. Okropnie niewygodna. Spadłam z łóżka.

- Jaka piękna suknia! - Rose wyciągnęła rękę, żeby dotnąć tkaniny.

Amy opadła na szeszlong.

- Dopiero co wróciliśmy z Paryża. Penning był bardzo szczodry. Mają tam doprawdy boskie stroje. I wszystko jest nazywane imieniem nowej cesarzowej. Podobno jest bardzo piękna. Wszystko nosi imię Eugenii.

- Och, ty to masz szczęście!

Amy, łaskawie usposobiona zachwytem Rose, chętnie zaprezentowała jej swe nowe ubrania, a nawet podarowała przy-

jaciółce jedwabną apaszkę, której kolor uznała za niezbyt odpowiedni dla siebie.

Później, przy herbacie, Rose opowiedziała jej o Jacku Midwinterze.

- Amy, dlaczego on pracuje w teatrze? Chcę się tego dowiedzieć. Może w ten sposób chciał się do mnie zbliżyć? Tylko że wcale nie szuka okazji, żeby się ze mną spotkać, a kiedy już na siebie wpadniemy, nie wykorzystuje tego. Wiesz, jakie to do niego niepodobne. A w końcu po cóż innego miałyby tam przychodzić?

- Nie widuję go ostatnio - przyznała Amy z zastanowieniem. - Zwykle można go było spotkać w Cremorne albo w operze. Spytam Penninga. Kiedyś dobrze się znali.

- Co powinnam zrobić?

Amy wzruszyła ramionami.

- Znajdź sobie innego mężczyznę, moja droga. Cóż innego można zrobić? Czy wyjaśniło się z... - Urwała taktownie.

- To był fałszywy alarm, dzięki Bogu - odparła Rose. - Lizzie była bardzo miła. Jakże się miewa?

- Doskonale. Nie jest na tyle ładna, byś musiała się martwić, że może zacząć działać na własną rękę za twoimi plecami. Bez wątplenia rozumie, jak się sprawy mają z Bylandem.

Rose nie miała ochoty, żeby jej o tym przypominano.

- Zdaje się, że wkrótce będzie się żenił?

- W listopadzie. Słyszałam od Penninga.

Wychodząc, Rose zagadnęła:

- Amy, rozejrzyj się za kimś dla mnie. Nie potrafię zbyt długo być grzeczna.

Amy zgodziła się ze śmiechem.

X ani Fanshawe, miła, trochę zbyt sztywna wdowa po pięćdziesiątce, siedziała przy stole w swoim domu na Portman Square i otwierała pocztę. Jej córka Louisa, siedząca po drugiej stronie stołu, bawiła się grzanką.

Nagle pani Fanshawe wydała z siebie piskliwy okrzyk. Wybuchnęła płaczem; otwarty list upadł na podłogę.

- Och, moja biedna Maria! - zawodziła. Łzy spływały po wykrzywionej bólem twarzy i kapały na blat stołu.

Louisa była przerażona. Szarpnęła dzwonkiem, po czym, okrążając stół, pobięła do matki.

- Wezwij pokojówkę pani Fanshawe, proszę - poleciła lokajowi, który pojawił się w drzwiach. - Moja matka źle się czuje. - Kim była Maria? I co się mogło stać?

Pani Fanshawe, wciąż wstrząsana łkaniem, schyliła się po list i przycisnęła go do piersi.

Gdy tylko odprowadzono panią Fanshawe do jej sypialni, Louisa napisała wiadomość do wuja, sir George'a Cranborne'a, który mieszkał na Seymour Street, błagając go, by niezwłocznie pojawił się u nich. A potem czekała, przechadzając się tam i z powrotem po pokoju, co jakiś czas przystając przy oknie i z niepokojem wyglądając na zewnątrz.

Usłyszawszy kroki wuja w holu, natychmiast doń wybiegła, niemal wciągnęła go do jadalni i opowiedziała mu całą historię.

- Maria, hę? - mruknął George z namysłem.

- Kim jest Maria?

- Nie jestem pewien. Przypuszczam, że chodzi o Marię Beale, daleką kuzynkę.

- Nigdy o niej nie słyszałam.

- To dawne dzieje. A sama historia dość niesmaczna, nie nadaje się dla twoich uszu. - Wrócił do holu, przyzywając

gestem lokaja. - Spytaj, czy pani Fanshawe czuje się na tyle dobrze, by mnie przyjąć.

Został wezwany niemal natychmiast. Louisa pozostała w jadalni, zagubiona w domysłach i nieco urażona.

- Och, George! - zawołała pani Fenshawe, gdy tylko zostali sami. - Przeczytaj! - Usiadła, przykładając chusteczkę do oczu.

Niejaki Foxton pisał, że lord Fulmar kazał mu powiadomić panią Fanshawe, że Sara, córka Marii Beale i Jego Lordowskiej Mości, urodziła się 22 maja 1825 roku i została ochrzczona w kościele Świętego Mateusza w Bethnal Green. Maria Beale zmarła w styczniu 1826 roku i została pochowana na cmentarzu Świętego Jakuba w Clerkenwell. Rzeczona Sara Beale mieszka obecnie na Myddleton Square, Islington, i ma życzenie poznać krewnych swojej matki.

Tylko tyle. Żadnych wyjaśnień, jak lord Fulmar uzyskał te informacje. Nic.

- Wygląda mi to na jakieś oszustwo - stwierdził sir George.

- Co masz na myśli?

- Skąd się nagle wzięła ta dziewczyna, po tylu latach? Czego ona oczekuje? Odnajdującym się po latach krewnym zwykle chodzi o coś więcej niż przyjemność zapoznania się z rodziną. Na przykład o pieniądze. Nie, trzeba to będzie dokładnie sprawdzić.

- George, lord Fulmar się do niej przyznaje - zaprotestowała pani Fenshawe. - Biedna Maria, umarła tak młodo. Jakże mi jej brakowało! Wiem, że była trochę szalona, ale wносиła tyle radości.

- Sprawiała naszej biednej matce wiele bólu - przypomniał oschle George. - Pamiętasz sprawę z młodym Turnerem?

Pani Fenshawe aż się zatrzęsała.

- Przestań!

- Mama musiała sobie zadać wiele trudu, żeby wszystko zatuszować. Tylko dzięki swemu urokowi Maria zdołała zachować dobre imię.

- Co zrobimy?

- Zostaw to mnie. Sprawdzę, co trzeba.

Było to drugie przedstawienie *Hamleta*. Ani Jack, ani Sara nie byli potrzebni tego wieczoru w teatrze, więc Sara poszła wcześniej do domu, a Jack udał się do swego klubu, gdzie nie gościł już od wielu tygodni.

Czuł się trochę nieswojo, wkładając wytworne, jak przystało na dżentelmena, wieczorowe ubranie. Wchodząc do eleganckiego, utrzymanego w stylu włoskim holu Reform Club, złapał się na tym, że dostrzega rzeczy, zwykle mijane bez zainteresowania: portierów, którzy na jego widok poderwali się w szatni przerywając jakąś karcianą grę; młodego posłańca, który upchnąwszy w tynej kieszeni napiwek, wyprężył się na baczność. Zapewne i wcześniej wykazywali inne ludzkie cechy, poza tym, że byli wzorową służbą w męskim klubie. Skinąwszy portierom, oddał im swój płaszcz i cylinder; uświadomił sobie, że nawet nie zna ich nazwisk.

W palarni było dość tłoczno; większość z obecnych podniosła wzrok na wchodzącego Jacka, odpowiedziała na jego ukłon, po czym wróciła do przerwanych rozmów lub czytania gazet; przyzywanie kogokolwiek do towarzystwa uchodziło za niegrzeczne, chyba że sam okazał chęć nawiązania rozmowy.

Wciąż czując się trochę nie na miejscu, Jack wziął do ręki

egzemplarz „The Times” i usiadł na jednej ze skórzanych kanap. Jego sąsiad przyjrzał mu się z zaciekawieniem.

- Dobry Boże! - wykrzyknął. - Midwinter, jako żywo! Słyszałem, że ostatnio udzielasz się w teatrze. Kiedy pierwszy występ, staruszk? A może to tajemnica?

- Skąd wiesz? - zdziwił się Jack. Wiedział, że lord Penning lubi plotkować. - Z całą pewnością nikomu o tym nie wspominalem.

Penning widział, że Jack jest szczerze rozgniewany.

- Amy mi powiedziała. Niespodzianka, co, Midwinter? Co ty, u diabła, tam robisz?

- Pilnuję własnego interesu - odparł Jack sucho. - Masz na myśli Amy Rush? Jesteś teraz z Amy?

- Widzę, że wypadłeś z obiegu, staruszk.

- Chciałbym z nią zamienić parę słów.

Penning podniósł się z miejsca, odrzucając gazetę na stół.

- Będziemy dziś wieczorem w Drury Lane. Łoża osiemnasta. Przyłącz się do nas.

- Dziękuję. - Jack domyślił się, skąd Amy mogła uzyskać tę wiadomość.

Archie wcale nie był zaskoczony wieściami. Przygotował wodę do golenia oraz czarny frak, spodnie, haftowaną kamizelkę i jedwabne pończochy, czyli strój odpowiedni dla dżentelmena wybierającego się do teatru.

- Oczywiście, że to się rozniesie - stwierdził. - Ludzie gadają.

Jack wszedł do łóży Penninga podczas pierwszego antraktu w *Zaręczynach*. Pocałował Amy w policzek, skomplementował jej wygląd, po czym rzekł:

- Rozumiem, że rozmawiałaś z Rose Frampton.

- Ojej, czy to miała być tajemnica? - zdumiała się Amy.

- To osobista sprawa.

- Ależ panie Midwinter - zaszcebiotała Amy. - Jeśli pan pragnie Rose, nie ma potrzeby zadawać sobie tyle trudu. Ona i bez tego jest panu przychylna.

- Och, doprawdy - mruknął Jack. A więc tak się sprawy miały. Rose myślała, że robi to z jej powodu. Głupia dziewczyna. Chociaż w przeszłości dopuszczał się podobnych głupstw, by zwabić kobietę do swego łóżka.-

Patrząc na scenę, stwierdził z rozbawieniem, że w duchu krytykuje oświetlenie. Nie mógł się oprzeć myśli, że Fenton spałby się znacznie lepiej. Sama sztuka była nudna i naiwna; prawdopodobnie wybrano ją tylko dlatego, by G.V. Brooke mógł się pokazać w roli Marsia. Pamiętał, że Amy jest wielbicieleką gry tego aktora, lecz zdaniem Jacka był zbyt pompatyczny.

Przeniósł uwagę na publiczność; korzystając z lornetki, rozejrzał się po innych łóżach. Półświatek stawił się licznie. Zewsząd kusiły odkryte ramiona i głębokie dekolty. Mógłby przysiąc, że za rozpostartymi wachlarzami raz po raz wymieniano jego nazwisko, a kilka pań uśmiechnęło się nawet w jego stronę.

- Zaczynają krążyć domysły - zwróciła się do niego szeptem Amy. - Pan Midwinter powrócił. Kogo wybierze tym razem?

Jack umiechnął się z wysiłkiem. Dobrze znał cały rytuał; zaloty, kapitulacja, nieodzowny tydzień w Paryżu, wynajęcie apartamentu, a potem na przemian kłótnie i godzenie się aż do ostatecznego rozstania, po którym karuzela zaczynała się kręcić od nowa.

Uświadomił sobie, że ma to za sobą. Nie miał już ochoty na te powierzchowne przyjemności.

Opuścił łożę Penninga po drugim akcie i poszedł do domu.

Następny rano zastał Jacka w Sadler's Wells, zadowolonego z powrotu do pracy. Przejrzał plan prób, zawieszony przy wejściu na scenę. Do dwunastej miała być próba taneczna elfów. Po jej zakończeniu zamierzał porozmawiać z Rose. Później zaplanowano techniczną próbę sztuki *Miłość to potęga*, którą wystawiano na otwarcie nazajutrz wieczorem. Tymczasem postanowił zajrzeć do pana Harveya i sprawdzić, czy by mu się nie przydał.

Rose nie oszczędzała się podczas próby. W głębi duszy lubiła wuja Alfreda, który jako baletmistrz prowadził próbę i doszła do wniosku, że nie może mu sprawić zawodu.

Kiedy wchodząc do saloniku ujrzała Jacka, uznała, że los wynagrodził jej poranne wysiłki. Uśmiechał się, natomiast panna Goodwin, co Rose zauważyła z radością, miała kwaśną minę. Pomyślała z nadzieją, że może w końcu sytuacja się wyjaśni. Dziesięć minut później siedzieli oboje przed teatrem na jednej z ławek ustawionych nad rzeką, skapani w promieniach letniego słońca. Jack kupił dla nich po kawałku ciasta.

Jednak jego pierwsze słowa nie miały nic wspólnego z zalotami.

- Musisz się nauczyć pilnować własnego interesu, piękna Rose.

- O co ci chodzi?

- Widziałem się z Amy Rush wczoraj wieczorem. Powiedziałś jej o mojej pracy w teatrze.

Rose posłała mu spojrzenie spod opuszczonych rzęs.

- A jeśli tak, to co?

- Jesteś w błędzie. Przychodzę tu z osobistych powodów. Nie mają one z tobą nic wspólnego.

Nie był tu z jej powodu? Wydawało jej się to niedorzeczne. Ogarnął ją nagły chłód. Skoro Jack nie miał zamiaru jej stąd zabrać, to co ją czekało? Miała pozostać w teatrze na zawsze? Czy też pogodzić się ze złośliwością i ryczącym śmiechem lorda Walmsleya?

Nie mogła uwierzyć, że to prawda. Co go mogło skłonić do zmiany decyzji? Ostatnio dużo spacerował z Sarą. To musiała być jej sprawka. Nie przyszło jej do głowy, że przecież Sara nie mogła powiedzieć Jackowi nic, czego by sam nie wiedział.

- Rozmawiałeś z moją przemądrzałą przybraną siostrą- rzuciła oskarżycielskim tonem.

- Przybraną siostrą? - powtórzył Jack, zbity z tropu nagłą zmianą tematu.

- Sarą Beale. Ona zawsze...

- Panna Beale jest twoją przybraną siostrą?- Jack był oszołomiony. - Jak to możliwe?

- Panna Tyka jest podrzutkiem, znajdują przygarniętą przez moją ciotkę i wychowaną z dobrego serca. - Dlaczego Sara ma zawsze uchodzić za wzór wszelkich cnót, pomyślała Rose.

- Ale nie jesteście spokrewnione?

- Nie. Zamieszkałam z ciotką, kiedy miałam pięć lat, po śmierci matki. Sara i ja wychowywałyśmy się jak siostry, chociaż ona ma już dwadzieścia osiem lat. Jest o wiele starsza ode mnie.

- Nic o tym nie mówiła - rzekł Jack w zamyśleniu.

- Prosiłam ją o to. - Rose odrzuciła głowę do tyłu. - Nie chciałam, żeby rozeszły się wokół mnie jakieś niemiłe plotki.

- Rose - powiedział cicho Jack - nie wydaje ci się, że to ty jesteś niemiła opowiadając mi to wszystko o pannie Beale?

Nagle rozłłoszczona Rose cisnęła do wody resztkę ciasta.

- Sara jest czasami taka wyniosła- powiedziała z niechęcią. - Nigdy mnie nie lubiła. Tylko dlatego, że jestem od niej ładniejsza.

- Jest dla ciebie niemiła? Trudno mi w to uwierzyć.

- Nie, właściwie nie. Ale nie rozumiem, dlaczego ciągle odprowadzasz ją do domu.

- Zamiast odprowadzać ciebie?

Rose odęła wargi.

- Pannę Beale spotkały pewne nieprzyjemności - zaczął Jack, po chwili namysłu, co może ujawnić. - Pilnuję tylko, żeby bezpiecznie dotarła do domu. Rose, naprawdę uważam, że nie powinnaś mówić takich rzeczy o swojej przybranej siostrze.

Rose ogarnął głęboki wstyd; rzadko jej się to zdarzało, więc poczuła się nieswojo.

- Och, jesteś taki sam jak wszyscy - prychnęła. - Ciągle tylko kazania i morały.

- Tak sądzisz?

- Kiedyś byłeś inny. Myślałam, że mnie zrozumiesz. - Łzy napłynęły jej do oczu.

- Jeśli ci zależy na korzystaniu z życia, powinnaś się rozejrzeć za kimś w twoim wieku. Ja jestem dla ciebie stanowczo za stary.

- Od kiedy?

- Odkąd zdałem sobie sprawę, że powinienem przestać się zadawać z dziewczętami o połowę młodszymi ode mnie.

- Lubię starszych mężczyzn - powiedziała Rose tonem zachęty.

- Być może. Ale mnie nie zdobędziesz.

- Z Sarą ci się nie uda. Mogę cię zapewnić!

- Nawet by mi się nie śniło prosić pannę Beale, żeby została moją kochanką.

- Och! - Rose aż poczerwieniała ze złości. - Jest na to za porządna, co?

- Rose, przestań mówić jak zepsute dziecko. - Jack westchnął.

Zaszeleściła spódnica; Rose poderwała się z ławki zostawiając Jacka z poczuciem, że po raz pierwszy w życiu zachował się tak, jak powinien się zachowywać rozsądny trzydziestoosmiolatek wobec nad wiek dojrzałej dziewczętnastolatki. Refleksja była niewesoła, lecz mimowolnie się uśmiechnął. Czemu, u licha, przez te wszystkie lata poddawał się głupocie?

Siedział przez dłuższą chwilę patrząc na kaczki i rzucając im okruchy ciasta. Zmartwiła go wiadomość, że Rose wychowywała się razem z Sarą. Czy dlatego Sara traktowała go z dystansem? Co Rose jej powiedziała? Jego dawne życie w oczach Sary musiało wyglądać nikczemnie. Zdecydowanie wolałby, żeby o niczym nie wiedziała.

Jak mógłby się usprawiedliwić? Przedstawić swoje racje? Ze wstydem przyznał, że nie pamięta, aby choć raz zrobił coś pożytecznego. Nigdy nie parał się pracą, zawsze unikał odpowiedzialności i znosił swoje kochanki tak długo, dopóki go bawiły. Wprawdzie uważał, że nikogo nie skrzywdził, nie popadł w długi i nie zastawił swojego majątku, ale przecież brak występku nie jest jeszcze cnotą.

Tego wieczoru, odprowadzając Sarę do domu, nie mógł oderwać myśli od nurtującej go sprawy. Nie chciał poruszać drażliwego tematu, ale nie mógł się powstrzymać.

- Rozmawiałem dziś z Rose Frampton - zaczął.

- Tak? - Sara spojrzała na niego.

- Nie miałem o tym pojęcia, dopóki mi nie powiedziała, że razem się wychowywałyście.

- Biedna Rose. - Sara westchnęła. - Zawsze była taka śliczna i pociągało ją łatwe życie w dostatku. Czasami myślałam, że to ona powinna być córką lorda Fulmara. Bardzo by jej się to podobało.

- Bez wątplenia musiała pani się jej wyrzec, kiedy... hmm... uciekła?

- Nigdy nie chciałam zrobić Rose tego, co zrobiono mojej matce - powiedziała Sara z oburzeniem. - Ona zawsze o tym wiedziała.

Jack pomyślał, że Rose nieco inaczej przedstawiła mu całą historię. Wielkoduszność Sary dała mu odwagę do zadania następnego pytania.

- Czy... Rose mówiła pani, że mnie znała?

- Owszem - ucięła krótko Sara. Okryła się rumieńcem.

- Pewnie się pani zastanawia...

- Panie Midwinter, pańskie życie prywatne mnie nie interesuje.

Jack był jednak przekonany, że nie jest to do końca prawdą.

- Nie przyszedłem do Sadlers Wells ze względu na Rose, jak ona sądzi.

Sara poczuła niewysłowioną ulgę, ale powiedziała tylko:

- To jej się nie spodoba.

- Nie spodobało się.

- Ona jest jak polna lilia. Nie sieje ani nie orze, nie stara się być użyteczna. Jednak większości mężczyzn to nie przeszkadza. No i oczywiście jest bardzo ładna.

- Nie ma pani zbyt wysokiego mniemania o mężczyznach - zauważył Jack.

- Nic podobnego! - zdumiała się Sara.

- Tylko zamiłowanie do kobiecej urody sprowadza nas na manowce?

- Potwierdzając to, dałabym wyraz skrywanej zazdrości - powiedziała Sara z uśmiechem.

- Myślałem, że jasno wyraziłem uznanie dla pani urody - przypomniał jej Jack.

- To, co pan zrobił, było karygodne. - Sara odwróciła głowę, ale i tak zdążył dostrzec rumieniec na jej policzkach.

- Ale bardzo przyjemne.

Nic nie odpowiedziała.



Próby do *Snu* szły pełną parą i Sara znajdowała w nich coraz więcej przyjemności. Wcześniej czuła się na scenie wielka, niezgrabna i nie na swoim miejscu; zawsze starała się ukryć gdzieś z tyłu, gdzie czuła się pewniejsza, ale też bezużyteczna. Niby wiedziała, że i tak nikt na nią nie patrzy, ale z niezmienną ulgą przyjmowała koniec przedstawienia, kiedy mogła uciec ze sceny.

Pan Phelps zdecydował, że Sara i Jack będą najważniejszymi postaciami w orszaku. Oboje byli wysocy i urodziwi, więc musieli występować razem, zwłaszcza w ostatnim akcie. Zauważył z pewnym rozbawieniem, że o ile niektórzy z panów nadal czuli niechęć do Jacka Midwintera za to, że wkupił się do zespołu, panie całkowicie mu wybaczyły. Nawet panna Beale, trochę oschła i czasami uszczypliwa, najwyraźniej uległa jego czarowi.

Sara poczuła, że pewność siebie Jacka zaczyna jej się udzielać.

- Proszę tutaj, panno Beale - powiedział, kiedy wychodzili

przy końcu czwartego aktu. - Jest pani dwa razy piękniejsza od panny Portman. Głowa do góry! - Podał jej ramię.

Był tak przekonujący, że Sara wyprostowała się, położyła dłoń na jego ramieniu i pewnym krokiem zeszła ze sceny. Pieprz Williams mrugnął do niej z budki suflera. Sara odpowiedziała mu zabawną miną.

Zauważyła, że Jack, choć świadomy swego wyglądu i wrażenia, jakie wywołuje, potrafi zachowywać się z lekkością i wdziękiem.

Zaczęła sobie to uświadamiać już wcześniej, kiedy mierzył kostium Brava do sztuki *Miłość to potęga*. Był to strój portugalski, jako że tam toczyła się większa część akcji. Jack nosił czarne spodnie, białe pończochy i czarne buty, do tego białą koszulę o luźnych rękawach zebranych przy nadgarstku i szarfę w kolorze płomieni. Wyglądał zniewalająco przystojnie.

- I co sądzicie? - zapytał, składając im głęboki ukłon.

- Dobrze pan wie, że wygląda wspaniale, więc nie ma potrzeby, żebym pana dodatkowo wbijała w pychę - odparła cierpko Sara. Z trudem oderwała od niego wzrok.

- O rany! - roześmiał się Jack. - Widzę, że panna Beale ma ostre pazurki - zwrócił się do panny Bailey.

- Na to wygląda - przyznała panna Bailey spokojnie.

- Przyjdzie pani zobaczyć jak gram, panno Beale? Panno Bailey? Zaczynamy w czwartek. Wiecie, że to będzie mój debiut.

- Jego debiut! - powtórzyła kpiąco Sara. - Proszę, proszę! Można by pomyśleć, że jest gwiazdą przedstawienia.

- Odprowadzę panią potem do domu.

Sara spojrzała na pannę Bailey, która z uśmiechem pokiwała głową.

- Cóż, dobrze - powiedziała nieco zakłopotana, ale w duchu zadowolona z propozycji.

Po wyjściu Jacka zwróciła się do panny Bailey:

- Zważywszy na to, jaki jest przystojny, nie grzeszy próżnością. Podoba się sobie, ale też pozwala z siebie żartować.

- Lubię go - powiedziała panna Bailey. - Przyznaję, że z początku go nie lubiłam. Ludzie, którzy płacą, żeby się znaleźć na scenie, potrafią być czasami prawdziwym utrapieniem i nigdy nie można na nich polegać, ale pan Midwinter spisuje się znakomicie.

Zdarzyło jej się raz czy dwa razy stać za kulisami podczas próby *Snu* i widziała, jak bardzo Sara się zmieniła, jakiej nabrała pewności siebie, i to przede wszystkim dzięki zachętom pana Midwintera. Bez wątpienia był jedynym mężczyzną, któremu pozwalała ze sobą flirtować, nie mroząc go przy tym swoją niechęcią.

Sara też miała świadomość, że zaszła w niej zmiana. Nie czuła się już odrażona. Pan Midwinter znał jej historię i najwyraźniej nie stanowiło to dla niego problemu. Może dotychczas przykładła zbyt wielką wagę do swego nieślubnego pochodzenia.

Nawet Sara widziała, że Jack ceni sobie jej towarzystwo. Widywali się codziennie i zwykle wieczorem wracała z nim do domu. Za każdym razem mieli sobie wiele do powiedzenia; słuchał jej z niekłamanym zainteresowaniem.

Któregoś razu opowiedziała mu o kukiełkowym teatryku, który pan Copperstone zrobił dla niej, gdy była dzieckiem.

- Jestem pewna, że od tego zaczęło się moje zainteresowanie kostiumami - powiedziała. Nie dodała, że odkąd zobaczyła go w Hoop Hall, służył jej za wzorzec idealnego mężczyzny.

- Chciałbym zobaczyć ten teatryk - poprosił Jack. Zawsze ciekawiły go modele i wspominał już Sarze o młyńskim kole, które zrobił jako chłopiec.

- Został zniszczony - wyznała Sara ze smutkiem. - Przynajmniej niektóre z kukiełek. Rose je zniszczyła. Była jeszcze mała, więc nie mogę jej winić, ale wówczas byłam na nią bardzo zła.

- Jeśli pani je przyniesie, może będę w stanie je naprawić - zachęcił Jack. - Bardzo bym chciał spróbować.

- Naprawdę by pan zechciał? - ożywiła się Sara. - Byłabym wdzięczna.

- Tak czy inaczej, zobaczę, co się da zrobić.

Z wdzięcznością dotknęła jego ramienia. Jack spojrzał na nią z uśmiechem.

Nadszedł czwartek, dzień debiutu Jacka w sztuce *Miłość to potęga*. Sara i panna Bailey dostały dwa miejsca na parterze od zrzędlivego Williamsa i wzięły sobie wolne na cały wieczór. Osiemnastowieczna sztuka Colleya Cibbera miała całkowicie niedorzeczną fabułę; nie brakło w niej rywalizujących ze sobą braci, pięknej dziedziczki, katastrofy morskiej, kobiety szukającej przygód, wszelkiego rodzaju łajdactw i ma się rozumieć zbójców. Jack dwoił się i troił ukazując swą nikczemność, ciągnąc różne postaci już to na scenę, już to ze sceny, jak przystało na szalejącego desperata.

- Muszę przyznać - odezwała się panna Bailey, kiedy za-brzmiały końcowe oklaski - że jest doskonała w tej roli.

- Rzeczywiście, Właściwie nie umie grać, ale wkłada w swą rolę niesamowitą ilość energii.

- W tego rodzaju sztuce nie trzeba grać - podjęła panna Bailey. - Postaci są dość sztampowe. Mimo to przedstawienie jest bardzo zabawne. - Nieczęsto bywała jako widz na przedstawieniach, więc z przyjemnością oglądała na scenie swoje kostiumy.

Panna Bailey udała się do domu w towarzystwie pana Browna, który mieszkał blisko niej, a Sara czekała na Jacka przy wyjściu ze sceny.

- Podobał nam się pański występ - powiedziała od razu. - Szczególnie moment, kiedy miał pan udusić Angelinę. Bardzo przekonujący.

- Niewiele brakowało, żebym ją naprawdę udusił - rzekł Jack ze śmiechem. - Panna Cooper nie przestawała artystycznie na mnie napierać.

Sara przypomniała sobie, co panna Warde mówiła na temat zachowania panny Cooper, ale postanowiła wstrzymać się od jakichkolwiek uwag.

- To bardzo uprzejmie, że odprowadza mnie pan do domu, panie Midwinter.

- Sprawia mi to przyjemność - odparł z prostotą. - A pani nie?

- Ta...ak. - Coraz wyraźniej sobie uświadamiała, że kiedy Jack zniknie z jej życia, pozostanie po nim pustka.

- Ale? - podsunął Jack wyczekująco. - Powiedziała to pani takim tonem, że spodziewam się zastrzeżeń.

- Nie może pan zostać w teatrze na zawsze, panie Midwinter. Za jakieś sześć tygodni wróci pan Frost. Nie tęskni pan za swoim dawnym życiem? - Myśl, że znów będzie utrzymywał kochanki i prowadził życie bogatego próżniaka, goniącego za przyjemnościami, była wyjątkowo niemiła.

- Miałbym wrócić do dawnego życia? Nie - rzekł stanowczo. - W listopadzie skończę trzydzieści dziewięć lat, panno Beale. Nie chcę zmarnować drugiej połowy życia tak, jak zmarnowałem pierwszą.

Sarze zrobiło się lżej na sercu.

- Zatem co pan zamierza?

- Prawdopodobnie wejść w interesy z moim wujem w Manchesterze. Bawełna.

- W Manchesterze. To daleko stąd. - Sara spojrzała w dal ponad stawami New River, które w świetle księżyca wyglądały dziwnie przygnębiająco.

- Teraz, w dobie kolei, wcale nie tak daleko. Jeden dzień podróży, nie więcej.

- Tak sędzę. - Głos Sary zabrzmiał jakoś pusto. - Czy to ładne miasto? - dodała z ożywieniem, chcąc zatrzeć poprzednie wrażenie.

- Nie bardzo. Są tam paskudne slumsy. Ale ma energię i żywotność, które mi się podobają.

Dotarli do jej domu na Myddleton Square.

- Och, prawie zapomniałam - powiedziała Sara sięgając do kieszeni. Wyciągnęła dwie drewniane figurki, każda wysokości około trzech cali. - Widzi pan, Zielony Rycerz złamał rękę, a Księżniczka Eglantyna zgubiła czarodziejską różdżkę.

Jack podszedł bliżej do gazowej latarni i przyjrzał się kukiełkom, obracając je powoli w rękach.

- Co robił Zielony Książę?

- Trzymał miecz. Też się zgubił. I mógł ruszać ramieniem w górę i w dół.

- A różdżka Księżniczki Eglantyny?

- Po prostu różdżka. Na końcu miała małą gwiazdkę. Widzi pan, jak pasowała do jej dłoni?

Jack ostrożnie umieścił figurki w kieszeni płaszcza, a Sara zastukała kołatką. Za drzwiami natychmiast rozległo się sapanie Polly wychodzącej z sutereny.

Sara odwróciła się do Jacka.

- Dziękuję. Jest pan bardzo uprzejmy. - Obdarzywszy go niepewnym uśmiechem, zniknęła w domu.

Jack zamyślony niespiesznie ruszył w drogę powrotną do teatru.

Polly zostawiła trochę jedzenia z kolacji, lecz Sara nie chciała jeść.

- Dziękuję ci, Polly, ale nie jestem głodna.

Wzięta od służącej świecę i poszła do swojej sypialni. Rozbierała się wolno, jakby ta czynność wymagała od niej zbyt wiele wysiłku, a ubrania były nienaturalnie ciężkie. Potem narzuciła bawełnianą nocną koszulę i wyszczotkowała włosy, splatając je na noc w dwa warkocze. Siedziała przy toalecie; chociaż jej palce poruszały się sprawnie i szybko, myślami była zupełnie gdzie indziej.

Pan Midwinter miał wyjechać do Manchesteru, a kiedy wyjedzie, pewnie już nigdy się nie zobaczą. Nie wiedziała dlaczego, ale Manchester wydawał jej się o wiele bardziej odległy niż był w istocie... jakby leżał na końcu świata. Cóż, przecież nawet gdyby Jack został w Londynie, mogliby się nigdy nie spotykać, bo ich światy były tak różne. A jednak to nie było to samo.

Musiała się jakoś otrząsnąć z przynębiającej myśli, że jego wyjazd pozostawi wyrwę w jej sercu. Ich światy leżały daleko od siebie. Nie pozwoli sobie na zaangażowanie. Ich znajomość pozostanie w jej pamięci miłym epizodem, niczym więcej.

Żyła bez niego wcześniej i musi żyć dalej. Wiedziała, że

w teatrze nietrudno o żywe emocje. Panowała tam szczególna intymność, biorąca się ze wspólnych wysiłków i fizycznej bliskości na scenie, lecz podobnie jak świetlne efekty pana Fentona, była z znacznej mierze złudzeniem. Poruszającym wyobraźnię, ale nieprawdziwym. Nie istniejącym poza kręgiem teatru, o czym nie wolno jej było zapominać.

Równocześnie była wstrząśnięta uświadomiwszy sobie, że gdyby pan Midwinter poprosił ją, by została jego kochanką, miałyby pewne trudności z odmową. Odmówiłaby, bo z pewnością nie byłaby w stanie znieść przelotnej natury takiego związku, ale w głębi duszy bardzo go pragnęła.

Czy coś takiego właśnie przeżywała jej matka? Zlekceważyła znaki ostrzegawcze i uwierzyła, że lord Fulmar zechce się z nią ożenić? Matka przynajmniej była bliższa lordowi Fulmarowi pozycją społeczną; ich związek byłby sensacyjny, ale nie niemożliwy.

Pan Midwinter bardzo wyraźnie określił swoje plany. I ona się w nich nie mieściła. Jego uczucia do niej były czysto platoniczne. Rose dobitnie to potwierdziła.

- Powiedział, że nigdy by cię nie poprosił, żebyś została jego kochanką - oznajmiła Sarze. - Po prostu w ogóle nie myśli o tobie w taki sposób.

Sara westchnęła, kończąc zaplatanie włosów; ściągnęła je mocno, jakby to miało pomóc utrzymać w ryzach niesforne myśli i położyła się do łóżka.

Następnego ranka Sara obudziła się później niż zwykle; musiała w pośpiechu wkładać ubranie i pić kawę, która stanowiła jej śniadanie. Chciała być w teatrze wcześniej, żeby naprawić

jeden z kostiumów do *Szkoły obmowy*, który rozpruł się na szwie. Potem następowała próba *Snu* o dziesiątej i związane z nią zamieszanie.

Zazwyczaj Leah towarzyszyła jej do teatru idąc na poranne zakupy. Choć musiała trochę nadłożyć drogi, lubiła ten wspólny spacer i czas, kiedy mogła względnie spokojnie porozmawiać z Sarą o domowych sprawach.

Tego dnia Sara się śpieszyła.

- Leah! Muszę pędzić- zawołała w stronę kuchennych schodów. - Wieczorem pomówimy o tych kafelkach pod zlewem.

- Dobrze, panno Saro.

Sara nie dostrzegła powozu na rogu Myddleton Square i River Street. Szybko ruszyła przez Myddleton Square w kierunku teatru.

Nie zdołała tam dotrzeć.

Tak się śpieszyła, że nie zauważyła dwóch ludzi zastępujących jej drogę, dopóki nie było za późno. Wpadła prosto na nich. Nagle na jej twarzy wyładowała chusteczka nasączona chlorofonnem. Zakrztusiła się i machając bezradnie rękami, upadła.

Powóz podjechał bliżej; wepchnięto do środka zakneblowaną, ślaniającą się postać. Dwaj mężczyźni wsiedli za nią i już ich nie było. Wszystko trwało niecałe dwie minuty.

Sara pamiętała mgliście, że kazano jej coś wypić, że było zimno i ciemno, że wokół niej panował ruch, a potem zapadła się w nicość.

Kiedy się ocknęła, leżała na kanapie w wagonie kolejowym. Okno było zasłonięte, lecz spoza zasłony przebijało światło. Miała dziwnie ciężką głowę. Leżała z zamkniętymi oczami.

- Obudziła się już? - spytał jakiś ostry męski głos. Sara go nie rozpoznawała.

- Nie, nie dała znaku życia.

- Doskonale. Nie będzie sprawiała kłopotu, gdy dojedziemy na miejsce.

- Kto by jej uwierzył? - odezwał się inny mężczyzna. - Jest szaloną siostrzenicą Jego Lordowskiej Mości. Tak mamy mówić.

Mózg Sary próbował uchwycić kontakt z rzeczywistości. Otworzyła usta, żeby się odezwać, ale język nie poddawał się jej woli. Słyszała rytmiczny hałas kół- stuk-tuk, stuk-tuk, stuk-tuk, stuk-tuk. Wreszcie stopniowo zaczęło jej się rozjaśniać w głowie.

Została porwana przez lorda Fulmara i teraz pewnie byli w drodze do Hoop Hall. Tylko taka możliwość wchodziła w grę. Wprawdzie nadal nie była w stanie myśleć całkiem jasno, lecz wiedziała, że ucieczka jest niemożliwa. Ponownie zapadła w sen.

Następnym świadomym doznaniem był chłód kolejowego peronu; wyniesiono ją z wagonu i umieszczono w powozie lorda Fulmara. Rozległ się brzęk monet, zamknięto drzwi i znów ruszyli w drogę.

Uchyliwszy nieznacznie powieki, dostrzegła sękatą dłoń z sygnetem, krwawnikiem oprawionym w złoto, na małym palcu. To musiał być lord Fulmar.

- Obudziłaś się wreszcie.

Sara nie odpowiedziała. Strasznie chciało jej się pić.

- No i co, panienko?

- Potrzebuję wody - przemówiła słabym głosem. Próbowała się podnieść do pozycji siedzącej.

- Będziesz musiała zaczekać, aż dojedziemy do Hoop Hall. - Dłoń zadziwiająco delikatnie spoczęła na jej czole, a pod głowę wsunęto jej poduszkę.

Sara usiłowała się skupić na trasie, którą jechali. Niejasno przypominała sobie chatę przy wjeździe do posiadłości Hoop Hall. Aleją zbliżyli się do domu, jakby mniejszego niż zachowała w pamięci, z kamiennymi lwami u stóp schodów. Powóz stanął; woźnica zeskoczył z kozła i otworzył drzwi.

Po schodach zeszła jakoś przestraszona kobieta.

- Och, milordzie - zawołała - co pan zrobił?

Sara próbowała wysiąść, ale źle postawiła stopę i upadła na zwir podjazdu.

- Uspokój się, kobieto. Pomóż pannie Fulmar wstać. Zabierz ją do niebieskiego pokoju.

Sara niezdarnie podnosiła się z ziemi.

- Nie! - krzyknęła. - Nie jestem panną Fulmar. I nigdy nią nie będę.

Gwałtownie postawiono ją na nogi.

- Zrobisz, co mówię! - wrzasnął lord Fulmar. - Albo będę cię trzymał w zamknięciu, dopóki się nie zgodzisz.

- No to mnie zamknij - powiedziała Sara. Było jej wszystko jedno. Świat wirował jej przed oczyma; musiała się chwycić powozu, żeby znowu nie upaść.

- Co pan jej zrobił? - powtórzyła kobieta, jaszczce bardziej przestraszona. Nerwowo splatała i rozplatała dłonie.

- Laudanum. Ona udaje. Jebb!

Kamerdyner wyrósł jak spod ziemi. Spojrzał na Sarę i zbladł.

- Zabierz pannę Fulmar na poddasze. Zanieś ją, jeśli będzie

trzeba. A ty wracaj do salonu - zwrócił się do kobiety. - Nie wolno ci się zdradzić ani jednym słowem. Słyszysz?

Kobieta odwróciła się i uciekła.

Objawszy Sarę w pasie, Jebb na wpół wciągnął, na wpół wniósł ją na trzecie piętro. Lord Fulmar szedł za nimi, wspierając się ciężko na hebanowej lasce. Na strychu znajdowały się pokoje służby i różne schowki.

- Odejdź, Jebb - rozkazał lord Fulmar.

Jebb zniknął. Lord Fulmar otworzył drzwi do niewielkiego pomieszczenia, którego jeden kąć zajmowała stara bielizniarka. Sara opadła na krzesło.

- Najwyższy czas, bym to ja pokierował twoim życiem - oznajmił lord Fulmar. - Żeby moja córka pracowała w teatrze! Jako zwykła szwaczka! Na domiar złego, jak mi mówiono, czasami występujesz na scenie jak jakaś awanturnica. Przynosisz niesławę nazwisku Fulmarów. Albo nabierzesz rozumu i zachwiesz się zachowywać jak dama, albo zamknę cię gdzieś, dopóki nie zmądrzejesz.

Sara nie odpowiedziała. Jej myśli krążyły gdzieś daleko. Wiedziała jedynie, że nigdy nie podda się temu człowiekowi. Prędzej oddałaby duszę diabłu.

Lord Fulmar odczekał chwilę, nim znów się odezwał.

- Dobrze zatem. - Pochylił się, doknął wystającego z boazerii przycisku i otworzył małe drzwiczki. - Ukłknij - polecił. - I wejdź do środka.

Sara potrząsnęła głową. Lord Fulmar uniósł laskę jak do ciosu.

- Do środka! - powtórzył.

Sara usłuchała. Drzwiczki zamknęły się za nią z głuchym stuknięciem i została sama.

W środku znajdował się stary siennik i jakieś derki, dzbanek wody i wiadro z pokrywą. Podpełzła do dzbanka i piła łąpczywie, a potem opadła na siennik i zamknęła oczy.

Dopiero wieczorem do zespołu Sadler's Wells dotarło wreszcie, że Sara zniknęła. Wcześniej panna Bailey sądziła, że Sara bierze udział w próbie, podczas gdy Phelps zakładał, że jest zajęta przy kostiumach.

Jack zrozumiał, że coś się stało, kiedy o szóstej wszedł do małej szwalni i nie zastał tam Sary. Nie było jej w teatrze przez cały dzień. Zbiegł po schodach na scenę. Pan Williams także jej nie widział.

Prosto stamtąd pobiegł do osobistej garderoby Phelps'a, który przygotowywał się właśnie do występu w roli sir Petera Teazle w *Szkole obmowy*. Pani Phelps jak zawsze pomagała mężowi w przygotowaniach; uśmiechnęła się do Jacka, kiedy zapukawszy wetknął głowę przez drzwi.

- Przepraszam, że przeszkadzam, panie Phelps - powiedział - ale nie ma panny Beale.

Phelps uniósł brwi.

- Doprawdy? - O cóż mogło chodzić temu niespokojnemu młodemu człowiekowi?

Jack otworzył usta, żeby wyjaśnić, ale w ostatniej chwili się rozmyślił. To by zabrało zbyt dużo czasu. A czas był dla niego niezwykle cenny.

- Będę musiał wyjść - powiedział. - Jeśli to tylko jakieś domowe sprawy ją zatrzymały, jutro wrócę. A jeśli, czego się obawiam, chodzi o coś poważniejszego, wrócę dopiero jak ją znajdę. - Zamknął drzwi i ruszył biegiem po schodach.

- On mówił poważnie - odezwała się pani Phelps. - Zawsze mi się zdawało, że jego obecność tutaj ma coś wspólnego z panną Beale.

- To twoje romantyczne serce, moja miła - rzekł Phelps. - Niemniej jednak coś tu się dzieje. Pan Midwinter nie byłby taki niespokojny bez powodu. - Za niecałą godzinę jednak miało się rozpocząć przedstawienie, należało się więc skupić na innych sprawach. Postanowił, że o pannę Beale będzie się martwił rano, jeśli to okaże się konieczne.

Pojawienie się Jacka w pojedynkę na Myddleton Square wzbudziło taki popłoch, że przez jakiś czas nie był w stanie niczego się dowiedzieć od Leah, która wpadła w histerię z troski o swą panią. W końcu Polly musiała ją uspokoić siarczystym policzkiem. Niewiele jednak miała do powiedzenia. Panna Sara wyszła z domu tego ranka około wpół do dziewiątej. Nic więcej nie było wiadomo.

Zatem od dziesięciu godzin jej los był nieznan.

- Och, moja biedna Sara - zawodziła panna Valloton. - To musi być sprawa tego podłego lorda Fulmara, bo któż inny mógłby to być?

- Ja też tak sądzę - przyznał Jack. Przechadzał się niespokojnie tam i z powrotem po salonie panny Webster. Wreszcie, zatrzymując się w miejscu, oznajmił: - Myślę, że należy to na razie zachować w tajemnicy.

- Nie uważa pan, że powinniśmy zawiadomić policję? - spytała panna Valloton z wahaniem. Wprawdzie na myśl, że cały plac dowie się o wizycie policji, aż kurczyła się ze wstydu, ale może właśnie tak należało postąpić?

- Nie, według mnie nie należy - rzekł Jack zdecydowanym tonem. - Przypuszczam, że Sara jest teraz w Hoop Hall. Policja

nic tu nie może dziać. Lepiej zostawcie to mnie. - Miał świadomość, że policja nie będzie skora do oskarżenia szacownego arystokraty o porwanie.

Wyszedł z domu Sary i od razu zdołał złapać dorożkę na Amwell Street. Pół godziny później był już u siebie na Half Moon Street.

Archie był wstrząśnięty, lecz wcale nie zdziwiony.

- Wiedziałem, że lord Fulmar nie podda się tak łatwo - stwierdził. - Co pan zamierza zrobić?

- Wrócić do domu jutro z samego rana. I sprawdzić, co się da, na miejscu. Ulthorne może coś wiedzieć. Żeby się dostać do Hoop Hall bez wiedzy lorda Fulmara, będę potrzebował pomocy od wewnątrz. Poproszę Saltera; zawsze dobrze mnie traktował, gdy byłem chłopcem.

- Co innego puścić płazem zakradanie się do cudzego ogrodu na truskawki, a co innego pozwolić na włamanie - zauważył trzeźwo Archie.

- Zobaczmy - rzekł Jack. - Salter nie zechce być zamieszany w porwanie. A parę gwinei może mu pomóc w podjęciu decyzji.

Jack miał ciężką noc; musiał wszystko przemyśleć i zaplanować. Zamówił posiłek, ale prawie nie tknął dostarczonego jedzenia. Myśl o Sarze, samotnej i przerażonej, zamkniętej w księżym schowku - a był pewien, że właśnie tam ją przetrzymywano - przyprawiała go o utratę zmysłów. Czy spodziewała się, że przybędzie jej na ratunek? Miał taką nadzieję. Ale jeśli nawet na niego liczyła, skąd miała wiedzieć, że Jack wie o jej uwięzieniu?

Rzucał się niespokojnie w płytkim śnie i z ulgą przyjął świt, bo mógł wreszcie wstać i zacząć działać.

Archie spakował rzeczy i zaraz po śniadaniu wyruszyli na stację kolejową. W St Alban's Archie wynajął dorożkę, która miała ich zawieźć do Hoop Hall, a Jack w tym czasie wypytał bagażowych. Dowiedział się, że owszem, widziano wczoraj powóz lorda Fulmara, wczesnym przedpołudniem. Nie, nie było żadnej młodej kobiety, o ile im wiadomo, ale na dworcu panował duży ruch.

Jack wszedł do dorożki i wyruszyli do Holly Park.

Pani Midwinter była zaskoczona ich przybyciem, a kiedy dowiedziała się, po co przyjechali, przeraziła się nie na żarty.

- Lord Fulmar porwał pannę Beale! - krzyknęła. - To nie do wiary.

- A gdzie indziej mogłaby być, mam?

- Skąd ja mam wiedzieć, gdzie się podziewa ta nieszczęsna dziewczyna? Wiecznie są z nią jakieś kłopoty. A ty absolutnie nie powinieneś się wtrącać w cudze sprawy. - Pomyślała, że od czasu pojawienia się panny Beale, Jack całkowicie się zmienił. Pragnęła, żeby jej syn zainteresował się jakąś miłą dziewczyną, a nie kobietą, która mogła, lecz wcale nie musiała, być córką lorda Fulmara. Wszystko to było zbyt ryzykowne.

- Chcę, żebyś dopilnowała, by przygotowano pokój dla panny Beale, mam.

- Przygotować pokój! Czyś tu postradał rozum? Jak ci się zdaje, co na to powie lord Fulmar? Nasze nazwisko znajdzie się na językach w całym hrabstwie.

- Mam - zaczął Jack tonem, jakiego jeszcze nigdy u niego nie słyszała - chyba jestem panem u siebie w domu, prawda? - Szarpnął dzwonkiem i natychmiast pojawiła się pani Harding, ochmistrzyń. - Proszę bez zwłoki przygotować różowy pokój. Możliwe, że będziemy mieli gościa.

Pani Harding dygnęła popatrując raz na zaciętą twarz pani Midwinter, raz na Jacka, po czym wyszła pośpiesznie.

- Jadę się spotkać z Ulthorne'em. Zapewne wrócę na lunch, ale nie czekajcie na mnie. - I wyszedł.

Pani Midwinter usiadła ciężko na krześle. Drżała na całym cieple. Spędzała wiele czasu lamentując przed znajomymi nad kawalerskim stanem syna, ale prawda była taka, że nie do końca była z niego niezadowolona. Była panią wielkiej posiadłości i mogła nią zarządzać według swego gustu. Miała nadzieję, że jeśli Jack się wreszcie ożeni, wybierze sobie układną młodą dziewczynę, która pozwoli teściowej nadal decydować o wszystkich domowych sprawach. Nie dopuszczała wprawdzie myśli, że Jack mógłby być tak głupi, by poważnie traktować tę Beale, ale fakt, że z jej powodu gotów był przewrócić dom do góry nogami, wydał jej się niepokojącą zapowiedzią na przyszłość.

Myśl, że miałyby się przenieść do małego wdowiego domku, oddając Holly Park we władanie jakiejś innej kobiecie, była dla pani Midwinter nie do zniesienia.

Jack spóźnił się na lunch, a pani Midwinter zachowywała lodowate milczenie na temat panny Beale. Jack prawie tego nie zauważył. Przełknąwszy zimną jagnięcinę z sałatą, znowu wyszedł, zabierając ze sobą Archiego.

Schronili się w bibliotece, gdzie Jack wyjawiał kamerdynerowi wszystko, czego się zdołał dowiedzieć.

- Ulthorne twierdzi, że przyjechała wczoraj w porze lunchu. Mówi, że była w złym stanie. Ciągle się przewracała.

- Zapewne podali jej jakieś środki - wtrącił Archie.

- Tak, niech ich diabli. Najwyraźniej odmówiła zamieszkania w pokoju, który kazał dla niej przyszykować lord Fulmar. Została wciągnięta na górę i odtąd jej nie widziano.

- Wszystko wskazuje na księży schowek - zauważył Archie.
- No właśnie. Poprosiłem Saltera, żeby się ze mną spotkał. Zastanowię się, co robić, kiedy usłyszę, co ma do powiedzenia.

Jedna ze służących zastukała do drzwi.

- Przyszedł pan Salter. Chce się z panem widzieć - powiedziała przez uchylone drzwi.

- Dziękuję, Mary. Wprowadź go. A ty lepiej zostań, Archie.

Zaraz potem w progu stanął Salter, niezgrabnie ściskając w dłoniach czapkę. Był błydy ze strachu, więc Jack szybko wskazał mu krzesło. Salter usiadł z wdzięcznością.

- To paskudna sprawa, proszę pana - zaczął. - Nikomu ze służby się to nie podoba, a w całym domu takie zamieszanie, że by pan nie uwierzył. Pani Fulmar płacze i narzeka, ochmistrzydni gotowa wymówić służbę, a biedny Jebb dosłownie odchodzi od zmysłów ze zgrzyoty. Nie mogę pana wpuścić do domu. Lord Fulmar kazał pozamykać wszystkie drzwi i sam trzyma klucze.

- Nie potrzebuję wchodzić do domu - wyjaśnił Jack.

- Jak to? - zdumiał się Salter. - Przecież nie będzie pan latał?

- Niezupełnie - rzekł Jack z uśmiechem. - Jest tam dawny schowek dla księży, z którego jest wyjście na zewnątrz. Potrzebuję się dostać w pobliże domu, mniej więcej koło okna podręcznej spiżarni, o ile dobrze pamiętam. O której lord Fulmar kładzie się spać?

- Zwykle około wpół do jedenastej. Ale wczoraj dłużej był na nogach, prawie do północy. Widziałem światło w bibliotece z okna mojej chaty. Obawiam się, że on ostatnio nie zachowuje się całkiem normalnie.

- Nigdy nie zachowywał się normalnie - mruknął Archie.

- Chcę podejść do Hoop Hall od strony lasu, jakieś pół godziny po północy, może później. Potrzebuję, żeby tylna brama była otwarta. Nie chciałbym przechodzić górą, szczególnie jeśli będę w towarzystwie damy. Będą mi też potrzebne konie, ukryte gdzieś w pobliżu. Archie, ty weźmiesz Rubina, a ja pojedę na wielkim gniadoszu. Będę potrzebował tej starej dostawki do siodła. Jest tam jakieś miejsce, gdzie Archie mógłby czekać z końmi? - zwrócił się ponownie do Saltera. - Może ta stara chata na skraju lasu?

- Spalono ją, proszę pana. Może nada się obora na polu Upalonga?

- Przy stawie?

- Właśnie.

- Może być. - To było trochę dalej, niż chciał, ale w ostateczności musiało wystarczyć.

- Chyba... nie zjawi się pan z bronią, sir?

Jack parsknął śmiechem.

- Nie, mogę ci obiecać, że z mojej strony nie będzie żadnego gwałtu. Ale za Jego Lordowską Mość nie mogę ręczyć - dodał cierpko. - Sięgnął do kieszeni i wręczył Salterowi gwineę. - Kiedy panna Beale będzie już bezpieczna, dostaniesz drugą.

Salter z uszanowaniem dotknął czapki i wyszedł.

Wieczór minął spokojnie. Pani Midwinter nadal była nieco rozdrażniona, ale w końcu nastroj trochę jej się poprawił, gdy Jack uprzejmie spytał ją o ogród i jej działalność na rzecz wiejskiej szkoły. Nie wspominał o żadnej akcji ratunkowej, więc w panią Midwinter wstąpiła nadzieja, że po głębszym zastanowieniu dał sobie spokój z tą sprawą. Do niej także w ciągu dnia dotarły różne plotki, przyniesione przez służącą, która miała w Hoop Hall ukochanego. Niepodobna przecież,

by ta cała panna Beale odmówiła przyjęcia fortuny. W końcu ulegnie i cała wrzawa wokół niej przycichnie.

Pani Midwinter miała nadzieję, choć nie bardzo wierzyła, że nowa dziedziczka nie okaże się kobietą szczególnie pospolitą i prostacką. Wystarczająco godne ubolewania było już to, że jej syn w ogóle miał z nią coś wspólnego.

O dziesiątej podano herbatę, a o wpół do jedenastej cały dom, przynajmniej na pozór, pogrążył się we śnie.

Jack i Arenie, ukryci w bibliotece, nasłuchiwali, jak ochmistrzyni wygania służące do łóżek, a potem zamyka tylne wejście do domu.

- Zechce mi pan przedstawić swoje plany? - odezwał się Archie. Po raz pierwszy zwracał się do Jacka z uniżonym szacunkiem; to, że został wtajemniczony, bardzo mu pochlebiało.

- Oczywiście. Uważam za wielce prawdopodobne, że panna Beale jest przetrzymywana w dawnym schowku dla księży. Skoro została wprowadzona na strych, a potem zniknęła, to gdzież indziej mogłaby się podziać?

- A pan wie, jak ją stamtąd wydostać?

- Wzdłuż komina biegną tajemne schody. Nigdy nikomu o nich nie wspominałem, nawet Charliemu.

Archie z zatroskaną miną podrapał się po brodzie. Minęło wiele lat od tamtych czasów.

- Będzie pan w stanie je odnaleźć?

- Mam nadzieję. Tak się składa, że nadal mam klucz. Wziąłem go, kiedy odkryłem te schody i zatrzymałem do tej pory. Mam nadzieję, że będę w stanie go użyć po tylu latach.

- Lepiej wziąć ze sobą butelkę oliwy i ptasie pióro - poradził Archie. - I ostry nóż do cięcia bluszczu. I jakieś dłuto na

wypadek, gdyby klucz nie działał. I jeszcze latarnię z zaciemnieniem. - Przy każdym wymienionym przedmiocie twarz mu się wydłużała, przybierając coraz bardziej pesymistyczny wyraz.

- Wiem, wiem - przerwał mu Jack. - Ale co mi pozostaje?

Tuż po wpół do pierwszej w nocy Archie i Jack, ubrani na czarno, wyprowadzili ze stajni dwa konie. Znalazłszy się z dala od zabudowań, wskoczyli na siodła i zachowując się jak najciszej, ruszyli na wzgórze, żeby zatoczywszy pętlę znaleźć się na tyłach lasu otaczającego Hoop Hall. Większa część drogi wiodła przez posiadłość Midwinterów i dopiero w pobliżu obory nad stawem znaleźli się na ziemiach Fulmara.

Drzwi obory były otwarte, a trawa wokół przycięta. W środku znaleźli wodę dla koni i wiązkę siana w żłobie. Salter dobrze się spisał. Archie miał zostać w oborze z końmi.

- Życzę panu powodzenia - powiedział do Jacka, który sprawdził po kieszeniach, czy ma wszystko, czego potrzebuje i sięgnął po latarnię zaciemnioną z trzech stron.

- Nie wiem, kiedy wrócę - powiedział Jack. - Może już za godzinę, choć bardziej prawdopodobne, że za dwie lub trzy. Nie będę ryzykował.

- Będę tu czekał - zapewnił go ponuro Archie. Patrzył, jak jego pan przecina pole i znika pomiędzy drzewami, a potem zbliżył się do koni, żeby rozluźnić popręgi. Uznał, że rozsiedlanie byłoby zbyt ryzykowne; ściągnął tylko z gniadosza ciężką przystawkę, służącą jako dodatkowe siodło dla drugiego jeźdźca. Potem usiadł, skierował wzrok na las i czekał.

Las powitał Jacka mnóstwem dziwnych odgłosów; spłoszony borsuk pochrząkując uciekł mu spod nóg, mysz zaszleściła ściółką. Jack wolno posuwał się naprzód. Mógł trafić na

zastawione sidła, a poza tym nie chciał spłoszyć śpiącego ptactwa. Zahukała sowa, majestatycznie przecinając mu drogę. Minęło prawie pół godziny, nim wreszcie wynurzył się spośród drzew i ujrzał cel swej wyprawy.

Dom był pogrążony w ciemności. Po lewej stronie niewyraźnie widział zarys chaty Saltera. W niej także było ciemno, lecz Salter bez wątplenia czuwał. Jack przez kilka minut stał bez ruchu, nasłuchując odgłosów nocy.

Wreszcie uznał, że może bezpiecznie pójść dalej. Zawiasy drewnianej furtki zostały naoliwione przez niezawodnego Saltera i otwarły się bez najmniejszego hałasu. Jack zdażał chyłkiem w stronę domu i tylnej bramy w murze okalającym zabudowania. Za bramą rozciągało się terytorium wroga. Musiał przejść przez dziedziniec przed stajnią; miał nadzieję, że psy nie podniosą alarmu. Potem zostawała mu do przebycia zwirowa ścieżka i dziesięć jardów trawnika. Był to najtrudniejszy do pokonania, bo dobrze widoczny z domu odcinek trasy.

Psy na szczęście były cicho. Salter pewnie zadał im czegoś na sen, albo przynajmniej gdzieś je zamknął. Jack przystanął za niewielkim krzewem na skraju ścieżki, próbując ocenić swoje położenie. Odnalazł wzrokiem okno spiżarni. Zakradali się tam z Charliem, żeby podbierać cukrzone śliwki. Ukryte drzwi szerokości rozpostartych ramion znajdowały się po lewej stronie. Musiał pamiętać, że były mierzone ramionami dziecięciolatka. Wejście znajdowało się nisko, najwyżej jard nad ziemią. Ukrywany ksiądz musiałby się czołgać, żeby przez nie wejść lub wyjść.

Już miał ruszyć przed siebie, gdy usłyszał za plecami trzask łamanej gałązki. Zamarł.

- To tylko ja, proszę pana - uspokoił go ściszony głos.

- Wracaj do chaty, Salter - polecił Jack. - Nic tu po tobie.
- Jego Lordowska Mość jest dziś jakiś niespokojny - powiedział Salter. - Wychodził z domu jakiś czas temu. Był też na górze, w księżym schowku, około dziesiątej. Widziałem światło tam wysoko, przy kominie, jak pan mówił.
- Niech go diabli!- zaklął Jack. Spodziewał się czegoś podobnego. Fulmar umiał wyczuć kłopoty.
- Niech pan idzie. Jeśli lord Fulmar znowu wyjdzie, to go jakoś zagadam. Usłyszysz pan moje kroki na żwirze. A jemu powiem, że sprawdzam obejście.

Jack skinął głową na znak zgody i przeczłogał się przez trawnik. Zawiesił latarnię na wystającej gałęzi bluszczu i przystąpił do pracy. Znalezienie drzwi nie było aż tak trudne, jak się obawiał, zajęło mu tylko chwilę. Pozostawało pytanie, czy dadzą się równie łatwo otworzyć. Wyjął nóż i zaczął rozcinać gęste pnącze. Następnie piórem umoczoną w oliwie nasmarował zawiasy i zamek, całkowicie zalepione zastarzałą rdzą.

Wreszcie użył klucza. Bez skutku. Dodał więcej oliwy. Nadal bez efektu. Spróbował mocniej; zamek zaskrzypiał, klucz obrócił się do połowy i złamał mu się w palcach.

Przeklinając w duchu, Jack sięgnął do kieszeni po dłuto, wetknął je do zamka tak głęboko, jak tylko się dało i napał na nie z całej siły. Rozległ się głośny trzask i zamek ustąpił.

Z boku domu otwarło się jakieś okno. Jack widział Saltera, który wskazywał palcem w stronę biblioteki. Jack pokiwał głową. Zdjął z gałęzi latarnię, sprawdził narzędzia w kieszeni, po czym przykłęknął, otworzył drzwi i wśliznął się do środka. Drzwi nie zamknęły się za nim; przez calową szparę przeświecało słabe światło księżycy. Gdyby lord Fulmar wiedział

o istnieniu tych drzwi i przyszedł je sprawdzić, wszystko byłoby stracone.

Jack nic na to nie mógł poradzić.

Skupił uwagę na schodach. Kiedy poprzednio je widział, były w znacznie lepszym stanie. Niektóre stopnie zupełnie spróchniały od wilgoci; całość wyglądała bardzo niebezpiecznie. Czy Sara będzie w stanie po nich zejść? I czy on zdoła wejść na górę?

Sara obudziła się późno. Przez niewielkie okienko wpadała strużka przesyconego kurzem powietrza. Usiadła na posłaniu przerażona i rozejrzała się dokoła siebie. Była zamknięta. Prawdopodobnie już na zawsze. Pomieszczenie było obskurne, choć ściany nosiły ślady dawnego bielenia; tu i tam nadal trzymały się strzępki farby. Podczołgała się do dzbanka z wodą, żeby ugasić pragnienie. Była też przeraźliwie głodna, ale starała się o tym nie myśleć.

Znajdowała się w sytuacji tak absurdalnej, że z początku trudno jej było uwierzyć, że rzeczywiście się w niej znalazła. Można by pomyśleć, że wcieliła się w jedną z postaci melodramatów Colleya Cibbera. Wyobraziła sobie Angelinę, bohaterkę sztuki *Miłość to potęga*. Angelina bez wątplenia wygłaszałaby mowę, najchętniej białym wierszem, przygotowaną na pojawienie się nikczemnego prześladowcy. Ta myśl rozbawiła Sarę do tego stopnia, że aż zachichotała, i na szczęście podniosła ją nieco na duchu, bo była już niebezpiecznie blisko załamania.

A gdyby tak zgodziła się na wygodny pokój, który jej oferowano? Co wtedy? Czy naprawdę nie mogłaby się wówczas

jakoś wydostać z tego domu? Pamiętała, jak pani Midwinter mówiła, że ich posiadłość znajduje się w sąsiedztwie. Chyba mogłaby szukać tam schronienia? Nie wolno jej popadać w rozpacz. Przede wszystkim musi się dobrze zastanowić nad swoim położeniem... i osobą lorda Fulmara. Do tej pory odmawiała mu miejsca w swoich myślach, ale teraz nie było to możliwe. Dotychczasowa taktyka okazała się fiaskiem. Myśl o ustępstwie była jej wstrętą. Czy istniało jakieś inne wyjście?

Dzień dłużył się w nieskończoność. Nikt do niej nie zająztał. Chwilami słyszała jakieś słabe odgłosy dochodzące z odległego pomieszczenia strychu, lecz choć nawoływała, nikt nie odpowiedział. Dopiero wieczorem, kiedy zrobiło się całkiem ciemno, lord Fulmar pojawił się znowu.

Rozległy się ciężkie kroki, potem skrzywienie drewna i przez odsłonięty otwór w boazerii wpadło do jej kryjówki migoczące światło lampy.

Sara wypełzła do pokoju z bielizniarką. Zauważyła, że lord Fulmar jest wymizerowany, jakby źle spał. Miał oczy nabiegłe krwią i coś musiało mu dolegać, bo krzywiąc się opadł ciężko na krzesło z odłamany oparciem.

- I co, moja panno? Mam nadzieję, że nabrałaś rozumu? Sara posłała mu twarde spojrzenie.
- Czy moglibyśmy porozmawiać, milordzie? - spytała. Sprawiał wrażenie zaniepokojonego.
- Porozmawiać? A o czym niby mielibyśmy rozmawiać?
- Chciałabym się dowiedzieć prawdy o mojej matce.
- Dlaczego? Ona nie żyje.
- Kiedy panna Webster mnie znalazła - zaczęła Sara - był mroźny styczeń. Moja matka była w ostatnim stadium wycieńczenia, ale ja miałam się całkiem dobrze. Miałam osiem

miesiący i po prostu karmiła mnie lepiej niż samą siebie. - Lord Fulmar się nie odzywał, więc po krótkiej pauzie podjęła: - Chcę wiedzieć, jaka ona była. Jestem nią w połowie. - Była aż nadto świadoma, jak wygląda druga połowa.

- Wciąż czepiasz się Marii. Powiadam ci, że nie była tego warta.

- Dlaczego?

Lord Fulmar ciężko westchnął.

- Zatem dobrze. Ale nie spodoba ci się to, co powiem. Była śliczną dziewczyną, ubogą krewną Cranborne'ów, wychowaną przez lady Cranborne razem z jej własną córką Susan. Razem się kształciły. Maria była zawsze... jakby to powiedzieć... gotowa na wszystko. Oddała mi się bez wahania i nie miała nic przeciwko potajemnym schadzkom. Nie wiem, na co sobie pozwalała u Cranborne'ów - a musiał być z niej niezły numer - ale nie była już dziewicą, kiedy przyszła do mnie.

- Co?! Chce pan powiedzieć... Przecież miała zaledwie osiemnaście lat!

Lord Fulmar wybuchnął śmiechem.

- Jesteś naiwna, moja droga. Naprawdę wierzysz, że wszystkie młode dziewczyny są cnotliwe?

Sara pomyślała o Rose i natychmiast oblała się rumieńcem.

- Ale była gościem w pańskim domu - przypomniała. - Nawet jeśli była chętna, to powinno dawać jej pewną ochronę. Był pan od niej znacznie starszy.

Lord Fulmar przyjął ostatnią uwagę wzruszeniem ramion.

- Pragnąłem jej.

- Mam listy, które pan do niej pisał - powiedziała Sara, - Obiecywał jej pan małżeństwo. Przynajmniej ja tak to odczytałam.

- Mężczyzna jest gotów obiecać wszystko, żeby zaciągnąć kobietę do łóżka.

Sara opuściła wzrok na swoje dłonie. Zastanawiała się, czy i Jack byłby do tego zdolny. Myśl była bolesna.

- Biedna, biedna dziewczyna - powiedziała cicho. - Szkoda, że tak się to wszystko potoczyło.

- W istocie - nieoczekiwanie przyznał lord Fulmar. - Może szkoda. Może powinienem był się z nią ożenić. Nie wiem. Szczerze mówiąc, nie uwierzyłem jej, kiedy napisała mi, że spodziewa się dziecka. Zachowywała się histerycznie.

- Rozumiem - szepnęła Sara.

- Pomyślałem wówczas, że gdyby rzeczywiście tak było, napisałyby do Cranborae'ów.

- W jej rzeczach nie było niczego od osób o tym nazwisku - powiedziała Sara.

- Nie wybaczyłaś mi tego wszystkiego, prawda?

- Nie może pan wiedzieć, jak to jest być znajda! - wybuchnęła Sara. - Doznałam miłości i troski od panny Webster, ale nie od żadnego z moich krewnych. Ciężko jest stracić matkę, zwłaszcza jeśli tak niewiele trzeba było, żeby ją uratować. Była taka młoda. Jak mogę wybaczyć?

- Wiesz, w tobie jest coś z twojej matki - powiedział lord Fulmar z namysłem. - Nie jesteś taka jak mój syn Arthur. Masz podobny do niej, szczególnie sposób mówienia. Zupełnie ją już zapomniałem.

Zapadła cisza. Jakby żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć. Wreszcie lord Fulmar odezwał się pierwszy.

- Kazałem Foxtonowi, żeby odszukał krewnych Marii. Może będziesz się tu lepiej czuła, poznawszy niektórych krewnych swojej matki.

- Cóż, dziękuję, milordzie. - Sara nie potrafiła stłumić isierki wdzięczności. Nie mogła też nie zauważyć, że jej obecność w Hoop Hall została uznana za coś oczywistego. - Dał mi pan wiele do myślenia. Gdyby pan w swej dobroci zapewnił mi jeszcze coś do jedzenia, byłabym szczerze zobowiązana.

- Nie tak prędko, panienko - rzekł lord Fulmar, podnosząc się z krzesła. - Zostaniesz nakarmiona, kiedy przyjdzie pora. Jutro rano przeprosisz panią Fulmar za swoją nieuprzejmość, a ja rozważę, czy zostaniesz wpuszczona do jadalni.

To przejście od zrozumienia do brutalności było tak nieoczekiwane, że Sara na moment zaniemówiła.

- W takim razie życzę panu dobrej nocy, milordzie - powiedziała wreszcie. Następnie wczłogała się do schowka i sama zatrasnęła za sobą drzwiczki.



Sara już zapadała w sen, gdy usłyszała dziwne hałasy. Z bijącym sercem usiadła na pościeli. Odgłosy dochodziły od tyłu, z miejsca, gdzie wznosił się komin. Szczury! Nienawidziła szczurów, ale ten odgłos brzmiał inaczej, nie były to zwierzęce piski. Po jakimś czasie, wyżej słuch w ciemności, usłyszała ciche stukanie. Ostrożnie zbliżyła się na czworakach do komina i też zastukała. Jeszcze jedno chrobotanie, dźwięk odsuwanej płyty i słabe światło lampy.

- Sara?

Wydała z siebie westchnienie ulgi.

- Pan Midwinter!

Jack wsunął się do środka. Był brudny i opleciony pajęczynami, ale w oczach Sary wyglądał jak sam Archanioł Gabriel. Wyciągnęła ku niemu ramiona i wybuchnęła płaczem. Jack objął ją mocno.

- Tak mi przykro, tak mi przykro - chlipała.

Jack pocałował ją w czubek głowy.

- Już dobrze. - Odsunął ją od siebie delikatnie. - Saro, musimy się stąd wydostać.

Sara wyprostowała się i głośno wytarła nos.

- Nie masz przypadkiem ze sobą czegoś do jedzenia? - spytała płacząco.

- Co?! Czyżby cię głodził?

Przytaknęła kiwnięciem głowy.

- Przepraszam, nie wziąłem tego pod uwagę. Masz dość siły, żeby pójść ze mną? Schody są niebezpieczne.

- Nic mnie nie powstrzyma.

Schodzenie na dół było prawdziwym koszmarem. Schody prowadziły od szczytu domu na samą ziemię, były strome i wąskie. Parę razy Sara się potknęła, podrapała sobie kolano i utknęła stopą w przegniłej desce, ale w końcu udało im się zejść.

- To było łatwe - powiedział Jack. On także doznał urazów i zadrapań.

Kilka najniższych stopni było we względnie dobrym stanie; Sara przysiadła na trzecim od dołu. Miała pajęczyny we włosach, ale nawet jej nie przeszkadzały. Pomyślała, że i tak musi być brudna. Pewnie nosiła jeszcze na sobie ślady sadzy z pociągu. Czyżby to się stało zaledwie wczoraj? Nie, raczej dzień wcześniej.

Jack przykleknął i ostrożnie, cal po calu, uchylił drzwi. Usłyszał, że na zewnątrz zerwała się wichura. Pomyślał, że to nawet dobrze, bo nie będzie ich słychać. Już miał otworzyć drzwi szerzej, gdy niecałe trzy jardy przed sobą ujrzał masywne nogi lorda Fulmara, który ze strzelbą w dłoni przechadzał się tam i z powrotem.

- Ktoś tam jest! - zawołał. - Salter! Gdzie on się, u licha, podziewa? Salter!

- Tu jestem, milordzie.

- Obejdź dom od frontu. Ja zostanę tutaj. Zostaw mi latarnię.

Jack słyszał chrzęst żwiru pod stopami odchodzącego Saltera. Obejrzał się, by sprawdzić, czy i Sara to słyszała. Odwrócił swoją latarnię do ściany, tak że dawała tylko słabą poświatę. Zdołał jednak ujrzeć pobladłą twarz Sary.

- Zostaniemy tu jakiś czas - szepnęła.

Sara pokiwała głową na znak, że rozumie. Ona także dobrze znała upór lorda Fulmara. Jack usiadł obok niej. Zanosilo się na długie oczekiwanie. Można było przypuszczać, że Fulmar pozostanie na straży przez całą noc. Gdyby nie miał broni, Jack mógłby zaryzykować; w walce wręcz byłby pewnym zwycięzcą. Jednakże z powodu strzelby nie mieli innego wyjścia, jak pozostać na miejscu.

- Myślisz, że on wie o tych schodach? - szepnęła mu Sara wprost do ucha.

- Wątpię. Inaczej by tu zajrzał. Odkryłem je zupełnie przypadkowo jako chłopiec. Nigdy nikomu o nich nie mówiłem, nawet Charliemu.

- Co się stało z Charliem?

Wszystko wskazywało na to, że nadeszła noc zwierzeń. Rozmawiali tak cicho, że musieli się do siebie przysunąć, by cokolwiek słyszeć. Sara opowiedziała o wydarzeniach ostatnich dwóch dni. Co jakiś czas Jack podchodził do drzwi, uchylał je i wyglądał na zewnątrz. Lord Fulmar przeniósł się nieco dalej, ale nie opuszczał posterunku.

Nagle, nawet nie wiedząc, jak do tego doszło, już nie tylko rozmawiali, ale też zaczęli się całować.

- Twoje włosy mnie łaskoczą - szepnęła Sara.

- Przepraszam. - Jack wyciągnął rękę, żeby przygłodzić

zmierzwną czuprynę, lecz natrafił dłonią na policzek Sary. Pogładził go delikatnie.

- Na pewno jestem wymazana sadzą z pociągu - szepnęła.

- I tak nie widzę, więc to bez znaczenia. - Pocałował ją miękko.

- Masz kłujący zarost.

Odnalazł w ciemności jej usta.

- Mhm.

Nowe zajęcie tak ich pochłoneło, że nie liczyli czasu. Jack całował niespiesznie jej usta i powieki. Odkrywał właśnie cudownie miękką skórę poniżej ucha, gdy nagle rozległ się huk wystrzału.

Odskoczyli od siebie gwałtownie.

- Mam go! Cholerny lis. Chciał się dobrać do kur, łobuz.

Usłyszeli chrzęst żwiru i zaraz potem głos Saltera.

- Prosto w łeb, milordzie. - Najwyraźniej podniósł martwe zwierzę.

- Niezły strzał, co?

- W istocie, milordzie. Ostatecznie zawsze był pan jednym z najlepszych strzelców w hrabstwie.

Lord Fulmar zachichotał z zadowoleniem.

- Co prawda, to prawda - mruknął. - Jeśli w okolicy był jakiś kłusownik, to go musiałem odstrążyć.

Kroki się oddaliły, a po pewnym czasie usłyszeli odgłos zamykanych drzwi koło biblioteki. Zaraz potem rozległy się inne dźwięki: otwieranych okien i głosów, wypytujących nawzajem, co się stało. Czekali dalej.

- Chyba możemy zaryzykować - zdecydował w końcu Jack.

Ostrożnie otworzył drzwi. Znowu panowała cisza. Opadł na kolana i wypełził na zewnątrz. Sara poszła w jego ślady. Noc

była jasna; choć księżyc miał postać wąskiego sierpa, gwiazdy wystarczająco rozświetlały mrok. Jack zgasił latarnię, chwycił Sarę za rękę i pociągnął ją biegiem w stronę placu przed stajnią. Dopiero kiedy znaleźli się w bezpiecznym cieniu pod ścianą stajni, przystanął i rozejrzał się po otoczeniu. Nadal panowała cisza.

Na szczęście tylna brama wciąż była otwarta. Przeszli przez nią i wkrótce znaleźli się w lesie. Jack jeszcze raz się obejrzał.

- O mój Boże!
- Co się stało?
- On tam jest, w księżym schowku! - Wskazał migoczące światełko wysoko przy kominie.

Ponownie zapalił latarnię.

- Nie mamy czasu do stracenia. Musimy iść tak szybko, jak to możliwe.

- Chyba mogłabym pobiec.
- Nie - powstrzymał ją Jack. - Starajmy się nie spłoszyć gawronów. Od razu by zdradziły, gdzie się znajdujemy.

Następne minuty były dla Sary prawdziwą mordęgą. Była słaba, nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Kilka razy Jack musiał ją podnosić z ziemi. Czuła bolesne klucie w boku.

Nagle doszło ich z oddali ujadanie psa.

- Do licha - zaklął Jack. - To musi być ten jego stary wyżeł.
- Może nas wytropić?
- Owszem - mruknął ponuro Jack. Byli już niemal na skraju lasu. Przyśpieszyli kroku. Wreszcie Jack dojrzał oborę na zboczu wzgórza. Przyłożył dłonie do ust i wydał dźwięk przypominający hukanie sowy.

Z obory wychynęła jakaś postać. Jack pomachał jej ręką.

- To Archie - wyjaśnił Sarze szeptem. - Osiodła konie.

Znaleźli się na odkrytej przestrzeni i ruszyli biegiem po zboczu; Jack na wpół niósł, na wpół ciągnął za sobą Sarę.

Usłyszeli za sobą trzaski, a potem okrzyk:

- Strzelaj, Salter, strzelaj!

Kula ze świstem przeleciała nad ich głowami.

- Daj mi broń!

W oborze Archie pośpiesznie dociągał popręgi i próbował umocować przystawkę do siodła na grzbiecie konia, który wierzął, usiłując się pozbyć dodatkowego ciężaru.

- Już dobrze, mały - uspokajał zwierzę Arenie.

Wyprowadził konia w chwili, gdy Jack z Sarą dotarli przed oborę.

- Tutaj! - zawołał Jack. Podniósł Sarę i posadził na dostawce siodła. - Umiesz jeździć konno?

- Nie!
- Siądź okrakiem, będziesz się czuła pewniej.

Sara jakoś zdołała podwinąć spódnicę.

Jack wskoczył za nią na siodło i wymacał stopami strzemiona.

- Wsuń stopy w paski strzemion. - Pokazał jej, jak ma to zrobić.

Arenie dosiadł Rubina.

Nagle zagrzmiał kolejny strzał i Jack krzyknął. Koń zarżał dziko i stanął dęba. Sara z całej siły chwyciła się grzywy.

- Trafił mnie, do licha! Niech się dzieje, co chce, musimy uciekać. Saro, trzymaj się! - Ścisnęła konia piętami.

Sara spojrzała w dół. Zobaczyła umykającą spod kopyt ziemię i cień konia z dwoma jeźdźcami na grzbiecie; ich sylwetki wydawały się dziwnie niebieskie i płaskie na oświetlonej przez gwiazdy trawie. Miała serce w gardle; pędzili tak szybko, że w razie utraty równowagi i upadku niechybnie

skręciłaby kark. Była przerażona, lecz równocześnie ten niezwykły galop pod gwiazdami wprawiał ją w dziwne uniesienie.

Świsnęła jeszcze jedna kula, ale byli już poza zasięgiem strzału. Wkrótce strzelanina ustała.

Około trzeciej nad ranem obudził panią Midwinter stukot końskich kopyt na dziedzińcu przed stajnią. Potem nastąpiły krzyki i nawoływania, aż jeden z zaspanych stajennych zszedł ze swojej klitki nad stajnią.

Pani Midwinter wstała, zapaliła lampę na stoliku przy łóżku, włożyła szlafrok i zeszła na dół. Ochmistrzyni, pani Harding, także schodziła już po schodach. Równocześnie dotarły do tylnych drzwi, gdzie spotkały Jacka, Sarę i Archiego. Archie podtrzymał swego pana; krew gęsto kapała na podłogę.

Jack opadł na kuchenne krzesło.

- Przepraszam za ten bałagan, mammo.

- Jack! Coś ty, u licha, robił? - Spojrzała na Sarę, brudną, w pomiętym kapeluszu i uszarganej spódnicy. Cóż z niej za kobieta - pomyślała cierpko pani Midwinter - skoro potrafiła się doprowadzić do takiego stanu?

Archie rozcinał surdut na Jacku.

- To jest panna Beale, mammo. Nie jadła od dwóch dni, a ja zostałem postrzelony przez lorda Fulmara.

Sara przysiadła na stołku i zamknęła oczy. Wszyscy skupili się wokół Jacka. Słyszała brzęk nożyczek tnących ubranie, trzask płótna dartego na bandaż. Ogarnęła ją przemożna słabość z głodu i nadmiaru wrażeń. Archie próbował wyjaśniać sytuację, a Sarze coraz bardziej kręciło się w głowie.

Jack odwrócił się, żeby na nią spojrzeć i zobaczył, że się zachwiała.

- Na litość boską, mammo! - krzyknął - Mniejsza o mnie. Zajmij się panną Beale.

- Mogę poczekać - zaproponowała słabo Sara.

- Dajcie jej przynajmniej coś do jedzenia.

- Pani Harding, proszę przynieść pannie Beale kromkę chleba z masłem - zarządziła pani Midwinter. Nadal nie odstępowała syna.

Pojawiły się dwie służące; pani Harding natychmiast kazała im zagotować wody. Nerwowe poruszenie powoli ustępowało miejsca zorganizowanym działaniom. Osobista pokojówka pani Midwinter przysłała, żeby zająć się Sarą. Słyszała od swego ukochanego o niezwykłych wydarzeniach w Hoop Hall i była zachwycona, że może na własne oczy zobaczyć pannę Beale. Cóż to będą za powieści!

- Oddałabym wszystko za kąpiel - szepnęła Sara.

- Będzie ją pani miała. Zaniose balię do pani pokoju. A pani Harding przygotowuje nocną koszulę. Zjadłaby pani trochę zupy?

Sara przytaknęła skwapliwie i pół godziny później, nakarmiona chlebem i zupą, wykąpana, z wyszczotkowanymi włosami kładła się do łóżka.

Na dole Jack nadal wyrzekał na prześladowającego go pecha.

- Na szczęście jest powierzchowna, dzięki Bogu - stwierdził, przyglądając się ranie. Nie mógł znieść myśli, że trzeba będzie wezwać lekarza do wyjęcia kuli. Doktor Abbot uchodził za człowieka niezbyt dyskretnego. Bez jego udziału całą przygodę można było utrzymać w tajemnicy.

- Trochę odkażającego proszku, mammo, powinno wystarczyć. Archie, przygotuj mi kąpiel.

- Tak, proszę pana.
 - Czy u panny Beale wszystko w porządku, mamó?
 - Nie zwracaj sobie teraz głowy panną Beale - powiedziała cierpko pani Midwinter. - Rano ustalimy, co z nią zrobić.
 Jack zmarszczył brwi, lecz stan umysłu nie pozwalał mu głębiej się zastanowić. Dał się odprowadzić na górę.

Sara zapadła w ciężki sen, ale już po paru godzinach zaczęły ją męczyć koszmary. Śniła, że wciąż znajduje się w kieżym schowku. Woda z dzbanka się wylała, a lord Fulmar zostawił ją i gdzieś odszedł. Czekwała ją powolna śmierć z głodu i pragnienia. Sen był tak wyraźny, że krzyknęła głośno z przerażenia, ale nie mogła się obudzić.

Pani Harding szeleszcząc koszulą weszła do jej pokoju z zapaloną świecą w dłoni.

- Nie zamykaj mnie! - jęczała Sara.

Ochmistrzyni potrzęsnęła nią lekko.

- Proszę się obudzić, panienko. Niech się panienka obudzi.

Sara ocknęła się gwałtownie; usiadła na łóżku, rozglądając się wokół nieprzytomnym wzrokiem.

- Już dobrze, panienko. Proszę się napić wody. To tylko paskudny sen. - Poklepała Sarę uspokajająco. Czuła napięcie i lęk, które zdawały się wypełniać cały pokój. Biedna dziewczyna, pomyślała, patrząc na łkającą żałośnie Sarę, cóż za straszne przeżycia musi mieć za sobą. I jest taka dzielna.

Przesiedziała z Sarą dłuższą chwilę.

- Powinna pani spróbować znowu zasnąć - powiedziała wreszcie łagodnie. - Zostawię zapaloną lampę, żeby pani było raźniej.

~ Dziękuję, pani Harding. Czuję się już znacznie lepiej. Przykro mi, że panią obudziłam, zwłaszcza że i tak miała pani niespokojną noc.

- Nic nie szkodzi, panienko. Proszę spać, a gdyby pani czegoś potrzebowała, wystarczy pociągnąć za sznurek dzwonka.

Sara zasnęła na długo. Było prawie południe, gdy pani Harding przyniosła jej do łóżka gorącą czekoladę i bułeczki z marmoladą. Było też kilka podsmażonych na maśle gruszek na ślicznym talerzyku z chińskiej porcelany. Po chwili weszła służąca z ubraniami Sary, które zostały wyprane i wyprasowane, oraz wypolerowanymi do połysku butami.

Sara usiadła na pościeli i z zachwytem wdychała aromat czekolady. Wydał jej się doprawdy cudowny.

- Pyszności! - powiedziała z wdzięcznością. - Przykro mi, że w nocy sprawiłam pani tyle kłopotu. - Spojrzała na swoje ubrania. - Wielkie nieba! Jak tego dokonałaś?

Służąca odpowiedziała uśmiechem.

- Pracowałyśmy nad nimi przez cały ranek, panienko. Obawiam się jednak, że kapelusza nie da się już naprawić.

Sara podziękowała i spytała o pana Midwintera.

- Nic poważnego, Bogu niech będą dzięki - zapewniła ją pani Harding. - Rana była powierzchowna i została starannie opatrzona. Przespał spokojnie całą noc i wkrótce będzie zdrow jak ryba.

- Jeśli zechce pani zadzwonić, jak będzie gotowa, któraś ze służących pomoże pani zejść na dół do salonu.

Ochmistrzyni z pokojówką wyszły. Schodząc po schodach, pani Harding zauważyła:

- Panna Beale ma doskonałe maniery. Nie zapomniła nam

podziękować, a niejedna na jej miejscu uznałaby to jedynie za nasz obowiązek.

- Ale pani Midwinter nie wygląda na zadowoloną z jej obecności tutaj - powiedziała służąca, trochę skrepowana własną śmiałością.

- Była trzecia nad ranem - ucięła pani Harding z przysięgą; nie miała w zwyczaju tolerować plotek. - Każdemu można wybaczyć zdenerwowanie o takiej porze. Nie wątpię, że pani Midwinter uczyni zadość wszelkim wymogom gościnności wobec panny Beale. - W głębi duszy musiała jednak przyznać, że jej pani istotnie nie była zachwycona. Nie powiedziała tego pokojówce, lecz według niej to pani Midwinter powinna była w nocy przyjść z pociechą gościowi, męczonemu przez nocne koszmary. Nie żałowała pannie Beale, biednej dziewczynie, swego czasu, ale byłoby taktowniej, gdyby na jej miejscu znalazła się pani Midwinter.

Służąca odęła wargi. Już tam ona wiedziała swoje. Pani Midwinter nie podobało się, że jej syn darzy względami pannę Beale i wszyscy mogli się o tym przekonać na własne oczy.

Ledwie Sara przekroczyła próg salonu, pani Midwinter wiedziała, że jej nie polubi. Wyobrażała sobie, że panna Beale musi być bardziej pospolitą wersją swojej matki, spodziewała się więc drobnej blondynki, jaką była Maria Beale, zawdzięczającej więcej środkom upiększającym niż naturze. A i maniery musiała mieć odpowiednie dla kogoś, kto się wychował w czynszowej kamienicy.

No i te okropne krzyki. Już i tak sprawiła dość kłopotu swym

pojawieniem się w środku nocy, więc chyba nie oczekiwała, że pani Midwinter ponownie wstanie i będzie jej doglądać?

Widok wysokiej, ciemnowłosej młodej kobiety, nieskazitelnie eleganckiej, był dla matki Jacka całkowitym i nieprzyjemnym zaskoczeniem. Jej nieproszony gość wcale nie był byle kim. Suknia panny Beale miała gustowny krój, a jej manierom nie można było nic zarzucić - zadbała o stosowne przeprosiny. Bez wątplenia musiała być córką lorda Fulmara.

Pani Midwinter spojrzała na syna, który poderwał się na powitanie Sary. Spytał ją grzecznie, czy dobrze spała i czy doszła do siebie po strasznych przeżyciach. W samym pytaniu nie było nic, co by wykraczało poza zwyczajową uprzejmość, ale ciepło w jego głosie i spojrzeniu wprawiło panią Midwinter w dziwny niepokój.

- Wciąż jest pani błąda, panno Beale - zauważył. - Musi pani tu zostać przez parę dni i wypocząć.

Sara podziękowała za troskę; nie uszło jej uwagi, że matka nie potwierdziła zaproszenia.

- Muszę wracać do domu - powiedziała. - Wszyscy będą się o mnie martwić. Poza tym muszę wracać do pracy.

- Do pracy! - powtórzyła ze zgrozą pani Midwinter. Która szanująca się kobieta pozwalała sobie na pracę? - Proszę wybaczyć, czym się pani zajmuje, panno Beale?

- Pracuję w teatrze, pani Midwinter.

- W teatrze! - Ton zdradzał, że wprost trudno jej uwierzyć własnym uszom. - Jest pani aktorką? - Jak jej syn śmiał sprowadzić aktorkę do tego domu? Chyba postradał rozum.

- Projektuję kostiumy, no i szyję je, oczywiście.

- Jest pani zatem krawcową! - Trochę lepiej niż aktorka, choć w gruncie rzeczy niewiele to zmieniało.

Sara spojrzała na Jacka. Było jasne, że nie przyznał się matce do swojego zaangażowania w teatrze. Co by pomyślała, gdyby się dowiedziała, że jej syn występuje na scenie? Nie mówiąc już o pomocy w stolarni i przy dekoracjach. Uśmiechnęła się bezwiednie, wyobrażając sobie przerażenie tej nobliwej damy.

- Jutro odwiozę panią do domu, panno Beale - zaproponował Jack.

- Jack! - wtrąciła się jego matka. - Jestem pewna, że panna Beale mi wybaczy, jeśli powiem, że nie powinieneś nigdzie podróżować z chorym ramieniem. Wyślę z nią jedną z pokojówek, choć właściwie nie ma takiej potrzeby, bo byłoby jej całkiem wygodnie w wagonie dla pań.

- Dość tego. Ja zawiozę pannę Beale do domu. Nie ma mowy, bym pozwolił jej podróżować bez odpowiedniej męskiej eskorty po tym, co przeszła w ostatnich dniach.

- Zasięgnę porady doktora Abbota - oznajmiła sucho pani Midwinter.

Sara przysłuchiwała się rozmowie z coraz większym zaangażowaniem. Nie ulegało wątpliwości, że pani Midwinter bardzo jej nie lubiła i chciała ją odseparować od swego syna. Jak powinna się zachować? Uprzec się, że pojedzie sama? Wcale tego nie chciała, bo nadal była przerażona. Na myśl, że lord Fulmar znów mógłby ją pojmać, strach ścisnął jej serce.

- Niczego takiego nie zrobisz. Doktor Abbot jest teraz w Hoop Hall. Lord Fulmar miał rano lekki wylew... Archie dowiedział się o tym od Ulthorne'a.

Sara pobladała.

- Będzie żył? - Przypomniała sobie zaskakująco szczerą rozmowę w pomieszczeniu na strychu. Nie chciała jego śmierci.

Jego zachowanie było wprawdzie niegodziwe, ale Sara nie czuła już do lorda Fulmara dawnej nienawiści.

- Sądzę, że tak. Jest niezwykle silny. Ma sparaliżowaną prawą stronę ciała, więc nie będzie już nikogo porywał ani do nikogo strzelał.

- Co spowodowało chorobę? - spytała pani Midwinter.

- Wściekłość, że nie może postawić na swoim - odparł Jack.

- Prawie mi go żal - wyznała Sara cicho. - Ja też mam gwałtowny charakter i tylko cioci Hetty zawdzięczam, że nauczyła mnie panowania nad sobą.

- Pani wierzy w możliwość panowania nad własnymi uczuciami, prawda, panno Beale? - Ciepły ton głosu Jacka wzbudził czujność u jego matki i zakłopotanie u Sary.

- Oczywiście - powiedziała Sara, oblewając się rumieńcem.

- Cudownie - rzekł Jack, śmiejąc się oczyma.

Sara z ulgą wróciła na Myddleton Square. Popołudnie w Holly Park nie należało do przyjemnych. Pani Midwinter pilnie baczyła, by ani na chwilę nie zostawić gościa sam na sam ze swoim synem. I choć zachowywała się uprzedzająco grzecznie, Sara miała świadomość, że jej towarzystwo jest niepożądane.

Rozmowa była sztuczna i wymuszona. Pani Midwinter wykorzystywała niemal każdy poruszony temat, by dać Sarze odczuć, że jest w jej domu intruzem. Sara z ulgą udała się na spoczynek, gdy tylko uprzejmość pozwoliła jej się oddalić. Odkryła, że popołudnie spędzone na wymianie pustych grzeczności z Midwinterami zmęczyło ją nie mniej niż dramatyczne przeżycia dwóch poprzednich dni.

Tego wieczoru, rozbierając się do snu, usłyszała podniesione głosy na dole. Pani Midwinter otwarcie dawała wyraz swemu niezadowoleniu; Sara miała ściskającą serce świadomość, że to ona jest przyczyną nieporozumienia pomiędzy matką i synem.

Sara, Archie i Jack złapali poranny pociąg do Londynu, co przynajmniej Sarze sprawiło nieopisaną ulgę.

Już w domu, wyściskana i wycelowana przez wszystkich pośród okrzyków radości, usiadła przy biurku. Napisała list do pana Phelps'a, powiadamiając go, że wróci do pracy w poniedziałek, i drugi do panny Bailey, która z pewnością musiała się o nią zamartwiać, po czym natychmiast poprosiła Leah, by zaniósła je do teatru. Następnie napisała stosowne podziękowania do pani Midwinter.

Ledwie skończyła pisanie - a list do pani Midwinter sprawił jej największą trudność - kiedy zjawiła się panna Bailey wprowadzona przez wciąż zapłakaną Polly.

- Proszę, wybac mi, droga Saro, że przychodzę nie zapowiedziana, ale tak się o ciebie bałam. Chciałam na własne oczy sprawdzić, czy jesteś cała i zdrowa.

Sara poderwała się z miejsca; padły sobie w ramiona.

- Tak się cieszę, że panią widzę! - I była to prawda. Panna Bailey uosabiała to wszystko, co było dobre, prawdziwe i ważne w życiu Sary. - Proszę usiąść. Obawiam się, że kiedy pani usłyszy o moich przygodach, uzna je za niedorzeczne i melodramatyczne.

- Moja droga Saro, życie jest melodramatyczne. Nie dalek jak przedwczoraj natrafiłam w „The Times” na artykuł o pewnej pannie D., czternastoletniej, wyobraź sobie, która opuściła bezpieczny dom rodziców i uciekła z lokajem!

Sara wybuchnęła śmiechem. Następnie, odpowiednio dobie-

rając słowa, opowiedziała swoją historię, wspominając udział, jaki miał w niej lord Fulmar.

Panna Bailey słuchała uważnie. Niektóre fakty były jej już znane, ponieważ wcześniej słyszała o najmłodszych latach Sary od panny Valloton.

- Tam, gdzie w grę wchodzi pieniądze i posiadłości, ludzie są zdolni do wszystkiego - powiedziała, gdy Sara skończyła. - Choć zwykle od nich nie uciekają, jak ty to zrobiłaś!

- Źle mnie pani zrozumiała - powiedziała Sara wolno, bo dopiero co sama doszła do takiego wniosku. - Nie uciekłam z posiadłości lorda Fulmara, tylko przed tyranią lorda Fulmara. Czytała pani tę dziwną książkę zatytułowaną *Wampir Varney*?

Panna Bailey pokręciła głową.

- Pan Copperstone bardzo ją lubił; pożyczyłam ją od niego. Tytułowy łotr, sir Francis Varney, atakuje główną bohaterkę Florę w nocy i próbuje wysać jej krew. Czułam się jak Flora, jakby lord Fulmar próbował mnie zmienić w istotę zależną od siebie i odebrać mi duszę.

- Jesteśmy w szczęśliwym położeniu, ty i ja - zauważyła panna Bailey po chwili zadumy. - Do pewnego stopnia same kierujemy swoim życiem. Niewiele kobiet to robi.

- Owszem - przyznała Sara obojętnie. Rzeczywiście tak było, ale płynące z tego korzyści, choć realne, były ograniczone. Miała pracę, którą lubiła, bezpieczny dom, ale co z potrzebami serca?

Nie wszystko miało wrócić do poprzedniego stanu. Na przykład jej stosunki z Jackiem. Dopiero teraz, po wizycie w Holly Park, gdy zobaczyła ogromny dom z elegancką georgiańską fasadą, zastępami służby, stajniami i rozległymi zabudowaniami, po porannej jeździe przez park pełen zwierzyny

i wiekowych drzew, uświadomiła sobie w pełni, jak głęboka przepaść ich dzieli.

- Zmęczyłam cię - powiedziała panna Bailey ze skruchą, zbierając się do wyjścia. - Wybacz mi, moja droga. Wypocznij dobrze, zobaczymy się w poniedziałek.

Po jej wyjściu Sara znów pogrążyła się w rozmyślaniach. Jack mógł sobie mówić, że nie interesuje go posiadłość, lecz dla Sary rzecz wyglądała zupełnie inaczej. Widząc go w jego rodzinnym otoczeniu, zdała sobie sprawę, jak bardzo tam pasuje. Zatrudnił się w Sadler's Wells tylko dlatego, że czuł się odpowiedzialny za jej bezpieczeństwo. Jeśli stan zdrowia lorda Fulmara uczyni go trwale niedołącznym, nie będzie stanowiął dla niej żadnego zagrożenia. Pan Midwinter mógłby wówczas natychmiast opuścić teatr i nie miałby żadnych powodów do kłótni z matką. Zresztą niedomagania pana Frosta ustępowały zgodnie z przewidywaniami i zapewne wkrótce powróci na scenę.

Otarła zbłąkaną łzę.

Uważała dotąd, że pozwalanie sobie na miłosne zauroczenie jest zachcianką niegodną trzeźwo myślącej kobiety. Teraz z bólem odkryła, że się myliła. Zakochała się w Jacku wbrew rozsądkowi i z pewnością wbrew swoim interesom.

Bo i cóż mogło z tego wyniknąć? Nic. Nie spodziewała się z jego strony obraźliwej propozycji, by została jego kochanką, a z pewnością nie było mowy o tym, by ją poślubił. Panowie z towarzystwa nie żenili się z kobietami o jej pozycji społecznej, nawet jeśli była córką lorda Fulmara.

Sara czytała *Dom na pustkowiu* Dickensa, którego ostatni odcinek dopiero co ukazał się w druku. Szczególnie przypadła jej do serca główna bohaterka, Esther Summerson, tak jak ona

pochodząca z nieprawego łoża. Mimo iż Esther była córką lady Dedlock, Dickens pozwolił jej poślubić jedynie doktora, który, choć utalentowany i zacny, miał niski status społeczny. Sarze dało to wiele do myślenia.

Życie w Hoop Hall zaczynało się toczyć spokojniejszym rytmem. Wszyscy wiedzieli, że panna Beale uciekła, ale skąd i jak, nadal pozostawało tajemnicą. Ochmistrz wspominał o głosach słyszanych za domem. Była też strzelanina, ale nikt dokładnie nie wiedział, co się stało. Salter, opłacony dwiema gwineami przez Jacka, nie puszczał pary z ust. Oznajmił tylko, że zastrzelono lisa i nawet przybił jego ogon do drzwi szopy jako dowód.

Lekarz przychodził i odchodził, pani Fulmar krzątała się podsuwając choremu kleiki, z którymi nieomiennie kazał jej się wynosić precz. Stopniowo wszystko wracało do normy. Lord Fulmar stał się spokojniejszy, przez większość czasu sprawiał wrażenie pogrążonego w rozmyślaniach. Paraliż prawej strony ciała powoli ustępował, lecz pozostał całkowity niedowład ramienia.

Salter odmówił rozpoznania człowieka, którego ścigali, lecz lord Fulmar był przekonany, że to Jack Midwinter pomógł Sarze uciec. Nadal jednak nie było wiadomo, jak tego dokonał. Wizyta w Holly Park nie miała sensu, nawet gdyby stan zdrowia lorda Fulmara na nią pozwalał, ponieważ pani Midwinter nie byłaby chętna udzielać wyjaśnień, a sam Jack musiał z pewnością wyjechać. Lordowi Fulmarowi nawet nie przyszło do głowy, by przejmować się raną, którą zadał Jackowi. Ostatecznie ten człowiek wkroczył na jego terytorium, więc musiał być przygotowany na konsekwencje.

Lord Fulmar zdecydował się wysłać wiadomość do pani Harding, ochmistrzyni pani Midwinter, prosząc ją o przybycie do Hoop Hall. Jeden ze stajennych miał po nią pojechać. Lord Fulmar życzył sobie poznać jej opinię na temat związku pomiędzy pokojówką pani Midwinter i jego lokajem. Ma się rozumieć, romanse służby nic go nie obchodziły, jeśli tylko nie cierpiała z ich powodu jego osobista wygoda, ale potrzebował jakiegoś pretekstu.

Lord Fulmar przyjął panią Harding w swojej bibliotece, które to pomieszczenie z założenia miało onieśmielać. Tym razem jednak nie wywarło spodziewanego wrażenia. Pani Harding była w bojowym nastroju. Miała świadomość, że jej pozycja w Holly Park jest mocna, niezależnie od tego, jak lord Fulmar przyjmie to, co miała mu do powiedzenia. Nawet gdyby pani Midwinter chciała ją odprawić, pan Midwinter nigdy by na to nie pozwolił, zwłaszcza gdyby przyczyną zwolnienia było wystąpienie w obronie panny Beale. Pani Harding zauważyła bowiem, podobnie jak jej pani, że Jack darzył szczególnymi względami kobietę, którą uratował.

Powiedziała lordowi Fulmarowi, że nie wie, w jaki sposób pan Midwinter przyszedł z pomocą pannie Beale.

- Wiem tylko tyle, milordzie, że zamknięcie jej w tej paskudnej norze było podłe i okrutne. Biedaczka budziła się w nocy krzycząc ze strachu. Widziałam ją na własne oczy. Do końca życia będą ją męczyć te koszmary. Mam ją przed oczyma, jak trzymając się mnie kurczowo, szlocha: „Co ja mu takiego zrobiłam, że tak bardzo mnie nienawidzi?” I nie umiałam jej na to odpowiedzieć, milordzie.

- Ratunek spoczywał w jej własnych rękach - odparł lord Fulmar.

- Za pozwoleniem Waszej Lordowskiej Mości, raczej w pańskich rękach. Zachował się pan jak Tatar i barbarzyńca. Nic dziwnego, że nie chciała mieć z panem nic wspólnego. Powiem panu wprost, milordzie: nie zasługuje pan na taką śliczną córkę.

- Zuchwale sobie pani poczyna, pani Harding. - Lord Fulmar wydawał się bardziej zaskoczony niż rozgniewany jej śmiałością. Może był zbyt słaby na okazywanie gniewu. - Proszę mi powiedzieć, co według pani powinienem zrobić?

- Przeprosić, milordzie, i pomyśleć raczej, jak ją ułagodzić, a nie próbować wykorzystywać dla celów Waszej Lordowskiej Mości. - Pani Harding skrzyżowała ręce pod fartuchem. Teraz mógł ją wyrzucić, jeśli tak mu się podobało. Już powiedziała, co jej leżało na sercu.

Po jej wyjściu lord Fulmar pogrążył się w zadumie. Obraz Sary, szlochającej, wystraszonej nocnym koszmarem, dziwnie go poruszył. Do licha, chyba polubił tę dziewczynę.

W poniedziałek trzeciego października Sara wróciła do Sadler's Wells. Premiera *Snu nocy letniej* miała się odbyć w sobotę. Sara zdawała sobie sprawę, że z powodu kontuzji ramienia Jack może nie zdecydować się na powrót, więc była zadowolona, że w teatrze jest tyle do roboty. Praca nie mogła uśmierzyć bólu serca, ale przynajmniej zajmowała umysł.

Jedno zmieniło się całkowicie - zniknęła tajemnica otaczająca dotąd jej życie. Pan Phelps, usłyszawszy historię Sary, wypytał ją o szczegóły, po czym zdecydował, że dla jej osobistego bezpieczeństwa prawda powinna wyjść na jaw.

- Każdy może bez trudu wejść do teatru - stwierdził. -

Drzwi na scenę nie stanowią żadnej przeszkody. Kręcą się tu dostawcy i inne osoby.

- Wolałam nie mówić o moim pochodzeniu - wyznała Sara.
- Nikt nie lubi ujawniać, że jest... bękartem - dodała, próbując się uśmiechnąć. - Wystarczy spojrzeć na bohaterów Szekspira: Edmunda, Don Johna - same czarne charaktery.

- Moja droga panno Beale - rzekł Phelps - mamy dziewiętnasty wiek. Choć przyznaję, że zdarzają się uprzedzenia, nikt nie może pani obwiniać za okoliczności pani narodzin. - Mierzając ją trzeźwym spojrzeniem dodał: - Sądzę, że bez tajemnic będzie się pani żyło o wiele wygodniej.

Rzeczywiście, okazało się to prawdą. Nawet jeśli znalazło się kilka osób, jak choćby panna Goodwin, nastawionych krytycznie, większość okazywała współczucie, a można powiedzieć, że nawet zaciekawienie.

- Moja droga - szepnęła panna Portman w czasie próby - to zbyt romantyczne, by dało się ująć w słowa.

Kiedy pojawił się Jack z zabandażowanym ramieniem, powitały go okrzyki podziwu. Sarze świat wydał się od razu piękniejszy.

- Nic dziwnego, że uchodzi za bohatera - rzekł ponuro pan Thorpe do pana Browna.- Mnie by się nie trafiła okazja ratowania panny Beale.

Sara i Jack musieli znieść wiele żartobliwych docinków; panna Warde pozwoliła sobie nawet oznajmić, że Sara nie zasłużyła, by pan Midwinter ją ratował... bo jest zupełnie pozbawiona wrażliwości. Ona na jej miejscu bez wątpienia omdlałaby w jego ramionach.

- Sprawiłabym mu tylko dodatkowy kłopot - broniła się Sara.
- Och, ale wówczas mógłby wyciskać palące pocałunki na

pani bladych ustach! - zawołała panna Warde, która najwyraźniej obejrzała wiele melodramatów.

Sara pomyślała, że Jack jak najbardziej był do tego zdolny i wcale nie potrzebowała wcześniej tracić przytomności.

- Sądzę, że to by nie było aż tak przyjemne, gdyby pani zemdlała- powiedziała panna Cronin, należąca do orszaku Hipolity.

Panna Warde wydała z siebie pisk, który miał udawać święte oburzenie i oddaliła się dumnie.

- Coś pani wyznam, panno Beale - szepnęła panna Cronin. - Moi rodzice pobrali się dopiero wtedy, kiedy miałam dwa miesiące. Więc, jak pani widzi, jedziemy na tym samym wózku.

Sara uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością.

Rose była mocno poruszona wiadomością o pochodzeniu Sary. Córka lorda! Potencjalna dziedziczka majątku! To było wielce niesprawiedliwe. Cóż takiego Sara zrobiła, by zasłużyć na takie szczęście? Miała za złe ciotce Hetty, że nigdy nie wspomniała jej o tym ani słowem. Panna Webster była dyskretną osobą - Rose wiedziała tylko, tyle, że Sara była znajda. Hetty uważała, że poza nią i Sarą nikogo nie powinno to obchodzić.

Sara nie wątpiła, że ciotką Hetty kierowały jak najlepsze intencje, jednakże przez jej powściągliwość czuła się zobowiązana do otaczania swego pochodzenia tajemnicą. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że otwartość w tej sprawie przyniosła jej niewysłowioną ulgę.

Sara siedziała w tylnych rzędach widowni na parterze obserwując próbę III aktu *Snu*. Obie z panną Bailey, wspomaganie przez pana Cawdery, ciężko pracowały nad oślim łbem

noszonym przez Spodka po tym, jak został przemieniony przez Puka. Pan Phelps chciał, żeby szczęki i uszy były ruchome i by mógł nimi dowolnie manipulować. Łeb musiał być także wygodny dla aktora.

Wymyślenie czegoś odpowiedniego kosztowało je sporo czasu i wysiłku. Panna Bailey zaprojektowała wyglądający naturalnie łeb z króliczej skórki obciągniętej na drucianej ramie. Uszy i szczęki poruszane były sznurkami ukrytymi w kurtce Spodka i pociągany przez Phelpsa.

Sara zauważyła, że sporo innych osób wkradło się na widownię, zwabionych pogłoskami, że po tym przedstawieniu można się spodziewać czegoś szczególnego.

Przewodnią myślą interpretacji Phelpsa było uwypuklenie próżności Spodka połączonej z jego niesłychaną zarozumiałością. Puk dał mu oślą głowę, która stanowiła jedynie zewnętrzną oznakę jego iście oślej głupoty. Spodkowi wydawało się najzupełniej oczywiste, że Tytania jest w nim zakochana, więc dzięki palcom Phelpsa ośle uszy kurczyły się i prostowały z zalotną galanterią. Wszyscy rozpoznawali w śmiesznych pozach Spodka zachowanie znanych im osób, a niektórzy nawet własne. Sara była zachwycona, podobnie jak inni widzowie, sądząc po rozbrzmiewającym wokół śmiechu. Usłyszała szmer; Jack wśliznął się na siedzenie obok niej.

- Miałaś rację - stwierdził po chwili. - On jest świetny.

- Tylko naprawdę wielki aktor może sobie pozwolić na taką błazenadę - powiedziała Sara, czując całą lewą stronę ciała bliskość Jacka.

Tytania głąskała Spodka po futrzanym nosie i pieściła jego uszy, którymi strzygł z zadowoleniem.

Me ucho wielce twą pieśń polubiło,

A z twą postacią sprzęgło się me oko.

Boże dopomóż, ja także jestem oczarowana i zakochana, pomyślała Sara.

Próba przeszła w IV akt. Spodek, leżąc wygodnie, dyrygował elfami. Groszek, Gorczyzka i Pajęczynka krzatali się żywo po scenie, podczas gdy Spodek gładził się po uszach, jakby był z nich niesłychanie dumny. Sara widywała, jak Jack przesuwał dłonią po włosach w podobny sposób, wyrażający zadowolenie z siebie. Usłyszała, że zaśmiał się niewesoło.

Wreszcie Spodek został na scenie sam na sam z Tytanią. Tytania oplotła go ramionami.

Śpij, ja cię w moje ramiona obejmę.

Sara poczuła, że dłoń Jacka delikatnie dotyka jej szyi.

- Przestań - ofuknęła go szorstko.

Jakżeż cię kocham, o, jakżeż cię wielbię! - wzdychała Tytania.

Jack odwrócił głowę, żeby pocałować Sarę w policzek.

- Daj spokój, Saro - szepnął. - Wcześniej podobały ci się moje pocałunki.

- To było co innego. Byłam półprzytomna z głodu, wyczerpana i zrozpaczona.

Jack skrzywił się zabawnie.

- No i tyle mi przyszło z zarozumiałości. Zaczynam się czuć jak ten nadęty Spodek. Naprawdę aż tak nie możesz mnie znieść?

- Niech pan będzie rozsądny, panie Midwinter - warknęła Sara. - Nie jestem łatwą dziewczyną, z którą można się zabawić. Proszę się wczuć w moje położenie.

- Ależ Saro...

Podniosła się z miejsca i wyszła. Pan Midwinter wprawdzie ją uratował, myślała ze złością, ocierając ukradkiem łzy, ale

to nie dawało mu prawa, by się nią bawić, gdy tylko przyjdzie mu ochota. Miłosne zabiegi w sztuce boleśnie różniły się od jej osobistych doświadczeń; dalsze oglądanie wydarzeń na scenie wydało jej się nagle nie do zniesienia. Oberon machnięciem różdżki mógł porządkować uczucia śmiertelników; jej sytuacja nie była taka łatwa.

Przyszło jej do głowy, że skoro Jack ma wyjechać, byłoby lepiej, żeby to zrobił jak najszybciej. Nie była pewna, ile jeszcze zdoła wytrzymać.

Była środa. Sara zaczynała odczuwać nerwowość związaną z nadchodzącą premierą *Snu nocy letniej*. Powtarzała sobie, że nikt nie będzie na nią patrzył, ale to niewiele pomagało. Ilekroć pomyślała o zbliżającym się przedstawieniu, żołądek kurczył jej się ze strachu.

Tego ranka był dla niej tylko jeden list. Z bijącym mocno sercem patrzyła na gruby papier. Czyżby kolejna wiadomość od Foxtona? Drżącymi rękoma otworzyła kopertę. Pismo było nierówne, a cały list napisany dość niezdarnie.

Moja droga Saro!

Nie musisz się już niczego obawiać z mojej strony. Nie będę więcej próbował się z Tobą zobaczyć ani zmuszać Cię do przyjazdu do Hoop Hall. Zrobiłem błąd prześladując Cię i przepraszam Cię za to.

Jeszcze nie podjąłem decyzji co do przyszłości majątku. Nie chcę, żeby przestał należeć do rodziny po trzystu latach. Pragnąłbym, żebyś się nad tym zastanowiła.

*Twój kochający ojciec
Fulmar*

Po takim liście nieprędko można było dojść do siebie. Lord Fulmar przepraszał? Czy to możliwe? Przeczytała list jeszcze raz od początku do końca. Pomyślała, że musiał go pisać lewą ręką i dlatego litery były takie koślawe.

Pierwszym, najsilniejszym uczuciem była ulga, ale po niej przyszły inne. Zagrożenie minęło, musiała powiadomić o tym Jacka. Czy to znaczyło, że natychmiast wyjedzie? Nie będzie miał powodu, żeby zostać. Pewnie nie może się już doczekać, by rozpocząć nowe życie w Manchesterze. Nie mogła zwlekać. Musiała mu powiedzieć jeszcze dzisiaj. Pan Frost przykuśtykał już do teatru, żeby się z nimi zobaczyć. Za jakiś tydzień pewnie będzie w stanie dołączyć do orszaku Tezeusza, nawet jeśli nie starczy mu sprawności, by zająć miejsce na przodzie, jak Jack.

Poszła do teatru z ciężkim sercem. Pieprz Williams czuwał jak zwykle przy wejściu na scenę.

- Co ci jest, skarbie? Znowu złe wieści?

Westchnęła.

- Och, nie. - Powiedziała mu o liście i dodała: - Muszę jak najszybciej powiadomić pana Midwintera. Widział go pan dziś rano?

Williams przyjrzał się jej dobrotliwie. Sara nie zwierzała mu się wprawdzie, ale podejrzewał, że pan Midwinter przypadł jej do serca.

- Jest z panem Harveyem. Jeśli poczekaś chwilkę, skarbie, zaraz go tu sprowadzę.

- O, dziękuję. - Pochyliła się, żeby pogłaskać Kleksa i ukryć łzy. Za nic nie chciała, żeby pan Williams okazywał jej współczucie. Była mu wdzięczna za taktowną przysługę. Nie chciała, żeby widziano, jak szuka Jacka; plotka, że panna Beale ugania się za panem Midwinterem, szybko by się rozniosła po całym teatrze.

Pięć minut później Sara i Jack siedzieli ukryci w jednej z łóż. Sara pokazała mu list. Jack przeczytał go wolno i oddał jej z powrotem.

- Chociaż raz zachował się jak przystało dżentelmenowi - skomentował. Widząc jej posmutniałą minę, dodał: - Co ci jest, Saro? Nie wierzysz mu?

- Wierzę, że żałuje swojego zachowania, owszem. Widzę jednak, że zostawił sobie kilka sznurków, za które chciałby pociągać. Chodzi mi o to, co napisał na temat majątku. Jakby kusił dziecko lizakiem.

- Naprawdę nie chcesz go przyjąć?

- Ciotka Hetty ostrzegła mnie, bym się nigdy nie dała kusić obietnicami przyszłego bogactwa. - Westchnęła. - Mówiła mi, że jej ojciec odebrał straszłą nauczkę. Jej rodzina straciła mnóstwo pieniędzy z powodu krachu giełdowego w tysiąc siedemset dwudziestym roku. Mieli niewielką posiadłość w Norfolk, gdzie jej ojciec dorastał, ale musiała zostać sprzedana, kiedy był jeszcze młody. Otóż on nigdy nie pogodził się ze stratą. Uważał, że życie go zawiodło, doznał niesprawiedliwości od losu i wiecznie przypochlebiał się starszym krewnym, licząc na to, że zostawią mu w spadku pieniądze.

- Co mu obiecywali, ale nie dotrzymani obietnicy?

- Właśnie. Chętnie przyjmowali jego umizgi, ale majątki zostawiali innym.

- I obawiasz się tego ze strony lorda Fulmara?

- Dlaczegoż nie miałyby tak postąpić? - spytała Sara. - Zawsze wszystkich wykorzystywał.

Jack dobrze rozumiał jej nieufność. W tej chwili lord Fulmar przeproszał. Był chory, śmierć zaczynała zaglądać mu w oczy. Jackowi trudno było jednak uwierzyć, że nagle wyzbył się

samolubstwa, które cechowało go przez całe życie. Lord Fulmar mógł wierzyć, że już nigdy nie uda mu się zniewolić Sary, ale gdyby sama uległa jego wpływom...

- Chciałabyś się z nim zobaczyć?

- Nie wiem. Trudno to wyjaśnić. Jest moim ojcem i raz czy dwa razy zdarzyło mi się poczuć, że moglibyśmy się jakoś porozumieć.

- Nadal czujesz, że powinnaś się go wyprzeć przez wzgląd na pamięć twojej matki?

Sara potrząsnęła głową.

- Wszystko wskazuje na to, że moja matka była lekkomyślną dziewczyną, podobnie jak matka Rose. Czyż to nie ironia? Tak troskliwie o mnie dbała, kosztem własnego życia, a tak mało ceniła własną cnotę. - Nadal uważała, że lord Fulmar zachował się podle, mogła jednak zrozumieć, że mężczyzna pragnie mieć żonę, której ufa. Potępiła go i zarazem rozumiała, przynajmniej do pewnego stopnia.

- Napiszę do niego - powiedziała po chwili milczenia. - Ale się z nim nie spotkam. - Niech robi, co chce, ze swoim majątkiem. Ciocia Hetty miała rację, nie wolno jej się w to angażować. Zwróciła myśli ku innej sprawie, która, prawdę mówiąc, znacznie żywiej zaprzętała jej umysł. - Więc wkrótce nas opuścisz. Masz zamiar od razu udać się do Manchesteru?

- Za parę miesięcy. Mam pewne nieporozumienie z matką.

- Mam nadzieję, że nie z mojego powodu! - krzyknęła Sara. - Nie mogłam nie zauważyć, że nie byłam mile widzianym gościem. Rozumiem to, oczywiście. Trudno być zadowolonym, kiedy w domu pojawia się nieproszony gość, a jest nim kobieta w potarganym stroju. Przez którą, na domiar złego, syn został postrzelony!

- Nie mogę zaprzeczyć, że miałas w tym swój udział - przyznał Jack - ale nie ty byłaś główną przyczyną. To nie w porządku, że miała ci za złe pracę w teatrze, podczas gdy ja robiłem to samo. Powiedziałem jej więc prawdę. A potem dodałem, że wybieram się do Manchesteru. Biedna mama, wszystkie jej plany wobec mnie nagle się zawaliły. Nie zawsze taka była - podjął Jack po krótkiej pauzie. - Dopiero po śmierci mojego ojca zrobiła się trudna. Chyba oczekiwała, że zajmę jego miejsce. Prawdę mówiąc, nie lubię się z nią kłócić.

Znowu zapadła cisza. Sara pomyślała, że pani Midwinter z pewnością nigdy jej nie wybaczy. Zapewne to ją obwiniała za swoje kłopoty. Była zazdrosna o wszystko, co dotyczyło jej syna. Możliwe, że gdyby pojawienie się Sary w Holly Park nie miało nic wspólnego z Jackiem, pani Midwinter byłaby dla niej całkiem miła. Nic dziwnego, że Jack się dotąd nie ożenił. Który mężczyzna chciałby się znaleźć pomiędzy żoną a matką, jak pomiędzy młotem a kowadłem?

Może kiedy już będzie w Manchesterze, rozejrzy się i znajdzie sobie odpowiednią żonę. Ta myśl była strasznie przygnębiająca.

10

Reszta dnia jakoś minęła. Sara czuła się niespokojna i przygnębiona i po raz pierwszy nie bawiła ją próba. Z radością poszła do domu. Jack został dłużej, żeby pomóc w zmianie dekoracji do *Otella*, którego grano tego wieczoru, a Sarę odprowadził na Myddleton Square pan Thorpe.

Zastała domowników w stanie dziwnego podniecenia.

O Boże, co się znowu stało, pomyślała. Nie mógł to być lord Fulmar, ani wynajęte zbiry, więc o kogo chodziło tym razem?

- Jakiś dżentelmen z damą przyszli się z panią zobaczyć, panno Saro - oznajmiła Polly, podając jej dwie wizytówki z tacy w holu. - Powiedziałam, że pani niedługo wróci. Są na górze, w salonie panny Webster. Podałam im herbatę. Mam nadzieję, że dobrze zrobiłam?

- Oczywiście. Proszę, powiedz im, że zaraz do nich przyjdę. - Spojrzała na wizytówki. *Pani Edwardowa Fanshawe* przeczytała na jednej. Sarze nic nie mówiło to nazwisko. Na drugiej stało *Sir George Cranborne*. Cranborne? To nazwisko

z pewnością już słyszała, ale nie mogła sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach.

Poszła zmienić buty i przyczesać włosy. Dziesięć minut później weszła do salonu. Pomyślała nie bez złośliwości, że większość ludzi, którzy odwiedzili ten pokój w ciągu ostatnich kilku miesięcy, była jej zupełnie nieznaną.

Mężczyzna, który podniósł się na jej widok, liczył sobie jakieś pięćdziesiąt lat, miał miłą twarz, szpakowate włosy i niebieskie oczy. Był postawny, można nawet powiedzieć, że otyły; Sara pomyślała, że kraciaste spodnie nie najlepiej pasują do jego zaokrąglonej w pasie sylwetki. Pani Fanshawe wyglądała podobnie, miała takie same niebieskie oczy i nieco skośne brwi. Czyżby byli rodzeństwem?

Goście przedstawili się. Sara poprosiła, by sir George usiadł i sama także zajęła miejsce na krześle.

- Czym mogę państwu służyć?

Sir George i pani Fanshawe wymienili spojrzenia.

- Odnieśliśmy wrażenie, że to pani chce się z nami spotkać - powiedział sir George.

Sara zrobiła zdziwioną minę.

Pani Fanshawe wręczyła jej list od Foxtona. Sara oblała się rumieńcem.

- Czy państwo... Czy to możliwe... że państwo jesteście kuzynami mojej matki?

- Czy to znaczy, że pani nic nie wiedziała? - spytał sir George z niedowierzaniem.

- Lord Fulmar wymienił nazwisko Cranborne. Wtedy po raz pierwszy je usłyszałam. Nie ma o was żadnej wzmianki w korespondencji pozostawionej przez moją matkę.

Sir George i pani Fanshawe znów spojrzeli na siebie.

- Chciałbym zobaczyć coś napisanego ręką pani matki, panno Beale.

Sara wstała.

- Jeśli zechcą państwo chwilę poczekać, pokażę to, co mam. Niewiele tego jest. - Wyszła z salonu.

- Nadzwyczajne - odezwała się pani Fanshawe. - Spodziewałam się, że nie będzie chciała mieć z nami nic wspólnego.

- Jej świadectwo chrztu jest prawdziwe, podobnie jak zapis o śmierci Marii Beale - powiedział sir George. - Sprawdziłem osobiście. No i bez wątpienia wygląda na córkę Fulmara.

Sara wróciła z wiklinowym koszykiem, w którym spoczywało drewniane pudełko zawierające listy jej matki, kilka jej ubrań i szmaciana lalka, którą Maria sama zrobiła dla córeczki.

- To wszystko, co mi zostało po matce - powiedziała. Wyjęła ostrożnie pudełko i otworzyła je. - Większość listów jest od lorda Fulmara do mojej matki. Ostatni ona napisała. - Wręczyła pani Fanshawe złożony arkusik.

Pani Fanshawe przeczytała list i wybuchnęła płaczem. Sir George, podszedłszy do siostry, pogładził ją po ręce. On także zapoznał się z treścią listu. Sara obserwowała ich ze łzami w oczach.

- To z całą pewnością pismo biednej Marii. - Sir George westchnął.

- Czemu nie poprosiła mamy o pomoc? - szlochała pani Fanshawe. - Och, panno Beale, nie mieliśmy od niej żadnej wiadomości od czasu, gdy zniknęła! Nic. Latami czekałam na list. Szkoda, że nic nie wiedzieliśmy.

Sir George odchrząknął.

- Trudno byłoby, po tej sprawie z Turnerem...

Pani Fanshawe oblała się purpurą.

- Domyślam się - zaczęła Sara ostrożnie - że moja matka... nie dbała o swoją reputację tak, jak powinna.

- Och, moja droga panno Beale - zawołała pani Fanshawe z ulgą, że nie musi uważać na każde słowo. - Ogromnie lubiłam Marię, była taką żywą, śliczną dziewczyną, ale trochę... nie-zrównoważoną. Ciągłe spragnioną uczuć. Jakby nigdy ich nie miała dosyć.

Mieli sobie wiele do powiedzenia - trzeba było sporo wyjaśnić, podzielić się wiadomościami. Po raz pierwszy Sara usłyszała o dzieciństwie matki, o jej nieudolnym ojcu nicponiu i rozrutnej matce; o tym, jak zamieszkała z Cranborne'ami, podobnie jak Rose z ciotką Hetty i Sarą. Kiedy tak rozmawiali, Sara poczuła, że po raz pierwszy rozumie matkę, nie tyle dzięki opowieści pani Fanshawe, co dlatego, że dostrzegła podobieństwo losu jej i Rose.

Jak dziwnie czasem układa się życie, pomyślała. Biedna Maria w istocie bardzo się różniła od szlachetnej męczennicy, jaką dotąd była w wyobraźni Sary. Okazała się bardziej nie-obliczalna, ale i bardziej ludzka. Mimo wszystko poświęciła życie dla swego dziecka: Nawet jeśli przed urodzeniem Sary nie najlepiej się prowadziła, ostatnie miesiące jej życia stanowiły chyba wystarczające odkupienie.

Sir George i jego siostra byli przerażeni niegodziwością, z jaką lord Fulmar potraktował Sarę. Jeśli nawet nie do końca byli w stanie uwierzyć, że odrzuciła jego propozycję, pani Fanshawe przynajmniej rozumiała niechęć Sary do ulegania staremu despocie.

Sir George, który nade wszystko przedkładał rodzinne więzy i własność, pomyślał, że przy odrobinie starań panna Beale mogłaby nakłonić lorda Fulmara, by przepisał na nią majątek.

Było o co zabiegać - chodziło o jakieś dziesięć tysięcy funtów rocznie, jeśli się nie mylił. Już on by zadbał o interesy nowej kuzynki. Dziedziczka jest osobą pożądaną w każdej rodzinie.

- Ale moja droga młoda kuzynko - powiedział - nie możesz nadal pracować w teatrze! Młoda dama, z twoją pozycją, to przecież niesłychane!

Sara się roześmiała.

- Bardzo mi dobrze na tej posadzie - odparła. - Nie oczekuję, byście mnie państwo zrozumieli, ale lubię swoją pracę. I mogę zapewnić, że nie ma w niej nic zdrożnego.

Sir George i pani Fanshawe spojrzeli na siebie. Sara pomyślała, że ostatnio większość czasu upływa jej na przekonywaniu innych, że ma prawo żyć własnym życiem.

- A może państwo byście się wybrali zobaczyć, co robię? - podsunęła chytrze. - W sobotę mamy premierę *Snu nocy letniej*. To będzie bardzo szczególne przedstawienie i będziecie mogli podziwiać moje kostiumy. Spektakl zaczyna się o siódmej. - Nie miała odwagi dodać, że będą mogli również podziwiać jej grę.

Znowu brat z siostrą wymienili spojrzenia. Ostatecznie, sama sztuka jest bez zarzutu, nawet jeśli nudna, pomyślał sir George. Szekspir zwykle go nudził. Nie mógł jednak w niczym zaszkodzić. Po przedstawieniu mogliby porozmawiać jeszcze raz z panną Beale. Należało ją zmusić do przyjęcia odpowiedniego uposażenia od lorda Fulmara, by mogła żyć jak przystało na damę.

Myśli pani Fanshawe biegły podobnym torem. Panna Beale mogłaby sprowadzić się do niej. Stanowiłaby miłe towarzystwo dla Louisy, a przy stosownej sumie otrzymywanej od ojca - którą ma się rozumieć zarządzałyby pani Fanshawe ku pożytku

kowi młodej kuzynki - miałyby możliwość odpowiedniego zaistnienia w eleganckim towarzystwie. W przyszłości, po śmierci lorda Fulmara, panna Beale odziedziczyłaby Hoop Hall, a pani Fanshawe nie miała nic przeciwko wizytom u właścicielki wielkiej posiadłości.

Rozstali się prawiąc sobie nawzajem uprzejmości, a sir George obiecał wykupić łożę na sobotnią premierę.

Kiedy wreszcie sobie poszli, Sara opadła na krzesło z westchnieniem ulgi. Pierwsze dwadzieścia siedem lat jej życia minęło, nie licząc wizyty w Hoop Hall, kiedy miała dziewięć lat, w spokoju i poczuciu bezpieczeństwa. Nagle, przez ostatnie dwa miesiące, zaczęło się dziać aż nazbyt wiele. Radzenie sobie z tym wszystkim było doprawdy wyczerpujące.

Zadzwoniła na Polly, żeby jej przyniosła kolację.

- Mam bilety dla ciebie i Leah, tak jak obiecywałam, na sobotnie przedstawienie - powiedziała do służącej, która weszła z tacą. - Sądzę, że wszyscy domownicy będą chcieli przyjść.

- O tak, panno Saro. Pan i pani Johnston się wybierają, a także panna Valloton z panną Bailey i jej matką. Obie z Leah nie możemy doczekać się soboty.

- Świetnie. To będzie wyjątkowe przedstawienie.

Po kolacji Sara usiadła przy biurku i napisała ołówkiem na brudno list do lorda Fulmara. Rano miała zamiar jeszcze raz go sprawdzić przed przepisaniem na czysto.

Drogi Lordzie Fulmar!

Przyjmuję Pańskie przeprosiny i zapewniam, że nie żywię do Pana wrogich uczuć.

Co do posiadłości, powinien Pan zrobić to, co wyda się Panu najbardziej słuszne.

*Szczerze oddana
S. Beale*

Nie mogła się zdecydować, jak zakończyć list. Czy powinna napisać „pańska uniżona sługa”? W tych okolicznościach zakrawałoby to na kpinę. Nie mogła też napisać „drogi Ojciec”, ani tym bardziej „Papo”. Istniały niezliczone reguły, które mogłaby złamać. Była tak tym wszystkim wyczerpana, że natychmiast po wypiciu wieczornej porcji czekolady położyła się do łóżka, choć ledwie minęła dziewiąta.

Następnego ranka Sara siedziała sama w szwalni. Obie z panną Bailey zajęte były ostatnio przygotowaniem kostiumów do pantomimy *Tomcio Paluszek*. Zawsze musiały pracować z wyprzedzeniem, ale w tej chwili Sarze było to na rękę. Nie zrywano jej na próbę aż do południa, więc miała mnóstwo czasu na dopatrzenie wszystkiego. Niestety, miała tym samym stanowczo zbyt wiele czasu na rozmyślanie.

Doszła do wniosku, że powinna jakoś zaplanować swoje życie. Nie wolno jej ciągle rozważać, co mogłoby się zdarzyć. Ciocia Hetty z pewnością by tego nie pochwałała, podobnie jak wdychania do dziedzictwa, które może człowieka ominąć. Nie, musiała się zabrać za coś nowego.

Na początek odnowi swój pokój. Nic się w nim nie zmieniło od czasów, gdy była dziewczynką; ściany wciąż były pokryte

wyblakłą tapetą w różyczki. Zapragnęła czegoś bardziej wyrazistego; zaczęła się zastanawiać nad różnymi barwnymi wzorami.

Rozmyślenia przerwał jej odgłos dobrze znajomych kroków. Ledwie serce zdążyło jej zabić mocniej, do szwalni wszedł Jack. Miał ze sobą niewielką paczkę, którą położył przed nią na stole.

- Przepraszam - zaczął. - Pewnie się już zastanawiałaś, co się z nimi stało. - Widząc jej zdumione spojrzenie, dodał: - Z Zielonym Rycerzem i Księżniczką Eglantyną.

Sara odłożyła na bok wykańczany kostium.

- Zupełnie o nich zapomniałam. Tyle się ostatnio działo. Uważnie otworzyła paczkę. Jack nie tylko naprawił kukiełki, ale też starannie je odmalował.

Sara z uśmiechem przyjrzała się drewnianym figurkom.

- Wyglądają wspaniale! - zawołała z radością. - Są zupełnie takie same jak kiedyś. Nawet ładniejsze.

Jack przysunął sobie krzesło i usiadł.

- Cieszę się, że ci się podobają. Trochę się obawiałem je malować... bo mogłaś woleć ich poprzedni wygląd. Doszedłem jednak do wniosku, że nie będą wyglądały dobrze z nowym ramieniem i różdżką, i obłazącą farbą na reszcie.

Sara ostrożnie poruszyła ręką Zielonego Rycerza w dół i w górę, podziwiając jego nowy miecz.

- Dziękuję. Miło je znowu widzieć takimi, jak powinny być. Oczywiście, już się nimi nie bawię, ale lubię je mieć przy sobie.

Jack sięgnął do kieszeni i wyjął jeszcze jedną małą paczuszkę.

- Pomyślałem, że to także może ci się spodobać - powiedział. - Nie chciałem marnować mojej nowo nabytej umiejętności robienia kukiełek!

Sara rozpakowała drugie pudełko. W środku były dwie

nowe kukiełki, wykonane według tego samego wzoru co stare, tak że pasowały do wycięć w podłodze teatryku. Jedna przedstawiała Jacka jako członka orszaku Tezeusza, druga Sarę w roli Hipolity. Nosiły kostiumy zaprojektowane przez Sarę - Jack pawiozielony, a Sara czerwony, obydwa zdobione liśćmi akantu. Były tak zrobione, że mogły się trzymać za ręce.

Sara patrzyła na figurki i przez chwilę nie mogła znaleźć słów. Nie mógłby jej dać niczego cenniejszego niż to przypomnienie ich wspólnych przeżyć. Równocześnie jednak ogarnęło ją uczucie dziwnego opuszczenia. Kiedy Jack wyjedzie, pozostaną jej po nim tylko te dwie małe kukiełki.

Podziękowała mu, z trudem wydobywając z siebie głos.

- Musiałeś sobie zadać wiele trudu. Obiecuję, że będę jej bardzo szanować.

Jack przyjrzał jej się z troską.

- Uraziłem cię czymś?

- Nie, nie! - Odruchowo zaczęła porządkować leżące na stole szpulki nici. Miała świadomość, że Jack ją obserwuje. Nie mógł się domyślić. Poczucie dumy dodało jej odwagi.

- Są śliczne i bardzo się z nich cieszę - powiedziała.

- To dobrze. - Nie spuszczał z niej oczu.

- Zamierzałam cię poprosić o radę - mówiła dalej z udawaną swobodą. I przedstawiła mu swe wątpliwości co do zakończenia listu do lorda Fulmara.

- „Szczerze oddana” brzmi według mnie całkiem dobrze. „Jestem uniżoną sługą Waszej Lordowskiej Mości” czy coś w tym rodzaju stosuje się w oficjalnych listach kierowanych do milordów. Nie przejmuj się tym zbyt.

Następnie, jako że mówienie Jackowi o swoich przeżyciach

stało się już dla Sary czymś naturalnym, powiedziała mu o wizycie pani Fanshawe i sir George'a Cranborne'a.

- Cranborne? - zainteresował się Jack. Ostatni raz widział tego człowieka na przyjęciu, na którym był z Delią Sharpe. Przypominał sobie, że Cranborne zabawiał się wówczas z pewną małą ślicznotką.

- Poznałeś go?

- Tylko na gruncie towarzyskim.

Sara przyjrzała mu się podejrzliwie.

- Chcesz powiedzieć: w towarzystwie nieodpowiednim dla dam, tak?

- Być może - przyznał Jack z uśmiechem. - Ale dla mnie to zakończona historia. Przysięgam.

Patrzył na nią wyczekująco; wiedziała, że mówi poważnie. Tysiące myśli zawirowały jej w głowie. Czy naprawdę mógł porzucić dawne zwyczaje? Te wszystkie kochanki, luksusowe apartamenty, tygodnie spędzane w Paryżu, które Rose opisywała z detalami? I czemu jej o tym mówił?

- Nie będzie ci tego brakowało? - Sara wiedziała, że nie powinna rozmawiać o tym z mężczyzną. Żadna szanująca się kobieta nie powinna mieć pojęcia o takich sprawach.

Jack pokręcił głową.

- To plewy. Wcale mi ich nie żal. Co więcej, nie rozumiem, jak długo mogłem się na nie nabierać.

- Och - bąknęła Sara. Miała ochotę zadać mu wiele pytań, ale jedno wydawało jej się mniej przyzwoite od drugiego. W końcu wzięła do ręki odłożone wcześniej szycie i drżącymi palcami zaczęła przeciągać nitkę.

Jack przyglądał jej się przez chwilę w milczeniu, wreszcie wstał.

- Muszę już iść - oznajmił. - Obiecałem pomóc Fentonowi w przesuwaniu dekoracji. Będę dziś wieczorem pomagał przy *Szkole obmowy*, ale Thorpe odprowadzi cię do domu.

- Dobrze - szepnęła Sara, nie podnosząc oczu znad szycia.

- W piątek będziemy mogli wyjść zaraz po próbie technicznej. Mam nadzieję, że pozwolisz mi się wtedy odprowadzić. Chciałbym z tobą o czymś porozmawiać.

- Tak, oczywiście - odparła Sara nieco zdziwiona.

Po wyjściu Jacka siedziała przez dłuższy czas zamyślona, wpatrując się przed siebie. Kiedy po dwudziestu minutach do garderoby weszła panna Bailey, zastała Sarę nad ledwie rozpoczętym ściegiem.

Następnego ranka Jack wstał wcześniej i zawołał na Archiego, by przyniósł mu wody do golenia. Ramię dobrze się goiło, ale golenie nadal sprawiało Jackowi pewną trudność, więc pozwolił, by Archie go wyręczył.

- Wszystko ma być dopięte na ostatni guzik na ten wielki dzień? - zauważył kwaśno Archie; była dopiero ósma, a on rzadko nabierał humoru przed dwunastą w południe.

- To dopiero jutro - przypomniał mu Jack. - Dziś jest próba generalna. Skoro już o tym mowa, mam dla ciebie bilet na premierę.

- Mam patrzeć, jak pan bryka po scenie?

- Spodoba ci się. Będzie świetnie. Nie chodzi o mnie, ja jestem tylko dodatkiem. Mam na myśli sztukę. Obiecuję ci, że to będzie wyjątkowy spektakl.

Rzeczywiście był o tym przekonany. Cały zespół miał świadomość, że to przedstawienie jest szczególne. Coraz

więcej ludzi zakradało się na widownię, żeby obejrzyć próby. Wieści szybko się rozeszły; bilety sprzedawano nadzwyczaj szybko. Nie licząc inscenizacji *Madame Vestris* sprzed trzy-nastu lat, nikt nie wystawiał *Snu nocy letniej* od ponad dwóch stuleci. Powszechnie uznawano tę sztukę za niesceniczną.

Jack pierwotnie także skłaniał się ku tej opinii. Zmuszono go do przeczytania jej w szkole i pomysł elfów chowających się w czapczkach żółędzi wydał mu się niedorzeczny. Uważał, że Phelpsowi nigdy nie uda się stworzyć dobrego spektaklu. Mylił się jednak. Wszystko zapowiadało, że premiera odniesie sukces.

Archie mruczał pod nosem, ale w gruncie rzeczy był zadowolony. Ciekaw był, co też jego pan robi w tym teatrze i miał ochotę przekonać się o tym na własne oczy, chociaż trudno byłoby w to uwierzyć, słysząc jego zrzęczenie.

Starannie ogolony, Jack zasiadł do śniadania. Obok talerza znalazł stos korespondencji; jeden z listów napisany był ręką jego matki. Wzdychając, wziął go do ręki. Kolejna porcja wyrzutów, pomyślał z rezygnacją. Żał mu było matki, ale cóż mógł zrobić? Był pewien, że ona się uspokoi po jego wyjeździe do Manchesteru.

Archie przyniósł mu bekon, jajka i grzyby.

Jack otworzył list, przeczytał i westchnął. Archie posłał mu współczujące spojrzenie.

- Matka pisze, że na pewno do tego czasu znudziły mi się już zabawy w teatr i możemy rozsądnie porozmawiać o mojej przyszłości. Akurat. Umyślnie nie wspomina o moim przystąpieniu do firmy Midwinter i Pinks, poza wzmianką, że moje zachowanie zmartwiłoby ojca.

Z niechęcią odrzucił list.

- Hmm, to nieprawda, sir. Pański ojciec był człowiekiem ceniącym wolność własną i cudzą. Nie miałby nic przeciwko pańskiemu powrotowi do Manchesteru.

- No właśnie - Jack rozpogodził się. Nie lubił działać wbrew matce, ale w tej sprawie podjął już ostateczną decyzję. - Pamiętam, że był dumny z mojego młyńskiego koła.

- Przejdzie jej - pocieszył Archie, strzepując okruch ze stołu. - Szczególnie jak zobaczy, że jej udziały zyskują na wartości.

- Naprawdę uważasz, że moje dołączenie do firmy aż tyle zmieni? - Tak silna wiara w możliwości Jacka była u Archiego rzadkością.

- Musi. Pan Pinks dobrze sobie radzi, ale moim zdaniem trochę osiadł na mieliźnie, sądząc po tych próbkach, które panu przysłał.

Josiah Pinks przysłał Jackowi próbki wzorów z ubiegłego roku. Były to firmowe produkty, sprawdzone w sprzedaży od wielu lat. Sama bawełna miała dobrą jakość, ale wzory były, zdaniem Archiego, nieciekawe.

- Nie wiem, o której wrócę dziś do domu - oznajmił Jack. - Nie czekaj na mnie. Jeśli będę głodny, zjem coś na mieście.

Odsunął talerz i wstał. Starannie ułożył próbki wzorów w skórzanej teczce i zabrał je ze sobą, budząc tym szczerze zainteresowanie Archiego. Kamerdyner zastanawiał się, co jego pan ma zamiar z nimi robić.

W teatrze aż wrzało od podniecenia, kiedy Jack się tam zjawił. Fenton i jego pomocnicy tkwili na posterunku od świtu, ustawiając dekoracje i oświetlenie. Pan Harvey biegał w kółko, doglądając rekwizytów. Sara z panną Bailey dokonywały

ostatnich poprawek przy kostiumach. Sara miała przymocowaną do nadgarstka poduszeczkę na szpilki, a w ręce koszyczek z igłami, niciami i nożyczkami.

Jack zostawił teczkę z próbkami pod opieką Pieprza Williamsa i poszedł się przebrać.

Próba techniczna była jak zwykle dość chaotyczna. Z początku rekwizyty gdzieś się zawieruszały, światła były albo zbyt ostre, albo niewidoczne, diorama się zacinała, lecz stopniowo wszystko zaczynało przebiegać coraz sprawniej.

Jack i Sara po raz pierwszy mieli możliwość zobaczyć w całości krotochwilę rzemieślników z V aktu. Nie zawiodła oczekiwań Sara. Drewniany pies na kółkach należący do Głodniaka wypadł znakomicie, lwi ogon zdawał się żyć własnym życiem, a Charles Fenton w roli Dudki - miechownika, grającego główną bohaterkę Tyzbe, wprowadził Jacka w taką wesołość, że ze śmiechu omal nie spadł z krzesła.

Nawet Rose była zadowolona. Kilku męskich członków zespołu pochwaliło wdzięk, z jakim grała elfa, i choć nie miała o nich zbyt wysokiego mniemania, ich zachwyty sprawiły jej przyjemność. Aż do próby technicznej nie wiedziała, że przy końcu sztuki, kiedy elfy tańczą w pałacu Tezeusza przy świetle księżycy, nie ma już okropnej sieci, od której wszystko na scenie robiło się zielone. Gdyby zatem na widowni znaleźli się zainteresowani nią panowie, to przynajmniej w ostatnim akcie mogli ją zobaczyć taką, jaka była naprawdę.

Skończyli przed piątą. Jeśli nawet nie wszystkie problemy zostały rozwiązane, i tak musieli przerwać próbę, ponieważ za dwie godziny zaczynało się przedstawienie *Szkoły obmowy*. Jack i Sara spotkali się przy drzwiach, Jack odebrał swoją teczkę i razem wyszli z teatru.

Sara pamiętała, że Jack chciał z nią o czymś porozmawiać. Zapewne o tym, że pan Frost wkrótce przejmie jego rolę. Na samą myśl o odejściu Jacka zrobiło jej się ciężko na sercu.

Jednakże Jack jakby zapomniał, że chciał poruszyć jakiś szczególnie temat, ponieważ przez całą drogę omawiali niedawną próbę. Jack wspomniał, że Archie wybiera się na premierę, więc zaczyna się trochę denerwować występem. Sara powiedziała mu, że obawia się rozpoznania przez panią Fanshawe i sir George'a; musiała chyba być szalona, zapraszając ich na przedstawienie.

- Nie mówiłam im, że będę na scenie i teraz się boję, że mnie wypatrzą.

- A ja się modlę, żeby Cranborne mnie nie poznał - przestraszył się Jack. - W parę dni mówiłoby o tym całe miasto. - Z drugiej strony, czemu miałyby się tym przejmować? I tak będzie już wówczas w Manchesterze. Niespodziewanie zaczął się śmiać. - Czy to nie zabawne? Trudno sobie wyobrazić bardziej szacowne miejsce pracy, a jednak oboje musimy się czuć jak pariasi!

- Właśnie - przyznała Sara z uśmiechem. - Biedna ciocia Hetty była przerażona, kiedy zaczęłam tu pracować. Ale pogodziła się z tym.

Dotarli do domu. Sara odwróciła się, by podziękować Jackowi za odprowadzenie, gdy zaskoczył ją pytaniem:

- Mógłbym wstąpić na chwilę?

- Ależ tak, oczywiście.

W milczeniu poprowadziła go do salonu, zaproponowała herbatę i obiecała, że zaraz do niego dołączy. Nie wiedzieć czemu ogarnął ją dziwny niepokój i ręce zrobiły jej się zimne.

Przeczesała włosy, obmyła twarz i wróciła do salonu, starając się nie okazywać zdenerwowania.

Jack wskazał jej miejsce obok siebie na sofie.

- Proszę, usiądź tutaj.

Sara spełniła jego prośbę. Wzięła głęboki oddech i spojrzała mu w oczy. Cokolwiek miał jej do powiedzenia, nawet jeśli dotyczyło jego natychmiastowego wyjazdu, musiała się opamiętać.

- Pobyt w Sadler's Wells odmienił moje życie - zaczął Jack. - Dał mi siłę, bym mógł wiele spraw zacząć od nowa.

- Mam nadzieję, że zmiany okażą się owocne - wtrąciła Sara sztywno.

- Owszem - podjął Jack i nagle się roześmiał. - Pod wieloma względami. Postanowiłem, panno Beale, że jeszcze przed czterdziestką, powiedzmy do Bożego Narodzenia przyszłego roku, będę huśtał na kolanach śliczne dziecko.

Sara osłupiała.

- Ależ panie Midwinter - wykrzyknęła - chyba pan się nie zastanowił! Żeby mieć dziecko, trzeba trochę czasu i starań. Jak pan zamierza to osiągnąć?

- Och, w tradycyjny sposób!

Sara oblała się rumieńcem.

- Ja... to znaczy... chyba nie myślał pan o przysposobieniu sieroty?

- Nie, myślałem o ożenku.

- Ach tak. Oczywiście. - Sara nie mogła znaleźć odpowiednich słów. - To zrozumiałe, że nie chciałby pan nieślubnego potomka. Jestem pewna, że pańska matka by nie pochwałała... A poza tym... - Głos jej się rwał, aż wreszcie całkiem umilkła.

Jack ujął jej dłoń.

- Saro, czy moglibyśmy jeszcze raz zacząć tę rozmowę? Bo chyba idzie w złym kierunku. To moja wina. Jeszcze nigdy się nie oświadczałem i widzę, że fatalnie mi idzie.

- Oświadczałem? - Sara szeroko otworzyła oczy.

- Saro, posłuchaj mnie uważnie. Bardzo cię kocham i mam nadzieję, że zgodzisz się zostać moją żoną.

- Kochasz mnie? - powtórzyła jak echo.

- Kocham.

- I chcesz się ze mną ożenić?

- Tak, kochanie - odparł Jack cierpliwie.

- Och. - Sara głośno przełknęła. Ścisnęła dłoń Jacka wpatrując się w dywan.

- Saro - odezwał się Jack po długiej chwili ciszy - czy mogłabyś coś odpowiedzieć? Ta niepewność jest dla mnie nieznośna.

- Naprawdę tego chcesz?

- Saro! Wyjdiesz za mnie czy nie?

Sara pokiwała głową.

- Naprawdę tak?

- Tak - wydusiła z siebie głosem niewiele donośniejszym od szeptu.

- Kochasz mnie?

- O, tak!

Jack porwał ją w ramiona i mocno przytulił. Sara przyłgnęła do niego, na przemian śmiejąc się i płacząc. A potem całowali się, jakby nie mogli przestać. Jack szeptał jej miłosne wyznania prosto do ucha, a Sara próbowała mu powiedzieć, jak bardzo go kocha i jak wszystko się zaczęło. Wreszcie ocuciły ich przebłyski rozsądku.

- Kochanie, miałabyś coś przeciwko temu, żeby zamieszkać w Manchesterze? - spytał Jack.

Sara wyprostowała się sztywno. Powrót do rzeczywistości przypominał kąpiel w lodowatej wodzie.

- O Boże - jęknęła. Nagle opadły ją wątpliwości. Co miałyby zrobić z domem? Nie mogła zostawić Polly i Leah po tylu latach; stały się częścią jej życia, odkąd znalazła się w tym domu jako dziecko. Gdzie miałyby się podziąć? A co z panną Valloton? Miała już ponad siedemdziesiąt lat. Nie mogła jej przecież porzucić.

A jej praca? Wiedziała, że kobiety po wyjściu za mąż zawsze rezygnowały z pracy zarobkowej. Oczekiwano od nich, że zajmą się mężem i domem, a po jakimś czasie dziećmi. Choć bardzo kochała Jacka, czy potrafi żyć bez swojej pracy? Uwielbiała projektować kostiumy, dawało jej to niekłamana przyjemność i zaspokajało twórcze potrzeby, których, jak sądziła, nie zdołałaby zaspokoić w żaden inny sposób. Wyjazd do Manchesteru pozostawiłby w jej życiu wielką, bolesną wyrwę.

Z drugiej strony, jak mogła zrezygnować z miłości? Poza tym, Manchester niósł ze sobą nowe wyzwania. Jak miała je odrzucić, nie łamiąc sobie przy tym serca?

Nie potrafiła sobie z tym wszystkim poradzić.

- Żał mi zrezygnować z mojej pracy - szepnęła. - Tak wiele dla mnie znaczy.

- Zastanawiałem się nad tym - przyznał Jack. Sięgnął po skórzaną teczkę, otworzył ją, wyjął próbki i rozłożył je przed Sarą. - To podstawa naszych interesów - oznajmił. - Dobra jakość. Świetnie się pierze. Nie kurczy się po namoczeniu i tak dalej.

- Ale wzory niezbyt ciekawe - zauważyła Sara rzeczowo.

Dotknęła próbek w zamyśleniu. Mogłaby zaprojektować coś znacznie lepszego. Podniosła wzrok na Jacka. - Jack, sądzisz, że ja też mogłabym pracować dla twojego wuja? - Oczywiście jej rozbłyśły.

- Nie bezpośrednio - odparł Jack. - Przykro mi, kochanie. Wuj Jos nigdy by nie zatrudnił kobiety. Ale mogłabyś pracować na własną rękę, gdybyś chciała. Mogłabyś mieć w domu pracownię.

Zaczęli rozmawiać. Sara miała świadomość, że to nie to samo, co praca w teatrze, ale nie musiała tracić wszystkiego, co było dla niej cenne. Musiałaby się wiele nauczyć o produkcji bawełny i technikach barwienia, a potem na nowo wykorzystać swoje zdolności. Kiedy jedne drzwi się zamykały, inne stawały otworem.

Problem domu też można było jakoś rozwiązać. Polly i Leah mogły zechcieć pojechać z nimi. Panna Valloton raz i drugi wspominała o wprowadzeniu się do domu panny Bailey i jej matki, gdzie mogłaby zajmować pokój na parterze. A Johnstonomie mogliby być zainteresowani dzierzawą. Wyłaniało się mnóstwo różnych możliwości. I życie mogłoby potoczyć się dalej.

Policzki znów jej się zaróżowiły. Po raz pierwszy od czasu, gdy ją poznał jako dziecko i żartowała sobie na temat Belizariusza, Jack dostrzegł w oczach Sary figlarne błyski.

- Twojej matce się to nie spodoba - powiedziała, spoglądając na niego z ukosa.

- Twojemu ojcu także - odparł Jack. - Uważa mnie za parweniusza.

W sobotni wieczór w teatrze panował nastrój radosnego oczekiwania. Wells cieszył się popularnością, a i sam Phelps miał wielu oddanych wielbicieli. Była wśród nich grupa widzów, którym panna Cooper (grająca Helenę) nie mogła niczego zarzucić. Byli młodzi prawnicy, nie opuszczający żadnego nowego przedstawienia, i zapełniający galerię mieszkańcy Islington, dający upust radości z miło spędzanego wieczoru.

Nowe gazowe lampy przygasły, zapadła cisza, kurtyna pojechała w górę odsłaniając pałac Tezeusza i przedstawienie się rozpoczęło. Hermia i Lyzander uciekli do lasu w pobliżu Aten, szukając wolności. Stary ojciec Hermii grzmiał, że córka powinna okazywać ojcu posłuszeństwo. Demetriusz, porażony miłością, ścigał Hermię, a Helena, odtrącona przez Demetriusza, ścigała z kolei jego.

W podateńskim lesie zaczęły się dziać cuda. Scenę zalewało zielone światło, w którym widać było drzewa i odległe polany. Elfy pojawiały się i znikały, jakby za sprawą magicznej różdżki. Dziwne kwiaty rozkwitały i więdły. Puk zniknął za drzewem, a zaraz potem jego sylwetka pofrunęła do nieba. Poszczególne sceny nakładały się na siebie, po rozgwieżdzonym niebie przepływały chmury, obraz lasu zmieniał się tak, iż widzowie odnosili wrażenie, że widzą to jedną, to znów inną jego część.

Cały teatr opanowały czary. Już nic nie wydawało się niemożliwe.

Nieszczęśliwi kochankowie zostali zaczarowani przez Puka; kłócili się, zmieniali partnerów, ścigali się, aż wreszcie, wyczerpani, zapadli w sen pośród lasu. Zamieszanie między śmiertelnikami odbiło się echem w krainie elfów. Oberon kłócił się z Tytanią. Rzemieślnicy, po kryjomu próbujący w lesie

swoją sztukę, zaczęli nią żyć. Spodek, zarozumiały tkacz, zamieniony w osła, stał się ukochanym królowej elfów.

Wraz z nadejściem świtu zmieniło się oświetlenie. Rozwiała się zielona mgła i powróciła rzeczywistość. Zamroczeni kochankowie ocknęli się. Miłosny nektar Oberona sprawił, że Demetriusz pokochał Helenę. Tezeusz, wychodząc na scenę z Hipolita i ich orszakiem, pobłogosławił obie pary kochanków. W krainie elfów i na ziemi zapanował porządek.

Ostatni akt rozgrywał się w komnacie pałacu Tezeusza, ozdobionej lustrzanymi kandelabrami. Kiedy kochankowie byli już połączeni, a krotochwila rzemieślników dobiegła końca, śmiertelnicy opuścili scenę. Światła przygasły; podświetlone kolumny wyglądały jak promienie wschodzącego księżyca. Elfy, każdy z migoczącym światełkiem w dłoni, jeden za drugim, tanecznym krokiem schodziły ze schodów na tarasy. Kiedy Puk wygłaszał swoją mowę, cała widownia uległa magii płynącej ze sceny.

Zapanowała cisza. Wszyscy byli oczarowani. Powoli dochodzili do siebie; niektórzy przecierali oczy, jakby nadal widzieli niezwykle zjawiska. A potem zagrzmiały oklaski, które zdawały się nie mieć końca.

Jack i Sara, podczas ukłonów trzymający się skromnie z tyłu sceny, popatrzyli na siebie i uśmiechnęli się ponownie.

Wielki salon, gdzie serwowano poczęstunek dostojnym gościom zajmującym najlepsze miejsca na widowni, wypełniony po brzegi, rozbrzmiewał gwarem ożywionych rozmów i brzękiem kieliszków. Kelnerzy uwijali się jak w ukropie. Sara zjawiła się po kwadransie, przebrawszy się z kostiumu.

Sir George ucieszył się na jej widok. Uściskawszy jej serdecznie dłoń, przedstawił ją swej siostrzenicy Louisie Fanshawe. Podczas przedstawienia wypatrył najładniejszą dziewczynę pośród elfów i był ciekaw, kim ona jest. Wyglądała mu dziwnie znajomo, jak ta ślicznotka, którą parę miesięcy wcześniej widywał w towarzystwie Bylanda. Krążyły plotki, że Byland źle ją potraktował. Sir George często się zastanawiał, co też mogło się z nią stać.

Pani Fanshawe, która rozpoznała Sarę wśród członków orszaku Hipolity, ale postanowiła o tym nie wspominać, pogratulowała jej sukcesu przedstawienia.

- Piękne - pochwaliła. - Nie wiedziałam, że w dzisiejszych czasach można jeszcze wystawiać Szekspira. Sądziłam, że jest zbyt pospolity i prostacki.

- Wydaje mi się, że niektóre kwestie zostały skrócone - powiedziała Sara. - Cieszę się, że się pani podobało. A pani, panno Fanshawe, jak się bawiła?

Louisa westchnęła z zachwytu.

- Och, panno Beale, to było cudowne!

Sara podziękowała jej uśmiechem.

- Jest coś magicznego w możliwości tworzenia iluzji.

- Panno Beale - wtrącił się sir George - mógłbym przysiąc, że widziałem na scenie Midwintera. To śmieszne, oczywiście. Nie macie chyba aktora o tym nazwisku?

- Pan Midwinter jest z nami czasowo - przyznała Sara z rezygnacją. - Przejął rolę, graną zwykle przez pana Frosta, który złamał nogę. To dzięki panu Midwinterowi nie doznałam uszczerbku w tej nieszczęsnej przygodzie z lordem Fulmarem, o której wam wspominałam.

- Pan Midwinter! - powtórzyła pani Fanshawe. - Cóż, pełno

go w towarzystwie. - Kiedyś miała nadzieję, że pozyska go na męża dla Louisy.

- Musicie go poznać - zdecydowała Sara. - Widzę, że już przyszedł. - Widząc, że Jack się za nią rozgląda, Sara pomachała mu ręką.

Dopełniono prezentacji.

- Nie spodziewałem się zobaczyć pana na scenie, Midwinter - powiedział sir George, przyglądając się Jackowi z nieukrywaną ciekawością. Do czego zmierzał? Czyżby chodziło o jakąś dziewczynę? - Dobrze się pan bawi, co?

- Owszem - potwierdził lekko Jack. - Pan Frost złamał nogę, więc go zastąpiłem. Przyznaję, że sprawia mi to wielką przyjemność. Pomagam też za kulisami, ilekroć mogę się przydać.

- A cóż dżentelmen może wiedzieć o tym, co się dzieje za kulisami? - zdumiała się pani Fanshawe. Sztuka rzeczywiście była wspaniała, ale żeby aż tak się angażować...

- Uczyłem się. I z dumą muszę powiedzieć, że to ja zrobiłem psa Głodniaka.

- To wymagało od pana wielkiej zręczności - wykrzyknęła Louisa. - Bardzo mi się podobał ten pies. - Spojrzała na Jacka spod rzęs, rumieniąc się przy tym dziewczęco.

- Dziękuję, panno Fanshawe.

- Pan Midwinter może robić, co mu się podoba - stwierdziła sucho pani Fanshawe. - Ale pani, panno Beale, naprawdę nie może pozostać w teatrze. Co to za miejsce dla damy?! Nie-słychane!

Jack wziął Sarę za rękę.

- Nie zostanie w teatrze - powiedział. - Zgodziła się wyjść za mnie i wkrótce wyjedziemy do Manchesteru.

Nastąpiły stosowne gratulacje i pytania. Louisa w pierwszej chwili sprawiała wrażenie rozczarowanej, ale ponieważ była ząną dziewczyną, szybko dołączyła ze szczerymi życzeniami pomyślności.

- Ale... czy pytaliście o pozwolenie lorda Fulmara? - zainteresowała się pani Fanshawe. Po tym, co mówiła jej panna Beale, nie spodziewała się, by lord Fulmar wyraził zgodę.

- Do licha z jego pozwoleniem! - rzekł Jack. - Panna Beale i ja bierzemy ślub za jakieś sześć tygodni i nic, ale to nic, nas nie powstrzyma. Powiadomię go, kiedy już będziemy małżeństwem.

Sir George zmarszczył brwi. Jak ten związek wpłynie na szanse odziedziczenia przez pannę Beale posiadłości Hoop Hall? Z drugiej strony, Fulmar był nieprzewidywalny i mógł zmieniać zdanie, ile razy mu się spodoba. Midwinter miał własny, całkiem spory majątek - suma siedmiu tysięcy funtów rocznie była nie do pogardzenia. Poza tym, gdyby panna Beale powiła jednego czy dwóch synów, może Fulmar dałby się ułagodzić.

- Moja droga panno Beale- zaczął sir George- proszę udzielić mi tego przywileju, bym mógł poprowadzić panią do ołtarza. Jestem członkiem rodziny, jak by nie było.

- Och, sir George'u! - wykrzyknęła Sara. - To doprawdy miło z pana strony. - Myślała o tym, żeby poprosić pana Phelps'a. To ludzie z teatru stanowili jej prawdziwą rodzinę.

Pani Fanshawe natychmiast dostrzegła korzystną stronę sytuacji. To małżeństwo właściwie przypominało ucieczkę kochanków, więc należało popierać wszystko, co mogło nadać mu pozory przyzwoitości.

- Musisz się zgodzić, by wydawał cię sir George, moja droga - nalegała. - A my z Louisą przyjdziemy na ślub. Co masz zamiar na

siebie włożyć? - Po chwili Sara, pani Fanshawe i Louisa pograżyły się w ożywionej rozmowie na temat materiałów i fasonów sukien.

Drzwi salonu otwarły się i weszli Framptonowie z Rose. Pan Frampton był zadowolony z przedstawienia; obiecał żonie i bratanicy, że uczczą sukces winem i ostrygami. Rose wyglądała wyjątkowo ślicznie. Świeżo umyte włosy okalały jej twarz srebrzystozłotą chmurą.

Sir George szturchnął Jacka w bok.

- Niech mi pan powie, Midwinter, czy to przypadkiem nie ta mała Frampton?

- Owszem - potwierdził Jack. - Chciałby pan ją poznać? - Dostrzegł, że Rose zauważyła sir George'a i mierzyła go zaciekawionym spojrzeniem. Przeszedł w jej stronę, prowadząc za sobą sir George'a. - Panno Frampton!

Rose spojrzała na niego zaskoczona, uroczo się przy tym rumieniąc.

- Pozwól, że ci przedstawię sir George'a Cranborne'a, który podziwiał dziś twoją grę.

Sir George pochylił się nad jej dłonią. Jack mrugnął porozumiewawczo przyłapawszy spojrzenie Rose.

Kiedy Jack wrócił do pań, Sara powitała go uniesionymi brwiami. Zerknęła pytająco w stronę sir George'a i Rose. Jack odstłonił zęby w uśmiechu, ale nic nie powiedział.

- Panie Midwinter - odezwała się surowo pani Fanshawe. - Musi pan zaprosić swoją matkę na ślub.

Jack zrobił kwaśną minę.

- Nie będzie zachwycona, więc nie chcę denerwować Sary.

- Panna Beale jest silniejsza, niż się panu zdaje. Pańska matka nigdy by panu nie wybaczyła, a i panna Beale także,

gdyby pan tego nie zrobił. Proszę napisać do niej jeszcze dzisiaj, a już my z Louisą się nią zajmimy. Zaproponuję, żeby się u nas zatrzymała.

Pani Fanshawe pamiętała panią Midwinter jako miłą kobietę, choć trochę przewrażliwioną na punkcie swej pozycji w towarzystwie. Zapewne się obawiała, że jej syn popełnia mezalians. Pani Fanshawe miała zamiar ją uspokoić, zwracając uwagę na korzyści w postaci wnuków i pojednania z lordem Fulmarem.

Pani Midwinter była rozsądną kobietą. Nawet jeśli nie będzie zachwycona tym małżeństwem, z pewnością zrobi dobrą minę do złej gry.

- Rozumiem, że planujecie od razu wyjechać do Manchesteru.

- Rzeczywiście. Chcemy się pobrać dwudziestego czwartego listopada. W teatrze odbędzie się wtedy benefis pana Greenwooda, więc nie sprawimy większego zamieszania. Jeśli pobierzemy się wcześniej, powiedzmy o wpół do dziesiątej, to wszyscy przyjaciele z teatru, którzy zechcą, będą mogli przyjść na nasz ślub. I uda nam się jeszcze złapać południowy pociąg do Manchesteru.

Louisie robiły się oczy. Ślub w teatralnym towarzystwie. Wiodła dotychczas nadzwyczaj spokojne życie i możliwość zetknięcia się z artystyczną cyganerią bardzo ją pociągała.

- Wykluczone, panie Midwinter - zaproponowała stanowczo pani Fanshawe. - Musicie mieć miesiąc miodowy, choćby to miał być tydzień spędzony nad morzem. To nie w porządku wobec panny Beale oczekiwać, że zacznie swe małżeńskie życie w samotności, bo jej mąż będzie całymi dniami zajęty interesami. Niech pan chociaż przez tydzień poświęca jej całą swoją uwagę.

Sara pomyślała z rozbawieniem, że pani Fanshawe potrafi być tak samo władczą jak lord Fulmar.

- Ma pani całkowitą rację- przyznał Jack po krótkim namyśle. - Oczywiście, że musimy mieć miesiąc miodowy. Saro, widziałaś kiedyś morze?

Sara zaprzeczyła ruchem głowy.

- Więc ci je pokażę. - I wszystko inne, dodał w duchu.

- Na pewno mi się spodoba - odparła Sara i uśmiechnęła się zagadkowo.

Posłowie

Sen nocy letniej wystawiony przez Samuela Phelps'a w Sadler's Wells w 1853 roku to jedna z najbardziej inspirujących inscenizacji połowy dziewiętnastego stulecia. Oprócz przedstawienia madame Vestris w 1840 roku - powszechnie krytykowanego za „krzykliwy blichtr”- była pierwszą od 1642 roku, która powróciła do oryginalnego tekstu Szekspira.

Wcześniej, w 1847 roku, Phelps wystawił *Makbeta* Szekspira po raz pierwszy od ponad 200 lat - dotąd preferowano wersję Davenanta, która dopuszczała zarówno tańce i śpiewy czarownic, jak i poważne zniekształcenia tekstu. *Makbet* odniósł wielki sukces; w 1853 roku teatr Sadler's Wells był znany i szanowany za wierność tekstowi Szekspira; odpowiednio poważne traktowanie wszystkich ról, zarówno epizodycznych, jak i głównych, i niezwykle utalentowane grono pracowników za kulisami, które wspólnym wysiłkiem i pomysłowością pokonywało problemy, których mnóstwo następców przestarzały teatr i ograniczenia budżetu.

Współcześni Phelpsowi nie podzielali jego determinacji, by

wystawiać sztuki w oryginalnej wersji Szekspirowskiej. W tych czasach nikogo nie dziwiło, że główny aktor zapożyczał kwestie z innej roli, by rozbudować swoją. Szczegóły oprawy scenicznej, kostiumy i oświetlenie były omawiane w recenzjach na równi ze starannym aktorstwem i uwzględniały nawet statystów w scenach bitew. Wydaje nam się, że te drobiazgi istotnie musiały być warte zauważenia.

Wielu recenzentów podkreślało, że u Phelps'a wszystko podporządkowane było sztuce, a on był aktorem szczerym i nie eksponował nadmiernie siebie samego. Recenzent „Douglas Jerrold's Weekly Newspaper” pisał: „Nie było w nim efekciarstwa, słowotoku, patetycznych deklamacji, nie było źle ukierunkowanej energii, która często wzbudza poklask nie wyrobionych widzów. Wszystko emanowało głębołą, prawdziwą, umiejętnie wyrażoną pasją i emocją...” Najwyraźniej styl Phelps'a był wystarczająco niezwykły, żeby wzbudzać dyskusje.

Latem 1853 roku w teatrze założono oświetlenie gazowe (Teatry Drury Lane i Lyceum uczyniły to w 1817 roku, tak więc Sadler's Wells zdecydowanie pozostawał w tyle), a Frederick Fenton, główny scenograf Phelps'a, mógł je w pełni wykorzystać w *Śnie nocy letniej*.

Fenton (1817-1898) pochodził z rodziny związanej z teatrem. Ojciec był dyrektorem sceny u Edmunda Keana, a sam Fenton w wieku siedmiu lat zaczął pracować jako statysta w Drury Lane. Od roku 1839 związał się z Sadler's Wells i pod ówczesnym kierownictwem był malarzem scenicznym i aktorem, a czasami pisywał też bożonarodzeniowe sztuki dla dzieci, miał więc okazję zgłębić tajniki tej profesji. John Coleman, biograf Phelps'a, opisuje Fentona jako „nieustrudzonego, niezwykle pracowitego, nadzwyczaj pomysłowego i zdolnego malarza scen”.

W 1892 roku Fenton udzielił wnikliwego wywiadu J. Moyr Smithowi na temat inscenizacji *Snu*, zdradzając, w jaki sposób uzyskał pożądane efekty. Opisane są „niebieska sieć” (sic!) z przodu sceny w aktach II, III i IV, ruchoma diorama, księżyc przemieszczający się po niebie i skapane w jego świetle kolumny w ostatnich scenach sztuki - bez wątpienia Phelps dał mu całkowitą swobodę działania.

Wielu recenzentów zwraca uwagę na magiczny aspekt scenografii Fentona. Na przykład Henry Morley pisał: „Nie ma tu zwykłego przesuwania scen: podobnie jak w snach, jedna scena niewyczuwalnie, płynnie przechodzi w drugą”. Wtórjuje mu Douglas Jerrold. „Wszystkie zmiany światła księżyca, mgły i blasku słońca są dokonywane z tak wielkim artystycznym wyczuciem, że odnosimy wrażenie, iż spacerujemy po całym lesie, gdzie za każdym zakrętem wita nas nowy widok”.

Wszyscy krytycy zgodnie przyznali, że ukoronowaniem całej sztuki była rola Spodka w wykonaniu Phelpsa, który postanowił przedstawić go jako próżnego zarozumialca. Morley napisał: „W tej kapitalnej roli nie zabrakło ani jednego akcentu komediowego”. Lloyd's Weekly London News posunął się jeszcze dalej: „Mieliśmy okazję obcować z maestrią aktorską, plasującą odtąd jej twórcę, niczym drugiego Garricka, pomiędzy Komedią a Tragedią”.

Z punktu widzenia pisarza tak różnorodne i liczne materiały źródłowe są niezmiernie korzystne. Czytelnicy mogą przecieź mieć pewność, że obsada i nazwiska członków kompanii są podane prawidłowo. Na przykład panna Beale rzeczywiście odtwarzała postać z orszaku Hipolity, a panna Frampton - z orszaku Tytanii. Pan Frost przez kilka lat grywał epizody, chociaż, dla celów tej powieści, musiał złamać nogę, by Jack

mógł zagrać jego rolę. Kostiumy, gra aktorska i scenografia zostały przedstawione zgodnie z zachowanymi opisami, jedynie kostiumy Tezeusza i Hipolity powstały w mojej wyobraźni.

Egzemplarz *Snu nocy letniej* z uwagami reżyserskimi Phelpsa znajduje się w Folger Shakespeare Library; stamtąd pochodzą wiadomości na przykład na temat lwiego ogona i uwagi sceniczne dotyczące, na przykład, pojawiania się i znikania Puka.

Współcześni bywalcy teatru mogą być zdumieni ilością sztuk wystawianych w ciągu sezonu. Od czasu otwarcia sezonu 1853 roku pod koniec sierpnia, do premiery *Snu nocy letniej* 8 października, w repertuarze znalazło się dziesięć sztuk, granych przeważnie przez kilka kolejnych wieczorów. O sukcesie *Snu nocy letniej* może świadczyć choćby fakt grania trzydziestu sześciu przedstawień z rzędu, przerwanych jedynie wystawieniem *Henryka V* w zamku Windsor na zamówienie dworu królewskiego.

Składam serdeczne podziękowania za pomoc Davidowi Witheyowi z biblioteki Finsbury; pracownikom archiwum Muzeum Teatralnego; profesor Verze Gottlieb, która pożyczyła mi wiele książek i nie miała pretensji, gdy przetrzymywałam je przez wiele miesięcy; Stephenowi Jennowi, który zapoznał się z maszynopisem z aktorskiego punktu widzenia i poczynił wiele cennych uwag, oraz profesorowi Michaelowi Slaterowi.

*Elizabeth Hawksley
Londyn, 1999*